

UPADEK KONSTANTYNOPOLA 1453

**STEVEN
RUNCIMAN**

Państwowy Instytut Wydawniczy





Steven Runciman



UPADEK KONSTANTYNOPOLA



Księgozbiór DiGG



2010



Rozdział 1

UMIERAJĄCE IMPERIUM

W dzień Bożego Narodzenia 1400 roku król Anglii Henryk IV wyprawił ucztę w swoim pałacu Eltham. Celem jego nie było jedynie uczczenie uroczystego święta. Pragnął również uhonorować znakomitego gościa. Był nim Manuel Paleolog, cesarz Greków, jak go nazywała większość ludzi Zachodu, choć niektórzy pamiętali, że był on prawdziwym cesarzem Rzymian. Podróżował przez Włochy i zatrzymał się w Paryżu, gdzie król Francji Karol VI odnowił skrzydło Luwru na jego mieszkanie i gdzie profesorowie Sorbony z zachwytem poznali monarchę, który umiał z nimi dyskutować z taką samą wiedzą i subtelnością, jaką oni dysponowali. W Anglii każdy był pod wrażeniem godności jego postawy oraz nienagannej czystości białych szat, które nosił on i jego dworzanie. A jednak, nie bacząc na wszelkie jego wysokie tytuły, podejmujący go gospodarze litowali się nad nim; albowiem przybył jako żebrak rozpaczliwie szukający pomocy przeciwko niewiernym, którzy ze wszech stron okrążyli jego imperium. Dla prawnika Adama z Usk, pracującego na dworze króla Henryka, widzieć go tam wydawało się rzeczą tragiczną. „Zastanowiłem się - pisał Adam - jak bolesny jest fakt, że ów wielki chrześcijański książę został zagnany przez Saracenów z dalekiego Wschodu na te najdalsze wyspy na Zachodzie, aby szukać przeciwko nim pomocy [...] O, Boże - dodał - cóż się z tobą dzieje, starożytna chwało Rzymu?”

Istotnie, dawne rzymskie imperium skurczyło się do bardzo małych rozmiarów. Manuel był prawowitym dziedzicem Augusta i Konstantyna, ale minęło wiele stuleci od czasów, kiedy rezydujący w Konstantynopolu cesarze mogli domagać się posłuszeństwa od rzymskiego świata. Dla Zachodu stali się oni zaledwie panami Greków albo Bizancjum, niegodnymi rywalami cesarzy, którzy pojawili się na Zachodzie. Do XI wieku Bizancjum stanowiło potęgę wspaniałą i dominującą, było szermierzem chrześcijaństwa przeciwko naporowi islamu. Bizantyńczycy spełniali swój obowiązek energicznie i pomyślnie, dopóki w połowie XI wieku nie przyszło ze Wschodu nowe wyzwanie - najazd Turków, a tymczasem Europa Zachodnia rozwinęła się do tego stopnia, że przy pomocy Normanów spróbowała agresji na własną rękę. Bizancjum uwikłało się w wojnę na dwa fronty, i to w chwili, kiedy borykało się z trudnościami ustrojowymi i dynastycznymi. Normanowie zostali odparci, chociaż z utratą bizantyńskich Włoch; jednak Bizantyńczycy musieli oddać Turkom na zawsze płaskowzgórze Anatolii, ziemię, która dostarczała im żołnierzy i żywności. Odtąd Cesarstwo było wzięte w dwa ognie; jego centralna pozycja skomplikowała się wskutek ruchu, który zwiemy

wyprawami krzyżowymi. Jako chrześcijanie Bizantyńczycy sympatyzowali z krzyżowcami. Jednak długie doświadczenie polityczne nauczyło ich okazywać pewną tolerancję w stosunku do niewiernych i uznawać ich istnienie. Święta wojna, prowadzona przez ludzi Zachodu, wydawała się im niebezpieczna i nie przynosząca trwałych rozwiązań.

Mieli wszelako nadzieję, że będzie można z tego wyciągnąć korzyści. Człowiek znajdujący się pośrodku może być jednak bezpieczny wtedy, gdy jest silny. Bizancjum nadal odgrywało rolę wielkiego mocarstwa, choć faktycznie jego potęga była już osłabiona. Utrata anatolijskich terenów rekrutacji w okresie stałego prowadzenia wojen zmusiła cesarza do polegania na zagranicznych sprzymierzeńcach i na cudzoziemskich najemnych żołnierzach; jedni i drudzy domagali się zapłaty w pieniądzu i w koncesjach handlowych. Żądania te przysły w czasie, kiedy wewnętrzną gospodarkę Cesarstwa zdeorganizowała utrata anatolijskiego zboża. W ciągu XII stulecia Konstantynopol zdawał się tak bogatym i wspaniałym miastem, dwór cesarski tak świetny, a nabrzeża i bazyry tak pełne towaru, że cesarza wciąż jeszcze traktowano jako potężnego władcę. Jednak muzułmanie wcale nie dziękowali za to, że próbował powściągnąć zapał krucjat, z drugiej zaś strony krzyżowców gorszył jego oziębły stosunek do ich świętej wojny. Tymczasem różnice religijne pomiędzy zachodnim a wschodnim chrześcijaństwem, od samego początku głęboko zakorzenione i rozjątrzone przez politykę, w ciągu XI wieku stale się pogłębiały, tak że pod koniec XII stulecia Kościoły Rzymu i Konstantynopola bezsprzecznie znajdowały się w stanie rozłamu.

Do kryzysu doszło, kiedy armia krzyżowców, uwiedziona ambicjami swych dowódców, zazdrosną chciwością swoich weneckich sprzymierzeńców oraz oburzeniem, jakie odczuwał teraz każdy człowiek Zachodu w stosunku do Kościoła bizantyjskiego, zwróciła się przeciwko Konstantynopolowi, zdobył go i splądrowała, zakładając na jego ruinach Cesarstwo Łacińskie. Ta czwarta krucjata z 1204 roku położyła kres staremu Wschodniemu Cesarstwu Rzymskiemu jako państwu ponadnarodowemu. Po półwiecznym wygnaniu w Nicei, w północno-zachodniej Azji Mniejszej, władze cesarskie wróciły do Konstantynopola, a Cesarstwo Łacińskie upadło. Zdawało się, że nadchodzi nowa era wielkości. Ale Cesarstwo przywrócone przez Michała Paleologa nie było już dominującą potęgą na chrześcijańskim Wschodzie. Zachowało ono coś ze swego starego, mistycznego prestiżu. Konstantynopol wciąż jeszcze był Nowym Rzymem, uświęconą historyczną stolicą prawosławnego chrześcijaństwa. Cesarz był wciąż, przynajmniej w oczach Wschodu, cesarzem rzymskim. Jednak w rzeczywistości był on tylko jednym księciem wśród wielu równie lub bardziej potężnych. Byli inni greccy władcy. W kierunku wschodnim rozciągało się Cesarstwo Trebizondy, imperium Wielkiego Komnena, wzbogacone dzięki kopalniom srebra i handlowi, odbywającemu się wzdłuż starodawnego szlaku z Tabrizu i dalekiej Azji. W Epirze istniał despotat książąt z rodu Angelos, w swoim czasie rywali nicejczyków w wyścigu o odzyskanie stolicy; wkrótce jednak miał on zmarnieć w niemocy. Na Bałkanach leżała Bułgaria i Serbia, z których każda kolejno władała półwyspem. Istniały też francuskie

władztwa oraz włoskie kolonie na całym greckim lądzie i na wyspach. Żeby wyrugować Wenecjan z Konstantynopola, Bizantyńczycy wezwali Genuńczyków, którym trzeba było to wynagrodzić; toteż wtedy genuńska Pera lub Galata, tuż po drugiej stronie Złotego Rogu, zawładnęła w znacznym stopniu handlem w stolicy. Niebezpieczeństwa czyhały zewsząd. We Włoszech znajdowali się potentaci pragnący pomścić upadek Cesarstwa Łacińskiego. Słowiańscy książęta na Bałkanach wdychali do tytułu cesarskiego. W Azji Turcy chwilowo zachowywali się spokojnie; w istocie, gdyby nie ten spokój Bizancjum z trudem mogłoby utrzymać się przy życiu. Jednak Turcy mieli niebawem się ożywić pod przewodnictwem dynastii świętych wodzów, Osmana i jego otomańskich następców. Odbudowane Cesarstwo Bizantyjskie, za skomplikowanymi powiązaniem w Europie i ciągłym zagrożeniem z Zachodu, potrzebowało więcej, niż miało, pieniędzy i ludzi. Robiło ono oszczędności na wschodniej granicy, ale było już za późno i otomańscy Turcy przedarli się przez umocnienia.

Nastąpiło rozczarowanie. Czternasty wiek był dla Bizancjum okresem klęski politycznej. Przez kilka dziesięcioleci wydawało się prawdopodobne, że wielkie Królestwo Serbskie wchłonie całe imperium. Prowincje ulegały spustoszeniu przez bunt bandy najemników Kompanii Katalońskiej. Rozgorzały liczne wojny domowe, rozpoczęte wskutek osobistych i dynastycznych swarów na dworze, a podsycone, kiedy wplątały się w nie partie społeczne i religijne. Cesarz Jan V Paleolog, który panował przez pięćdziesiąt lat, od 1341 do 1391 roku, był detronizowany nie mniej niż trzy razy, raz przez teścia, raz przez syna i raz przez wnuka, chociaż ostatecznie zakończył życie na tronie. Zdarzały się zgubne epidemie zarazy morowej. Czarna śmierć w 1347 roku, kiedy to nastąpił szczytowy okres wojny domowej, porwała co najmniej jedną trzecią ludności Cesarstwa. Turcy wykorzystali kłopoty w Bizancjum i na Bałkanach, aby wkroczyć do Europy i wdzierać się coraz dalej, aż w końcu stulecia wojska sułtana dotarły do Dunaju i Bizancjum zostało okrążone całkowicie przez jego dominia. Wszystko to, co pozostało z imperium, sprowadzało się do samego Konstantynopola i kilku miast rozciągniętych wzdłuż trackich brzegów Morza Marmara i wybrzeży Morza Czarnego aż po Mesembrię na północy, do Tesaloniki wraz z jej przedmieściami, kilku małych wysp i Peloponezu, gdzie despotesi Morei, młodzi synowie cesarskiego rodu, zdołali osiągnąć pewne sukcesy, odzyskując ziemie od Franków. Pewne łacińskie władztwa i kolonie utrzymywały się pełne obaw, w Grecji i na greckich wyspach, florency książęta wciąż jeszcze panowali w Atenach, a książątka z Werony na Archipelagu Egejskim. Wszędzie indziej Turcy zagarnęli wszystko.

Przez kaprys historii owemu okresowi politycznego upadku towarzyszyło życie kulturalne żywsze i bardziej płodne aniżeli w jakichkolwiek innych czasach dziejów bizantyjskich. Artystycznie i intelektualnie należy erę Paleologów uznać za wybitną. Mozaiki i freski z początku XIV wieku kościoła w Chora w Konstantynopolu wykazują siłę, świeżość i piękno, wobec których włoskie dzieła z tego okresu wydają się prymitywne i surowe. Prace o podobnym walorze wykonywano i gdzie

indziej w stolicy oraz w Tesalonice. Ale tak wspaniała sztuka była kosztowna. Zaczęło brakować pieniędzy. W 1347 roku zauważono, że klejnoty w diademach użytych do koronacji Jana VI i jego żony zrobione są ze szkła. Pod koniec stulecia chociaż jeszcze produkowano drobniejsze dzieła sztuki, nowe kościoły budowano tylko na prowincji, w Mistrze na Peloponezie i na górze Athos; dekorowano je też skąpo. Jednak życie intelektualne, mniej zależne od poparcia finansowego, kwitło nadal. Uniwersytet w Konstantynopolu został na nowo odbudowany w końcu XIII wieku przez wielkiego ministra, Teodora Metochitesa, człowieka o wielkiej wiedzy i smaku, którego patronatowi zawdzięcza się dekorację kościoła w Chora. Natchnął on całe następne znakomite pokolenie uczonych. Główne postaci intelektualistów XIV stulecia, ludzie tacy, jak historyk Nicefor Gregoras, teolog Grzegorz Palamas, mistyk Mikołaj Kabasilas lub filozofowie Demetriusz Cydones i Akindynos, wszyscy w różnych okresach studiowali na uniwersytecie i podlegali wpływowi Metochitesa. Wszystkim też pomagał i dodawał odwagi jego następca na stanowisku pierwszego ministra, Jan Kantakuzen, choć niektórzy z nich zerwali z nim po tym, jak uzurpował sobie koronę cesarską. Indywidualnie każdy z tych uczonych przedstawiał nieprzeciętną umysłowość; ich spory odznaczały się równą żarliwością jak ich przyjaźnie. Spierali się o współzawodniczące ze sobą zasługi Platona i Arystotelesa. Klócili się o semantykę i logikę, a ich spory nieuchronnie wkraczały w dziedzinę teologii. Tradycja ortodoksyjna trzymała się mocno filozofii. Dobrzy duchowni wierzyli w szkolenie filozoficzne. Stosowali Platońskie terminy i Arystotelesowską metodologię. Lecz ich teologia była negatywna. Utrzymywali, że filozofia nie jest zdolna do rozwiązania problemów boskich, skoro Bóg w istocie swej jest poza możliwością ludzkiego poznania. Kłopoty powstały w połowie XIV wieku, kiedy pewni filozofowie pod wpływem scholastyki Zachodu ostro zakwestionowali tradycyjną teorię Kościoła dotyczącą mistycyzmu; jego obrońcy musieli wobec tego sformułować swoją doktrynę i zadeklarować wiarę w niestworzone energie Boga. To doprowadziło do zażartej kontrowersji, dzielącej przyjaciół i partie. Doktryna o energiach znalazła poparcie przede wszystkim wśród mnichów, którzy mieli skłonność do antyintelektualizmu. Główny ich przedstawiciel, Palamas - jego imię często nadaje się tej doktrynie - uczony o głębokim umyśle, był nieprzychylnie nastawiony do humanizmu. Jednak do jego sprzymierzeńców należeli tacy humanistyczni intelektualiści, jak Jan Kantakuzen i Mikołaj Kabasilas. Toteż zwycięstwo ich nie było, jak to często twierdzono, zwycięstwem obskurantyzmu.

Istniała jedna dominująca kwestia, która obchodziła nie tylko teologów i filozofów, ale także polityków. Była to sprawa unii z Kościołem rzymskim. Wtedy schizma była całkowita, a triumf palamizmu pogłębił przepaść. Ale wielu bizantyjskim mężom stanu wydawało się jeszcze, że Cesarstwo nie zdoła przetrwać bez pomocy z Zachodu. Jeżeli taką pomoc można uzyskać tylko za cenę poddania się Kościołowi rzymskiemu, tedy Grecy muszą się poddać. Michał Paleolog próbował przeciwdziałać zachodnim planom przywrócenia Cesarstwa Łacińskiego, zobowiązując się nakłonić swój naród do unii z Rzymem na soborze w Lyonie. Jego akcja

wywołała gwałtowne oburzenie większości Bizantyńczyków, toteż kiedy niebezpieczeństwo minęło, syn jego Andronik II odrzucił unię. Obecnie, gdy Turcy okrzyli Cesarstwo, sytuacja stała się dużo bardziej niepokojąca. Unia była teraz potrzebna nie po to, by okupić się chrześcijańskiemu wrogowi, ale aby zdobyć sobie przyjaciół do walki z gorszym wrogiem - z niewiernymi. Na ortodoksyjnym Wschodzie nie było sił, które mogłyby przyjść z pomocą. Książęta naddunajscy i kaukascy byli za słabi i sami znajdowali się w poważnym niebezpieczeństwie, a Ruś była zbyt daleko i miała swoje własne problemy. Ale czyż jakiś katolicki potentat przyszedłby ratować naród, który uważał za schizmatyczny? Czy nie poczytywałby postępów tureckich za słuszną karę za schizmę? Mając to na względzie, cesarz Jan V podporządkował się osobiście papieżowi w Italii w 1369 roku. Jednak rozważnie odmówił wciągnięcia w to swych poddanych, choć miał nadzieję - daremną - że namówi ich, by poszli jego śladem.

Ani Michał VIII, ani Jan V nie byli teologami; polityczne korzyści unii znaczyły dla nich więcej niż wszystko inne. Dla teologów zagadnienie było trudniejsze. Od najdawniejszych czasów chrześcijaństwo wschodnie i chrześcijaństwo zachodnie oddalały się od siebie w zakresie teologii, zwyczajów liturgicznych oraz teorii i praktyki kościelnej. Obecnie dzieliła je jedna główna kwestia sporna, dotycząca pochodzenia Ducha Świętego i łacińskiego dodatku słowa „*Filioque*” do *Credo*. Istniały też inne, pomniejsze punkty sporne. Świeżo usankcjonowana doktryna o energiach była nie do przyjęcia dla Zachodu, dogmat zachodni o czyścicu wydawał się Wschodowi arogancki i zarozumiały. Co do liturgii, główne pytanie sprowadzało się do tego, czy chleb sakramentalny powinien być zakwaszony, czy praśny. Dla Wschodu używanie praśnego chleba, praktykowane na Zachodzie, zdawało się judaistyczne i wykazujące brak uszanowania dla Ducha Świętego, którego zakwas symbolizuje przyjęcie *Epiklesis*, wezwania do Ducha Świętego, bez czego w oczach Wschodu chleb i wino nie są w pełni uświęcone. Były też dysputy nad udzielaniem komunii świeckim pod dwiema postaciami i nad małżeństwem świeckich duchownych. Jednak najbardziej podstawowa niezgodność ujawniała się w sferze kościelnej. Czy biskup rzymski korzysta z prymatu honorowego, czy też z absolutnego zwierzchnictwa w Kościele? Bizantyjska tradycja trzymała się starej wiary w charyzmatyczną równość biskupów. Żaden z nich, nawet następca świętego Piotra, nie miał prawa narzucać doktryny, bez względu na to, jak wielki szacunek mogły wzbudzać jego poglądy. Definicja doktryny należała wyłącznie do soboru powszechnego, kiedy - jak w dzień Zielonych Świątek - wszyscy biskupi Kościoła są reprezentowani, a Duch Święty zstępuje, aby ich natchnąć. Rzymskie dodatki do *Credo* gorszyły Wschód nie tylko z przyczyn teologicznych, ale dlatego, że stanowiły jednostronną zmianę formuły uświęconej przez sobór powszechny. Tradycja wschodnia nie mogła również przyjąć administracyjnej i dyscyplinarnej władzy Rzymu, sądząc, że władze te należą do pentarchii patriarchów, z których rzymski był najstarszym, lecz nie najwyższym członkiem. Bizantyńczycy byli czuli na punkcie swych tradycji i swojej liturgii, ale ich doktryna ekonomii, która zalecała pomijanie mniejszych różnic w interesie ułatwionego rządzenia Domem

Bożym, pozwalala im na pewną elastyczność. Natomiast Kościół rzymski, co wpływało z jego natury, nie mógł łatwo iść na ustępstwa.

Uczeni w Bizancjum nie byli zgodni. Wielu z nich żywiło zbyt wielką lojalność w stosunku do swego Kościoła, by zastanawiać się nad unią z Rzymem. Ale wielu innych, zwłaszcza wśród filozofów, było gotowych przyjąć zwierzchnictwo rzymskie, jeśli tylko własna ich wiara i zwyczaje nie zostaną całkowicie potępione. Dla nich jedność chrześcijaństwa i cywilizacji chrześcijańskiej była teraz rzeczą najważniejszą. Niektórzy z nich bywali we Włoszech i widzieli tam ożywienie życia intelektualnego. Widzieli także, jak wysoko ceniono podówczas greckich uczonych, jeśli przybywali jako przyjaciele. Około 1340 roku Demetriusz Cydones przetłumaczył dzieła Tomasza z Akwinu na grecki. Scholastyka Akwinaty miała wielu zwolenników wśród greckich myślicieli i pokazywała im, że włoskiej nauki nie można lekceważyć. Pragnęli oni wzmocnić więzy intelektualne z Włochami, a ich pragnienie było odwzajemniane. Coraz większej ich liczbie oferowano korzystne katedry profesorskie na Zachodzie. Idea scalenia kultury bizantyjskiej z włoską przyciągała coraz bardziej. Dopóki bowiem istnieje gwarancja ochrony greckich tradycji, czyż ma znaczenie, że pociąga to za sobą podporządkowanie się Rzymowi, jeżeli weźmiemy pod uwagę cześć oddawaną mu w przeszłości oraz świetność włoskiego życia, jakiej dowody widać obecnie?

Ale tylko wśród polityków i intelektualistów można było znaleźć stronników unii. Zakonnicy i niższy kler byli jej zaciętymi przeciwnikami. Niewielu z nich wzruszały argumenty kulturowe. Byli dumni ze swej wiary i swojej tradycji. Pamiętali o cierpieniach swych przodków zadanych przez hierarchię łacińską za panowania cesarzy łacińskich. Oni to właśnie mieli wpływ na umysły ludu, mówiąc mu, że unia jest moralnym złem i przyjęcie jej naraziłoby na wieczne potępienie. A to byłby los o wiele gorszy niż jakiegokolwiek nieszczęście, które mogłoby spaść na nich na tym przemijającym świecie. Trudno byłoby któremuś z cesarzy wprowadzić w czyn jakieś obietnice unii wbrew ich woli; a koła te popierali uczeni i teologowie, których lojalny stosunek do tradycji miał charakter zarówno intelektualny, jak i emocjonalny, oraz politycy, którzy zastanawiali się, czy rzeczywiście Zachód będzie kiedykolwiek w stanie ocalić Bizancjum.

Te namiętne dyskusje odbywały się w atmosferze materialnego upadku. Pomimo świetności swych uczonych Konstantynopol u schyłku XIV stulecia był melancholijnym, umierającym miastem. Ludność która wraz z mieszkańcami przedmieść liczyła w XII wieku około miliona osób, teraz stopniała zaledwie do 100 tysięcy i liczba ta nadal malała. Przedmieścia po drugiej stronie Bosforu znajdowały się w rękach tureckich. Pera, tuż za Złotym Rogiem, była kolonią genueńską. Z przedmieść wzdłuż trackich brzegów Bosforu i Morza Marmara, niegdyś usianych wspaniałymi willami i bogatymi klasztorami, pozostało tylko kilka wiosek, skupiających się wokół jakiegoś starożytnego kościoła. Samo miasto, w obrębie otaczających je ponad dwudziestokilometrowych murów, nawet w swych najlepszych dniach było wiele parków i ogrodów, rozdzielających różne dzielnice. Ale teraz wiele dzielnic zniknęło, a pola i sady odgradzały te, które zostały. Podróżnik Ibn Battuta w połowie XIV wieku naliczył w

obrębnie murów trzymałoby odrębnych miasteczek. Dla Gonzalesa de Clavijo w pierwszych latach XV wieku było rzeczą zadziwiającą, że tak olbrzymie miasto może być tak pełne ruin, a w kilka lat później Bertrandon de la Broquiére przeraził się jego pustką. Pero Tafur w 1437 roku zwrócił uwagę na słabe zaludnienie miasta i ubóstwo ludności Konstantynopola. W wielu okęgach można było myśleć, że jest się w wiejskiej okolicy, gdzie dzikie róże kwitną w żywopłotach, a w gajach śpiewają słowiki.

W południowo-wschodnim krańcu miasta budynki Starego Pałacu Cesarskiego nie nadawały się już do zamieszkania. Ostatni cesarz łaciński, będąc w krytycznej sytuacji, po sprzedaniu większości relikwii znajdujących się w mieście świętemu Ludwikowi, a przed oddaniem w zastaw Wenecjanom swego syna i dziedzica, zerwał ołów ze wszystkich dachów i pozbył się go za gotówkę. Ani Michał Paleolog, ani nikt z jego następców nigdy nie mieli dość pieniędzy, żeby odrestaurować dachy. Tylko kilka kościołów utrzymało się na swych dawnych terenach: Nowa Bazylika Bazylego I czy kościół Matki Bożej w Faros. W pobliżu rozpadał się Hipodrom; młodzieńcy szlacheckich rodów używali areny jako boiska do gry w polo. Po drugiej stronie placu w Pałacu Patriarchy mieściły się jeszcze biura patriarchy; on sam jednak nie odważył się już tam rezydować. Jedynie wielki kościół Mądrości Bożej, Hagia Sophia, wciąż był wspaniały; utrzymanie jego stanowiło specjalne obciążenie dochodów państwowych.

Główna ulica, biegnąca wzdłuż centralnej skarpy miasta od Bramy Charyzjusza, dzisiejszej Bramy Adrianopolskiej, do Starego Pałacu, była nierówno usiana sklepami i domami, nad którymi górował kościół Świętych Apostołów. Ale ten ogromny budynek znajdował się w złym stanie. Wzdłuż Złotego Rogu wsie były bardziej skupione i ludniejsze, zwłaszcza po obu jego krańcach, w Blachernos pod murami od strony ładu, gdzie cesarz miał obecnie swój pałac, oraz w kierunku cypla miasta, pod wzgórzem Arsenau. Wenecjanie mieli kwitnącą dzielnicę w dole obok portu, a w pobliżu znajdowały się ulice przydzielone innym kupcom zachodnim, z Ankony i Florencji, z Raguzy i Katalonii, jak również Żydom. Składy i nabrzeża portowe ciągnęły się wzdłuż brzegu, bazyry zaś na terenie, gdzie jeszcze teraz znajduje się Wielki Bazar Turecki. Ale każda dzielnica była oddzielona, a wiele z nich otaczał mur albo palisada. Na południowych zboczach miasta, zwrócone ku Morzu Marmara, wsie były rzadsze i bardziej od siebie oddalone. W dzielnicy Studion, gdzie umocnienia łądowe dochodziły aż do morza, budynki uniwersytetu i Akademii Patriarchalnej grupowały się wokół starożytnego kościoła Świętego Jana i jego historycznego klasztoru z piękną biblioteką. Na wschód od nich było kilka nabrzeży na Psamathii. Istniało jeszcze trochę ładnych rezydencji, klasztorów męskich i żeńskich, rozrzuconych po mieście. Można było również widzieć bogato ubranych panów i damy, jadących przez całe miasto konno lub niesionych w lektykach, jednak de la Broquiére martwił się widząc, jak mała eskorta towarzyszyła cesarzowej Marii, kiedy jechała z kościoła Mądrości Bożej do pałacu. Znajdowały się jeszcze towary na bazarach i nabrzeżach oraz byli weneccy, słowiańscy i muzułmańscy kupcy, którzy woleli prowadzić interesy raczej w starym

mieście niż z Genuńczykami za Złotym Rogiem. Wciąż też napływali co roku pielgrzymi, głównie z Rusi, aby podziwiać kościoły i złożone w nich relikwie. Państwo ciągle utrzymywało zajazdy, by zapewnić przybywającym dach nad głową, oraz takie szpitale i sierocińce, na jakie było je obecnie stać.

Jedynym jeszcze ważnym miastem pozostałym Cesarstwu była Tesalonika. Sprawiała ona wrażenie, że panuje w niej większy dobrobyt. Była wciąż głównym portem Bałkanów. Na dorocznym jarmarku nadal jeszcze spotykali się kupcy różnych narodowości. Na jej mniejszym obszarze mniej się też widziało pustki i mniej zniszczenia. Nigdy jednak nie wróciła do siebie po kłopotach, kiedy to w połowie XIV wieku przez kilka trzymali ją w swych rękach ludowi rewolucjoniści, znani jako zeloci, którzy, zanim ich poskromiono, zburzyli wiele pałaców, sklepów i klasztorów. Przed końcem stulecia miasto okupowali Turcy, choć później odzyskano je na jakiś czas. Mistra na Peloponezie, stolica despotesa Morei, jakkolwiek szczyciła się pałacem i zamkiem oraz kilkoma kościołami, klasztorami i szkołami, była niewiele większa od wsi.

Tragiczne resztki imperium były dziedzictwem, które przeszło na cesarza Manuela II w 1391 roku. On sam był postacią tragiczną. Młodość spędził pośród rodzinnych swarów i wojen, sam tylko zachowując lojalność w stosunku do ojca, Jana V, którego pewnego razu musiał ratować przed więzieniem za długi w Wenecji. Parę lat spędził jako zakładnik na dworze tureckim i był zmuszony zaprzysiąc posłuszeństwo sułtanowi, a nawet poprowadzić pułk bizantyjski, aby pomóc swemu suzerenowi ujarzmić wolne bizantyjskie miasto Filadelfię. Pocięciem znalazł w nauce, pisząc między innymi dziełami małą książeczkę dla swych tureckich przyjaciół, w której porównywał chrześcijaństwo z islamem; książka ta jest wzorem tego typu prac. Był godnym cesarzem. Wielokrotnie dopuścił do współrzędów Jana VII, syna starszego brata, i został wynagrodzony lojalnością, jaką ów chwiejny młodzieniec okazywał mu do końca swego krótkiego życia. Próbował zreformować klasztory i podnieść ich poziom, a uniwersytetowi dawał wszystkie pieniądze, jakie mógł zaoszczędzić. Widział polityczną potrzebę pomocy z Zachodu. Krucjata z 1396 roku, która wyruszyła z błogosławieństwem dwóch rywalizujących ze sobą papieży po to, by zginąć wskutek szaleństwa swoich wodzów pod Nikopolis nad Dunajem, była co prawda raczej odzewem na błagania króla węgierskiego niż cesarza, ale francuski marszałek Boucicault przybył w odpowiedzi na jego apel do Konstantynopola w 1399 roku z kilkoma oddziałami wojska, chociaż osiągnęły one niewiele. Cesarz był przeciwny unii Kościołów, częściowo z powodu niekłamanych przekonań religijnych, które szczerze wyjaśnił w rozprawie napisanej dla profesorów Sorbony, częściowo zaś dlatego, że zbyt dobrze znał swych poddanych, aby wierzyć, iż kiedykolwiek przyjmą unię. Jego rada dla syna i następcy, Jana VIII, polegała na tym, by podtrzymywać pertraktacje w sprawie unii na zasadzie przyjaźni i wzajemnego porozumienia, ale unikać zobowiązań, które mogłyby okazać się niemożliwe do wypełnienia. Kiedy podróżował na Zachód w poszukiwaniu pomocy, wybrał chwilę, gdy papieństwo kompromitowała wielka schizma, toteż apelował do władców świeckich,

spodziewając się w ten sposób uniknąć nacisku kościelnego. Jednak pomimo przyjemnego wrażenia, jakie wywarły, podróże nie przyniosły mu korzyści materialnej poza drobnymi sumami, które jego gospodarze wyciągnęli od swoich nie dających się ponieść entuzjazmem poddanych; musiał zaś w 1402 roku pośpieszyć do domu na wiadomość, że sułtan maszeruje na Konstantynopol. Zanim wrócił, stolica jego została ocalona, gdyż tatarski Timur zaatakował tureckie posiadłości od wschodu. Ale ulga, jaką przyniosła Bizancjum klęska sułtana Bajezida pod Ankarą, nie mogła przywrócić do życia umierającego imperium. Potęga książąt otomańskich została obezwładniona tylko na krótki czas. Kłótnie dynastyczne powstrzymywały ich od agresji przez dwadzieścia lat; kiedy zaś w 1423 roku sułtan Murad II wyprawił się na Konstantynopol, musiał niemal od razu odstąpić od oblężenia wskutek intryg rodzinnych i pogłosek o buncie.

Interwencja Timura odroczyła upadek Konstantynopola o pół wieku. Jednak sam Manuel zdołał wyciągnąć z tego niewiele korzyści. Odzyskał kilka miast w Tracji i zapewnił objęcie władzy sułtańskiej przez życzliwego księcia. Gdyby wszystkie mocarstwa europejskie były zdolne utworzyć od razu koalicję przeciwko Turkom otomańskim, groźba przestałaby istnieć. Ale koalicji nie da się zmontować, jeśli nie ma czasu i dobrej woli; brakowało i jednego, i drugiego. Genueńczycy, bojąc się o swój handel, pośpieszyli zarówno wysłać ambasadorów do Timura, jak i dostarczyć okręty dla przewiezienia pobitych żołnierzy tureckich z Azji do Europy. Wenecjanie, obawiając się przechytrzenia ze strony Genueńczyków, pouczyli swe władze kolonialne, by zachowywały ścisłą neutralność. Papiestwo w mękach wielkiej schizmy nie mogło dać przykładu. Świeckie mocarstwa Zachodu pamiętały o klęsce pod Nikopolis i każde z nich miało bliższe, bardziej dla nich istotne sprawy do rozwiązania. Król Węgier, wierząc, że Turcy nie będą mu teraz przez dłuższy czas zagrażać, rzucił się w wir intryg w Niemczech, z których miał wyłonić się jako cesarz Zachodu. Konstantynopolowi nie groziło bezpośrednio niebezpieczeństwo. Dlaczegoż ktokolwiek miałby się teraz o to kłopotać?

W samym Konstantynopolu nie panował taki optymizm. Pomimo świadomości niebezpieczeństwa świetne życie intelektualne kwitło nadal. Starsze pokolenie uczonych już nie żyło. Obecnie obok samego cesarza czołową postacią był Józef Bryennius, dyrektor Akademii Patriarchalnej i profesor uniwersytetu. Był to nauczyciel, który wykształcił ostatnią wybitną generację bizantyjskich uczonych. Bardzo biegły zarówno w zachodniej, jak i greckiej literaturze, pomagał cesarzowi przy wprowadzaniu zachodnioeuropejskich studiów do programu uniwersyteckiego. Skwapliwie i serdecznie witał zachodnich studentów. Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, przyszły papież Pius II, miał później napisać, że w czasie jego młodości każdy Włoch z pretensjami do naukowości twierdził, że studiował w Konstantynopolu. Ale Bryennius, podobnie jak Manuel, przeciwstawiał się unii Kościołów. Nie mógł on zaakceptować rzymskiej teologii i nie zrezygnowałby z bizantyjskich tradycji.

Jeszcze znakomitszy uczony, Jerzy Gemistos Plethon, trochę młodszy

od Bryenniusa, opuścił w tych latach rodzinny Konstantynopol, aby osiedlić się w Mistrze pod patronatem największego erudyty spośród synów cesarza, despotesa Morei, Teodora II. Tam założył Akademię Platońską i napisał wiele książek, w których propagował reorganizację państwa według wytycznych Platona. Uważał, że tylko to może tchnąć nowe życie w świat grecki. Wysuwał sugestie dotyczące spraw społecznych, ekonomicznych i wojskowych, z których niewiele tylko było wykonalnych. W religii był zwolennikiem kosmologii platońskiej z dodatkiem odrobiny epikureizmu i zoroastryzmu. Choć nominalnie prawowierny, chrześcijaństwo nie na wiele mu się przydawało i lubił pisać o Bogu jako o Zeusie. Jego poglądy religijne nigdy nie zostały publicznie ogłoszone. Rękopis, w którym się nimi popisywał, wpadł po jego śmierci i po upadku Konstantynopola w ręce jego starego przyjaciela i dyskutanta, patriarchy Gennadiosa, który czytał go z wzrastającym olśnieniem i przerażeniem, aż w końcu z bólem serca rozkazał go spalić. Pozostało tylko kilka fragmentów.

Plethon gorliwie popierał terminologię, która ujawniała, jak bardzo świat bizantyński się zmienił. Dotychczas wyrazem „*Hellene*” określali Bizantyńczycy - z wyjątkiem, gdy stosowali go do języka - Greka pogańskiego w przeciwstawieniu do chrześcijańskiego. Teraz, kiedy Cesarstwo skurczyło się zaledwie do grupy miast-państw, a świat Zachodu był pełen podziwu dla starożytnej Grecji, humaniści zaczęli siebie nazywać Hellenami. Cesarstwo wciąż było oficjalnie Cesarstwem Rzymskim, ale wyraz „*Romaioi*”, jakim Bizantyńczycy zawsze określali się w przeszłości, został zarzucony w wykształconych kołach, aż wreszcie „*Romaic*” począł oznaczać mowę ludu w przeciwieństwie do języka literackiego. Moda powstała w Tesalonice, gdzie intelektualiści szczególnie byli świadomi swego greckiego dziedzictwa. Mikołaj Kabasilas, sam Tesalończyk, pisał o „naszej helleńskiej wspólnotce”. Kilku współczesnych mu uczonych poszło za tym przykładem. Pod koniec stulecia często zwracano się do Manuela jako cesarza Hellenów. Kilka wieków przedtem nie przyjmowano na dworze żadnej zachodniej ambasady, która przyjeżdżała do Konstantynopola z listami zaadresowanymi do „cesarza Greków”. Obecnie, chociaż kilku tradycjonalistów nie lubiło nowego terminu i choć nikt nie rozumiał go jako rezygnacji z roszczeń ekumenicznych, termin ten rozkwitał, przypominając Bizantyńczykom o ich helleńskim dziedzictwie. W ciągu swych ostatnich dziesięcioleci Konstantynopol miał w pełni świadomość, że jest miastem greckim.

Manuel II wycofał się w 1423 roku czynnego życia i umarł w dwa lata później. Jego przyjaciel, sułtan Mehmed I już nie żył, a za panowania nowego sułtana, Murada II, potęga otomańska stała się silniejsza niż kiedykolwiek. Wiele Greków uwielbiało Murada, który, choć zagorzały muzułmanin, był życzliwy, prawy i sprawiedliwy; jednak charakter jego ujawnił się, kiedy maszerował na Konstantynopol w 1422 roku. Jakkolwiek próba oblężenia miasta skończyła się na niczym, to jednak nacisk na inne części Cesarstwa był taki, że gubernator Tesaloniki, trzeci syn Manuela, Andronik, człowiek chorowity i nerwowy, zwątpił w możliwość utrzymania miasta i sprzedał je Wenecjanom. Ale oni także nie mogli go

utrzymać. Po krótkim obleżeniu w 1430 roku miasto wpadło w ręce Turków. W następnych latach Murad nie zdradzał wielkiej ochoty do agresji. Ale jak długo mogła trwać zwłoka?

Najstarszy syn Manuela, Jan VIII, był tak pewny, że tylko pomoc Zachodu zdoła uratować Cesarstwo, że zlekceważył radę ojca i postanowił przynaglić sprawę unii z Rzymem. Jedynie Kościół zachodni mógł skupić siły Zachodu dla ocalenia imperium. Papiestwo nie mogło teraz odrzucić projektu soboru. Po długich pertraktacjach papież Eugeniusz IV zaprosił cesarza, aby przybył wraz z delegacją na sobór, który odbędzie się we Włoszech. Jan wolałby, żeby sobór odbył się w Konstantynopolu, jednak zaproszenie przyjął. Sobór został otwarty w Ferrarze w 1438 roku, a w następnym roku przeniósł się do Florencji, gdzie prowadzono zasadnicze dyskusje.

Szczegółowa historia soboru stanowi lekturę jałową. Trwały dysputy na temat pierwszeństwa. Czy cesarz miał przewodniczyć, jak przewodniczyli cesarzowie poprzednim soborom? Jak miał być przyjmowany patriarcha Konstantynopola przez papieża? Zdecydowano, że debaty powinny dotyczyć sprawy poprawnej interpretacji kanonów soborów powszechnych i tekstów Ojców Kościoła. Należy przyjąć, że Ojcowie Kościoła, zarówno łacińscy, jak i greccy, byli pod boskim natchnieniem i z niego powstawały ich orzeczenia. Niestety, natchnienie nie zdawało się pociągać za sobą konsekwencji. Ojcowie często się ze sobą nie zgadzali, a czasem nawet występowały między nimi sprzeczności. Istniały przy tym nieustanne trudności z językiem. Rzadko można było w łacinie znaleźć ekwiwalent greckich terminów teologicznych, tak że greckie i łacińskie wersje kanonów soborowych często były rozbieżne. Trzeba przyznać, że Łacinnicy mieli przewagę w debatach. Ich delegacja składała się ze świetnie wykształconych polemistów, którzy współpracowali ze sobą jako zespół, przy czym doradzał im papież, sam pozostający w cieniu. Delegacja grecka była bardziej rozbita. Biskupi stanowili żałosną grupę, jako że wielu cieszących się poważaniem odmówiło swego udziału. Aby wzmocnić ich intelektualnie, cesarz mianował trzech uczonych mnichów na stanowisko metropolitów. Byli to: Bessarion z Trebizondy, metropolita Nicei, Izydor, metropolita Kijowa i całej Rusi, i Marek Eugenikos, metropolita Efezu. Dodał też czterech świeckich filozofów: Jerzego Scholariosa, Jerzego Amirutzesza, Jerzego z Trebizondy i sędziwego Plethona. Patriarchów Wschodu proszono, by wyznaczili delegatów spośród obecnych biskupów; zastosowali się do tego niechętnie, nie udzielając swym przedstawicielom pełnomocnictw. Wedle tradycji ortodoksyjnej każdy biskup, łącznie z patriarchą, jest równie natchniony w przedmiocie doktryny, gdy tymczasem laicy mają prawo wyrażania teologicznych opinii. W ten sposób każdy dyskutant szedł swą własną drogą. Patriarcha, sympatyczny starszek imieniem Józef, bękart pewnego księcia bułgarskiego i greckiej damy, nie był bardzo mądry, znajdował się w złym stanie zdrowia i nie miał znaczenia. Sam cesarz zwykł interweniować, żeby zapobiec dyskusji w kłopotliwych punktach, takich jak doktryna o energiach. Wśród Greków nie było żadnej więzi ani ustalonej polityki, a wszystkim im brakowało pieniędzy i wszyscy gorąco pragnęli wrócić do domu.

W końcu unie przeforsowano. Spośród filozofów przyjęli ją Jerzy Scholarios, Jerzy Amirutzes i Jerzy z Trebizondy, wszyscy trzej wielbicieli Tomasza z Akwinu. Plethonowi udało się odmówić podpisu. Uważał on, że Kościół łaciński jest jeszcze bardziej wrogi wolnej myśli niż grecki. Niemniej jednak wspaniale spędzał czas we Florencji. Fetowano go jako czołowego uczonego platońskiego, a Cosimo de' Medici założył na jego cześć Akademię Platońską. Tak więc jego opozycja została przytłumiona. Patriarcha Józef, zgodziwszy się z Łacinnikami, że ich formuła o Duchu Świętym pochodzącym od Syna oznacza to samo, co grecka formuła o Duchu Świętym pochodzącym przez Syna, zachorował i umarł. Pewien nieuprzejmy uczonek zauważył, że pogmatwawszy przyimki, cóż innego mógł uczynić w przyzwoity sposób? Bessariona i Izydora przekonały poglądy Łacinników. Byli oni pod wrażeniem nauki Włochów i pragnęli połączyć w jedną całość kulturę grecką i włoską. Wszyscy inni biskupi greccy, z jednym wyjątkiem podpisali akt unii, niektórzy z zastrzeżeniem, skarżąc się na nacisk i groźby ze strony cesarza. Wyjątkiem był Marek z Efezu, który nie chciał podpisać, mimo iż groziło mu to utratą metropolii. Sam akt, jakkolwiek pozwalał na pewne zwyczaje greckie, nie był niczym więcej jak deklaracją doktryny łacińskiej, chociaż punkt o stosunku papieża do soborów pozostawiono trochę niejasny.

Łatwiej było podpisać unię niż wprowadzić ją w czyn. Kiedy delegacja wróciła do Konstantynopola, spotkała ją nie ukrywana wrogość. Wkrótce też Bessarion, pomimo że cieszył się wielkim szacunkiem, uznał za roztropne usunąć się do Włoch, gdzie przyłączył się doń Izydor, którego rodacy z gniewem się wyparli. Patriarchowie Wschodu odmówili przyjęcia zobowiązań podpisanych przez ich delegatów. Cesarzowi trudno było znaleźć kogoś do objęcia patriarchy Konstantynopola. Pierwszy jego nominat umarł niemal od razu. Następny, Grzegorz Mammas, trzymał się kurczowo tego stanowiska przez sześć lat, bojkotowany przez prawie cały swój kler, po czym przeniósł się w bardziej przyjazną atmosferę Rzymu. Marek z Efezu został zdegradowany, co miało tylko ten skutek, że naród uważał go za prawdziwą głowę hierarchii kościelnej. Spośród filozofów Jerzy z Trebizondy przeniósł się do Włoch. Jerzy Scholarios zaczął mieć wątpliwości, bardziej z przyczyn politycznych niż religijnych. Pozostał on wielbicielem scholastyki, ale zdecydował, że unia nie leży w interesie Greków. Wycofał się do klasztoru pod zakonnym imieniem Gennadiosa. Kiedy umarł Marek z Efezu, stał się uznanym przywódcą partii antyunijnej. Jerzy Amirutzes miał posunąć się dalej i badać możliwości porozumienia z islamem. Sam cesarz zastanawiał się, czy postąpił słusznie. Nie chciał odrzucić unii, ale pod wpływem swojej matki, cesarzowej Heleny, przestał ją narzucać. Wszystko, co unia wniosła, ograniczało się do rozłamu i goryczy w zamierającym mieście.

Gdyby szybko potem nastąpiła udana wyprawa przeciwko Turkom, może by unia zdobyła niechętną akceptację. Papież Eugeniusz ogłosił krucjatę w 1440 roku i w końcu zorganizował armię, złożoną głównie z Węgrów, która przekroczyła Dunaj w 1444 roku. Ale kardynał Cesarini, legat papieski, najpierw zmusił dowódcę wojskowego, Jana Hunyadięgo, wojewodę Siedmiogrodu, do złamania uroczystego traktatu z sułtanem na

zasadzie, że przysięgi złożone niewiernym są nieważne, potem zaś pokłócił się z nim na temat strategii. Sułtan Murad nie miał wielkich trudności w zmiążdżeniu sił krzyżowców pod Warną na wybrzeżu Morza Czarnego.

Wielu zachodnim historykom wydaje się, że Bizantyńczycy, odrzucając unię niepotrzebnie i uparcie, popełniali samobójstwo. Prosty lud prowadzony przez mnichów powodował się namiętą lojalnością względem swej wiary, swojej liturgii i swoich tradycji, które uważał za nakaz boski; byłoby grzechem wyrzec się ich. Religia przepajała ducha czasu. Bizantyńczycy wiedzieli, że to ziemskie życie stanowi jedynie preludium do życia wiecznego, które przyjdzie. Kupienie sobie bezpieczeństwa doczesnego tu, na ziemi, kosztem zbawienia wiecznego nie mogło być brane pod uwagę. Istniała też w nich domieszka fatalizmu. Jeżeli miało spaść na nich nieszczęście, byłaby to kara za ich grzechy. Bizantyńczycy byli pesymistami. W wilgotnym, melancholijnym klimacie Bosforu przyrodzona wesołość Greków uległa przytłumieniu. Nawet za wielkich dni imperium ludzie szeptali sobie proroctwa, że nie będzie ono trwało wiecznie. Dobrze wiedzano, że na kamiennych budowlach w całym mieście i w księgach napisanych w przeszłości przez mędrców sporządzony był spis cesarzy i że zbliża się do końca. Panowania antychrysta nie da się dłużej odwlec. Nawet tych, którzy ufali, że Matka Boska nigdy nie pozwoli, aby poświęcone miasto wpadło w ręce niewiernych, było teraz niewielu. Unia z heretyckim Zachodem nie mogła przynieść ocalenia, nie mogła też zmienić przeznaczenia.

Może ów pobożny pogląd był ignorancki i wąski. Jednak byli również rozważni mężowie stanu, którzy wątpili w korzyści unii. Wielu z nich obliczało nie bez racji, że Zachód nigdy nie będzie zdolny do wysłania dość skutecznej pomocy, aby utrzymała w szachu wspaniale zorganizowaną potęgę militarną Turków. Inni, głównie wśród duchowieństwa, bali się, że unia doprowadzi jedynie do dalszej schizmy. Czyż właśnie Grecy, którzy walczyli tak długo, aby zachować swą jedność wobec prześladowań frankijskich władców, nie czuliby, że zostali zdradzeni? Coraz więcej Greków dostawało się pod tureckie rządy i kontakt ich z Konstantynopolem mógł się utrzymać tylko przez Kościół. Jeżeli patriarchat oddał się Zachodowi, to czy tamte kongregacje pójdą za jego przykładem? Ich władcy na pewno na to się nie zgodzą. A czy wierni z Kaukazu, znad Dunaju i z Rusi są skłonni przyłączyć się do unii? Siostrzane patriarchaty Wschodu jasno wyraziły swoją dezaprobatę. Czy można się spodziewać, że prawosławni - zależni od patriarchatu bizantyńskiego, ale niezależni od Cesarstwa - zaakceptują religijne zwierzchnictwo Zachodu po to tylko, ażeby ocalić Cesarstwo? Wiedzano zwłaszcza, że mieszkańcy Rusi z nienawiścią patrzą na Kościół łaciński, jako Kościół ich polskich i skandynawskich wrogów. Memorandum z 1437 roku mówi nam, że spośród 67 stolic metropolitalnych, podległych patriarsze Konstantynopola, zaledwie 8 pozostawało pod panowaniem cesarza, a nadto 7 w despotacie Morei. Inaczej mówiąc, unia z Rzymem mogła kosztować patriarchę utratę przeszło trzech czwartych podległych mu biskupów. Był to potężny argument uzupełniający naturalną niechęć Bizantyńczyków do poświęcenia swej wolności religijnej. Kilku mężów

stanu wybiegało jeszcze dalej naprzód. Bizancjum, jak to mógł dostrzec każdy chłodny obserwator, było skazane. Jedyna szansa zjednoczenia greckiego Kościoła, a razem z nim greckiego narodu, mogła też leżeć w przyjęciu tureckiej niewoli, której podlegała już większość Greków. Tylko w ten sposób byłoby możliwe przywrócenie prawowiernego narodu greckiego i tchnięcie weń nowego życia, tak że za jakiś czas mógłby on odzyskać dość sił, by zrzucić jarzmo niewiernych i odtworzyć Bizancjum. Z małymi wyjątkami żaden Grek nie był tak dalece pozbawiony dumy, iżby rozważał dobrowolne poddanie się niewiernemu ciałem, a co więcej, iżby dobrowolnie poddał swa duszę Rzymowi. Ale czy pierwsze nie byłoby mądrzejszą linią postępowania, jeśli wykluczało drugie? Jedność grecka mogłaby lepiej być zachowana przez naród zjednoczony pod rządem muzułmańskim niż przez okruch przyczepiony do brzegu zachodniego świata. Uwaga przypisana ostatniemu wielkiemu ministrowi Bizancjum, Łukaszowi Notarasowi, przez jego wrogów: „Lepszy turban sułtana niż kapelusz kardynała”, nie była tak oburzająca, jak się wydaje w pierwszej chwili.

Dla Bessariona i jego towarzyszy, humanistów, działających gorliwie i z poświęceniem we Włoszech, ażeby uzyskać pomoc dla swych ziomków, atmosfera w Konstantynopolu wydawała się dziwna, pozbawiona realizmu i zaściankowa. Byli oni przekonani, iż unia z Zachodem dałaby taką siłę kulturową i polityczną, dzięki której Bizancjum mogłoby jeszcze powstać na nowo. Kto potrafi powiedzieć, czy się mylili?

Cesarz Jan VIII żył przez dziewięć nieszczęśliwych lat po swym powrocie z Włoch. Powrócił, aby się dowiedzieć, że jego ukochana cesarzowa, Maria z Trebizondy, zmarła na morową zarazę. Nie miał dzieci. Jego bracia spędzali czas na wzajemnych kłótniach na Peloponezie albo intrygując przeciw niemu w Tracji. Z całej rodziny mógł zaufać tylko sędziwej matce, cesarzowej Helenie, ale ona nie lubiła jego polityki. Próbował najlepiej, jak mógł, utrzymać pokój w swej rozdwojonej stolicy, kierując się wyrozumiałością i taktem. Roztropnie wydawał wszystkie pieniądze, jakie państwo było w stanie zaoszczędzić, na naprawy wielkich murów obronnych miasta, aby mogły być przygotowane na nieunikniony atak turecki. Śmierć przyszła nań jako ulga 31 października 1448 roku.





Rozdział 2

POTEŹNIEJĄCY SUŁTANAT

W dniach dawnej wielkości pomyślność Bizancjum wiązała się z posiadaniem Anatolii. Ogromny ten półwysep, znany starożytnym jako Azja Mniejsza, za czasów rzymskich należą do najludniejszych obszarów świata. Upadek Cesarstwa Rzymskiego i towarzyszące mu zarazy, szerzenie się malarii, a następnie perskie i arabskie najazdy w VII - VIII wieku przerzedziły ludność. Bezpieczeństwo powróciło w IX stuleciu. Dobrze zaplanowany system obrony zmniejszył ryzyko nieprzyjacielskich napadów. Rolnictwo mogło z powrotem się rozwinąć i znaleźć rynki dla swych produktów w Konstantynopolu i w kwitnących miastach wybrzeża. Bogate zachodnie doliny obfitowały w oliwki, drzewa owocowe i zboże. Stada owiec i bydła wędrowały po wyżynach, a gdzie można było utrzymywać w dobrym stanie nawodnienie, tam uprawiano rozległe pola pszenicy. Cesarze byli przeciwni wielkim posiadłościom; woleli, by ziemię posiadały komuny wiejskie, z których liczne opłacały dzierżawę, dostarczając żołnierzy do armii cesarskiej lub do lokalnej milicji. Rząd centralny sprawował nadzór przez częste inspekcje i przez płacenie poborów urzędnikom prowincjonalnym ze skarbu cesarskiego.

Pomyślność zależała od dobrze strzeżonych granic. Tam, na pograniczu, przeważał inny styl życia. Obrona granic powierzona była baronom kresowym, *akritai*, ludziom, którzy spędzali życie albo najeżdżając nieprzyjacielskie ziemie, albo kontratakując najazdy wroga. Byli to samowolni, niezależni ludzie, urażeni wszelką próbą kontroli ze strony rządu, nie chcąc nigdy płacić podatków, oczekujący raczej nagrody za swe usługi. Rekrutowali swoje świty spośród awanturników wszelkiego rodzaju; albowiem na tych wszystkich ziemiach i mało było życia osiadłego, i niewiele spoistości narodowej, chyba tam, gdzie osiedlili się Ormianie i utrzymywali swoje tradycje. Stan wojenny trwał nieustannie, bez względu na to, czy rządy bizantyńskie i arabskie były oficjalnie na stopie pokojowej, czy też nie; ale kresowi baroni nie żywili nieprzyjaznych uczuć do swoich rywali spoza granicy, prowadzących podobny tryb życia. Może muzułmańscy nadgraniczni panowie byli trochę bardziej fanatycznie przywiązani do swej wiary, ale ich fanatyzm nie był tak wielki, aby przeszkadzał w utrzymywaniu kontaktów lub nawet w zawieraniu małżeństw. Po obu stronach granicy oficjalna religia nie cieszyła się dużą popularnością. Wielu wśród *akritai* należało do separatystycznego Kościoła armeńskiego i niemal wszyscy oni chętnie udzielali ochrony heretykom; jednocześnie zaś heretycy mahometańscy zawsze mogli znaleźć schronienie u muzułmańskich panów kresowych.

System ten załamał się chwilowo wskutek upadku kalifatu i nowego,

agresywnego nastroju w Bizancjum. Od połowy X stulecia armie cesarskie odzyskały wielkie tereny na ziemiach granicznych, głównie w Syrii. Nowa granica nie biegła przez dzikie góry, lecz przecinała obszary uprawne i gęsto zaludnione. Obrona jej mogła być zorganizowana pod zwierzchnictwem urzędników z Konstantynopola, stacjonujących w Antiochii albo w innym odbitym mieście. Poprzedni baroni kresowi byli niepotrzebni. Wynagrodzili sobie to lokując bogactwa, zdobyte w ostatnich wyprawach, w posiadłościach ziemskich w całej Anatolii. Ale pozostali nadal dumni i niekarni, otaczając się armiami zbrojnej służby, przeważnie zacigniętej w dawniejszych wolnych wsiach, nad którymi zwykle bezprawnie wykupili zwierzchnictwo. Tworzyli podstawę ziemskiej arystokracji, której potęga zachwiała rządem cesarskim w połowie XI wieku. Jednocześnie centralna administracja usiłowała objąć władzę nad armeńskim pograniczem dalej na północy i formalnie anektowała rozległe prowincje, wciągając je w znienawidzoną sferę bizantyńskiego poborcy podatkowego i bizantyńskich władz kościelnych. Wywołane tym oburzenie osłabiło obronę granic.

Umocnienia graniczne miały teraz stawić czoło ludowi, z którym dotychczas bizantyńskie kontakty układały się zazwyczaj przyjaźnie. W ciągu kilku ubiegłych stuleci wielkie równiny Turkiestanu wysychały i plemiona tureckie posuwały się na zachód w poszukiwaniu nowych siedzib. Bizancjum zetknęło się z Turkami z Azji Środkowej już w VI wieku i dobrze znało plemiona tureckie, które przeniosły się na stepy Rusi: wyrafinowanych judaizujących Chazarów (dwie księżniczki z tego plemienia poślubiły bizantyńskich cesarzy) oraz bardziej dzikich Pieczyngów i Kumanów, najeżdżających od czasu do czasu cesarskie terytoria, ale jednocześnie posyłających chętne oddziały do służby w cesarskich armiach. Wielu takim najemnikom dawano stałe siedziby na obszarach Cesarstwa, zwłaszcza w Anatolii, gdzie przyjmowali oni chrześcijaństwo. Jednak najbardziej aktywny lud turecki, Oguzowie, kierowali swe wędrówki przez Persję ku ziemiom arabskiego kalifatu. Podobnie jak w armiach cesarskich, były też pułki tureckie w armiach kalifa; te jednak przyjmowały mahometanizm. W miarę jak potęga kalifa upadała, wzmagaly się siły tureckich wasali. Pierwszy wielki Turek muzulmański, Mahmud Gaznawid, zbudował imperium na wschodzie, rozciągające się od Isfahanu do Buchary i Lahaur. Jednak po jego śmierci hegemonia wśród Turków przeszła w ręce książąt plemienia Oguzów, rodziny Seldzuka. Potomkowie owego na wpół mitycznego księcia zdobyli panowanie nad Turkami osiedlonymi na ziemiach kalifatu, a imigranci z Turkiestanu chętnie uznali ich przewodnictwo. Około 1055 roku Tugril Bej, głowa rodu, nie tylko założył własne królestwo, obejmujące Persję i Chorasán wraz z apanażami dla braci i kuzynów na północnych granicach, lecz został również zaproszony przez kalifa z dynastii Abbasydów w Bagdadzie, aby przyjął świeckie rządy nad jego posiadłościami.

Zaproszenie kalifa wynikało z obawy przed rywalizującym z nim kalifatem Fatymidów z Egiptu, którzy już władali większą częścią Syrii. Fatymidzi utrzymywali dobre stosunki z Cesarstwem Bizantyńskim, a książęta seldzuccy chcieli koniecznie uniknąć jakiegokolwiek akcji za strony

Bizantyńczyków na północnej granicy państwa Abbasydów, popierającej atak Fatymidów. Znaczna liczba tureckich pomniejszych książąt wraz ze swoimi zwolennikami osiedliła się już na bizantyńskim pograniczu i odgrywała rolę kresowych baronów, dokonując najazdów, ilekroć nadarzała się okazja. Następca Turgila, jego bratanek Alp-Arslan, był zdecydowany położyć kres wszelkiemu niebezpieczeństwu agresji bizantyńskiej. Złupił on i zaanektował starą stolicę armeńską, Ani, i zachęcał swych nadgranicznych baronów do wzmożenia najazdów. Bizancjum odpowiedziało, zajmując ostatnie niepodległe księstwo armeńskie. Ale garnizony cesarskie nie były dość silne, aby zahamować najazdy; nie było zaś teraz *akritai*, żeby się tym zająć. W 1071 roku cesarz Romanus Diogenes zdecydował, że potrzebna jest wojskowa ekspedycja w celu zabezpieczenia granicy. Ostatnie oszczędności zredukowały armie cesarską; przy tym cesarz był uzależniony głównie od wojsk najemnych, po części z Europy Zachodniej, lecz w większym stopniu spośród kumańskich Turków. Alp-Arslan przebywał w Syrii, wojując z Fatymidami, kiedy usłyszał o ekspedycji. Uznał, że jest to krok w kierunku sojuszu między Fatymidami i Bizancjum i pośpieszył na północ, aby się temu przeciwstawić. To dziwne, że w tej kampanii, która miała być decydująca dla historii świata, każda strona była przekonana, że podejmuje akcję obronną.

Rozstrzygająca bitwa odbyła się w piątek, 19 sierpnia 1071 roku, w pobliżu miasta Mantzikert. Romanus był odważnym człowiekiem, ale marnym taktykiem, a jego najemnym wojskom nie można była zaufać. Armia została rozgromiona, a on wzięty do niewoli.

Alp-Arslan, zadowolony, że Bizancjum nie będzie już dłużej zagrażało jego flance, zwolnił cesarskiego jeńca na łagodnych warunkach i powrócił do swoich głównych spraw w Syrii. Ale jego kresowi baroni mieli inne pomysły. Bizantyńskie umocnienia graniczne były zrujnowane, a kryzys polityczny w Konstantynopolu uniemożliwiał jakiegokolwiek próby ich naprawienia. Nieliczni *akritai*, którzy pozostali, przeważnie Ormianie, nie mieli żadnej możliwości komunikowania się ze stolicą. Aby się obwarować, przesunęli się wraz ze swymi ludźmi do odosobnionych fortec. Drobnymi książętami tureccy nasilili swoje napady; następnie, znajdując tak mały opór, osiedlili się na terenach wcześniej zajętych przez siebie, kolonizując je swymi ludźmi i innymi tureckimi współplemieńcami chętnymi do okupowania tych bogatych obszarów.

Od pewnego czasu muzułmańskim baronom kresowym dawano tytuł *ghazi*, bojowników za wiarę. *Ghazi* był to mniej więcej odpowiednik chrześcijańskiego rycerza. Miał on najprawdopodobniej jakieś insygnia i składał jakąś przysięgę zwierzchnikowi, w ideale - kalifowi; był też posłuszny *futuwwa*, owemu mistycznemu kodeksowi postępowania moralnego, który rozwinął się w X i XI wieku i został przyjęty przez cechy i korporacje świata islamu. Tureccy *ghazi* byli w istocie żołnierzami i zdobywcami. Nie interesowali się zorganizowanym rządem. Kiedy posuwali się naprzód i obejmowali jakieś terytorium, zarządzili nimi tak, jak zarządzili swymi kresowymi posiadłościami, wtrącając się bardzo mało do miejscowej ludności - która, prawdę mówiąc, liczyła na to, że obronią ją

przed innymi najeźdźcami - oraz finansując swoje rządy osiągniętymi z napadów zdobycami. W ziemiach granicznych, przyzwyczajonych od stuleci do takiego trybu życia, ich przybycie nie wywoływało wielkiej niechęci. Ich ludzie mogli w pewnym stopniu zastąpić chrześcijan, którzy uciekli do pewniejszych schronień. Ale ludność i tak była już pomieszana i płynna; napływ Turków czynił niewielką różnicę w ogólnej strukturze. W miarę jednak jak posuwali się dalej w głąb Azji Mniejszej, struktura ta zmieniała się. W pewnych okręgach chrześcijanie uciekali przed nimi, pozostawiając tereny, które mogły zajmować plemiona tureckie. W innych chrześcijańskie miasta i wsie próbowały się utrzymać, ale wkrótce zostały izolowane i zmuszone do poddania się rządóm najeźdźców. Najazdy powodowały szybką ruinę dróg, mostów, studni i kanałów nawadniających. Dawna gospodarka nie mogła się utrzymać.

W braku zorganizowanego oporu najeźdźcy *ghazi* zdołali zalać cały półwysep, pozostawiając w rękach bizantyńskich tylko kilka okręgów nadmorskich. Dopiero kiedy cesarz Aleksy Komnenos zreorganizował imperium, odtworzywszy cesarską armię i wykorzystując dyplomację do wygrywania każdego przywódcy *ghazi* przeciwko jego sąsiadom, wtedy teren odzyskano. Tymczasem dynastia Seldżuków, zaniepokojona chaosem w Anatolii, wysłała jednego ze swych młodszych członków, aby zorganizował zdobycze terytorialne na wzór królestw muzułmańskich. Zadania seldżuckiego władcy, Sulejmana, i jego syna, Kilidż-Arslana stawały na przeszkodzie wojny i intrygi Aleksego oraz pomoc udzielona Bizancjum przez żołnierzy pierwszej wyprawy krzyżowej. W początkach XII wieku granica pomiędzy ziemią bizantyńską a turecką ustaliła się mniej więcej wzdłuż linii oddzielającej żyzne doliny zachodniej Anatolii oraz północne i południowe okręgi nadmorskie od wyżyny centralnej. Jednakże władcy Seldżuków mniej byli zainteresowani w stosunkach z Bizancjum niż w swoich usiłowaniach narzucenia panowania książętom *ghazi*, w szczególności wielkiemu rodowi Daniszmendydów. Pilnie też czuwali nad krajami wschodnimi, gdzie leżał ośrodek ich rodzinnej potęgi.

Niemoc Bizancjum pod koniec XII wieku i niepowodzenie czwartej wyprawy krzyżowej umożliwiło księstwu Seldżuków powiększenie swych terytoriów. W pierwszej połowie XIII wieku seldżuccy sułtani Ar-Rumu, jak ich zazwyczaj nazywano stosownie do ich posiadłości w sercu starych ziem rzymskich i bizantyńskich, byli poważanymi i potężnymi figurami w świecie muzułmańskim. Utrwalili oni swą władzę nad książętami *ghazi*. Zachowywali zwykle dobre stosunki ze swoimi bizantyńskimi sąsiadami, cesarzami Nicei. Zrezygnowali ze wschodnich ambicji i zadowalali się zarządzaniem swym uporządkowanym i tolerancyjnym państwem ze stolicy w Konyi. Wskrzესili życie miejskie i naprawili drogi komunikacyjne; popierali sztukę i naukę. Budzi uznanie dla ich mądrych i sprawnych rządów fakt, że przekształcenie Anatolii z kraju przeważającej mierze chrześcijańskiego w kraj głównie muzułmański odbyło się tak gładko, iż nikt nie zadał sobie trudu, aby zarejestrować szczegóły.

Dobroczynne rządy Seldżuków skończyły się wraz z najazdem

Mongołów. Przede wszystkim pewna liczba plemion tureckich, uciekających przed armiami mongolskimi, wkroczyła do Azji Mniejszej. Osiedlili się oni na pograniczu zachodnim, gdzie przyłączyli się do *ghazi*, którzy burzyli się pod władzą Seldżuków. W 1243 roku zjawili się sami Mongołowie. Sułtan Seldżuków poniósł druzgocącą klęskę, z której jego królestwo nigdy się nie podniosło. Odtąd on i jego następcy byli hołdownikami i wasalami mongolskiego ilchana Persji, a ich potęga i znaczenie upadły. W ciągu niespełna stulecia dynastia wygasła.

Zmierzch sułtanatu seldżuckiego stopniowo uwalniał nadgranicznych książąt *ghazi* od skrepowania. Coraz więcej uchodźców spod rządów mongolskich przyłączało się do nich, urzędnicy z miast Seldżuków, wieśniacy z obszarów zniszczonych lub nadmiernie opodatkowanych, święci mężowie, szejkwowie i derwisze, z których wielu uważano za heretyków w kołach ortodoksyjnie muzułmańskich, ale których fanatyzm dobrze pasował do kresowego ducha. Przymus i wiara na równi przynaglały ich do atakowania chrześcijan. Z początku nie było to jednak łatwe. Cesarze z Nicei bardzo dbali o pogranicze, pobudzając *akritai*, lecz trzymając ich pod nadzorem. Jednak odzyskanie Konstantynopola w 1261 roku, choć chlubne, miało swoje ujemne strony. Od tej pory Cesarstwo było mocno wmieszane w sprawy europejskie, stając wobec gróźb nie tylko ze strony państw bałkańskich, ale również ze strony mocarstw Zachodu, żądnych pomszczenia upadku Cesarstwa Łacińskiego. Wycofano wojska z garnizonów azjatyckich. Oszczędności w marynarce wojennej osłabiły obronę wybrzeży. W całym imperium wzrosło opodatkowanie, ażeby móc opłacić jego nowe zobowiązania. *Akritai* przekonali się, że są słabo podtrzymywani i źle płatni. W ostatnich trzydziestu latach XIII wieku kilku *ghazi* przeniknęło poprzez granicę. Wobec przeludnienia po ich stronie granicy, żądni zdobyczy i pobudzeni przez swych religijnych przywódców, napływali masowo ze swymi ludźmi na pozostałe ziemie bizantyńskie Azji. Słabe próby cesarskiej armii, aby wypędzić ich z powrotem, kończyły się niepowodzeniem. Niektórzy z nich, bardziej przedsiębiorczy, jak książęta Montesze i Aydinu, atakowali zarówno od strony morza, jak i lądu; flota bizantyńska była jednak zbyt słaba, żeby przeszkodzić im w zajęciu kilku wysp oraz zachodnioanatolijskich ziem nadbrzeżnych. Około 1300 roku wszystko, co pozostało Bizancjum w Azji, poza jednym lub dwoma izolowanymi miastami, ograniczały się do równin między Olimpem Bityńskim i Morzem Marmara, do półwyspu wysuniętego w stronę Bosforu i dochodzącego w głąb lądu do rzeki Sangarios oraz do wybrzeży Morza Czarnego, 160 kilometrów w kierunku wschodnim.

W ruchach tych najpierw wiódł prym na południowym zachodzie Azji Mniejszej emirat Montesze. Jednak potęga jego została pomniejszona, kiedy joannici zdobyli Rodos i usadowili się na nim. Hegemonami stali się teraz emirowie Aydinu, pierwsi wśród azjatyckich Turków, którzy napadali na europejskie wybrzeża Morza Egejskiego. Trzeba było połączonych sił Wenecji, Cypru i joannitów, aby ich powściągnąć. Dalej na północ rządili książęta Sarachanu z główną kwaterą w Magnisie lub Magnezji, do niedawna drugiej stolicy cesarzy nicejskich, a za nimi książęta Karasi, osiedleni na równinie Troi. Na wybrzeżu Morza Czarnego istniał emirat

Ghazi Czelebi w Synopie, słynny ze swych pirackich wyczynów. Istniało też kilka pomniejszych emiratów w głębi lądu; były także dwa wielkie emiraty, Karamania i Dżermijan, oba uważające się za dziedziców Seldżuków i oba zdecydowane na utworzenie uporządkowanego państwa, nadzorującego *ghazi*. Książęta Karamanii, którzy zajęli Konyę w 1327 roku, znajdowali się zbyt daleko granicy, by móc wyeliminować lokalnych *ghazi*. Książęta Dżermijan, których stolicą była Kütahya, odmówili noszenia tytułu *ghazi*, ale próbowali rozciągnąć jakąś władzę nad sąsiednimi panami *ghazi*, zresztą wielu z nich było z pochodzenia dżermijańskimi dowódcami wojskowymi. Na ogół im się to udało. Emiraty leżące wzdłuż wybrzeży egejskich i na granicy bizantyńskiej traktowały ich - z jednym wyjątkiem - z szacunkiem i respektem, chociaż nigdy nie uznawały w istocie ich zwierzchnictwa. Jedyny wyjątek stanowiło małe państewko utworzone w ciągu drugiej połowy XIII wieku na ziemiach pogranicznych, położonych na wschód od Olimpu Bityńskiego. Założycielem jego był niejaki Ertogrul, który zmarł w 1281 roku, a następcą został jego syn Osman. Pochodzenie rodziny Osmanli lub Otomanów, jak zwano potomków Osmana, zmieniły i ozdobiły legendy stworzone, gdy rodzina ta osiągnęła wielkość. Podaje nam się wykaz 21 przodków dochodzących aż do Noego, chociaż później dodano jeszcze 31 przodków, ażeby uczynić chronologię bardziej przekonującą. Linia ta obejmuje eponimicznego bohatera Oguz Chana, założyciela Turków Oguz, oraz jego syna, Gök Alpa, wnuka Czamundura, który jest tym samym, co Czawudur, według innych legend jeden z 24 wnuków Oguza, od którego pochodziły 24 główne plemiona Oguzów. Jednak, jakkolwiek istniało plemię Czaudar, które zostało pod koniec XIII wieku wchłonięte przez państwowy ustrój otomański, było to plemię odrębne, początkowo wrogie przywództwu Osmana. Inna znów legenda wyżej podnosiła rodzinę, dając jej jako przodka najstarszego wnuka Oguza, Kayi, syna Gun Chana, i w ten sposób czyniąc Otomanów gałęzią najstarszego plemienia Oguzów. Ale tradycja ta pojawia się dopiero w XV wieku, kiedy już powszechnie przyjęta była inna tradycja, o pochodzeniu od Gök Alpa. Pochlebcy dworscy w XV wieku skomplikowali genealogię, dając dynastii przodków arabskich, choć ona nie przypisywała sobie nigdy pochodzenia od samego Proroka; rodowód jego potomków był zbyt dobrze znany. Zdobywca sułtan Mehmed II starał się wywrzeć wrażenie zarówno swych tureckich, jak i greckich poddanych, popierając teorię, że rodzina jego wywodzi się od pewnego księcia z cesarskiego rodu Komnenów, który wyemigrował do Konyi, tam nawrócił się na islam i został mężem pewnej księżniczki z domu Seldżuków.

Nie ma żadnego pewnego świadectwa popierającego którąś z tych teorii. Ostrożny historyk dojdzie do wniosku, że Ertogrul nie był przywódcą plemienia, lecz zdolnym przywódcą *ghazi* niewiadomego pochodzenia, który w jakiś sposób przedostał się na granicę i tam dzięki swej dzielności zebrał wokół siebie dostateczną liczbę zwolenników, umożliwiającą mu założenie emiratu. Główny jego atut stanowiło geograficzne położenie ziem, które zajął. Społeczność *ghazi*, aby usprawiedliwić swe istnienie, musiała najeżdżać i posuwać się naprzód na

terytorium niewiernych. Jednak pod koniec XIII wieku prawie wszyscy emirowie *ghazi* dotarli do granic Azji Mniejszej. Bizantyńczycy wycofali się, a dalszemu postępowi stało na przeszkodzie morze. Chociaż przedsiębiorczy piraci w rodzaju emirów Aydinu i Synopy mogli z korzyścią najeżdzać nieprzyjacielskie wybrzeża, jednak żaden z nich nie miał tylu okrętów, aby móc transportować dostateczną liczbę swych ludzi w celu założenia kolonii zamorskich. Oprócz emiratów, które graniczyły z Cesarstwem Trebizondy daleko na wschodzie, jedynie terytorium odziedziczone przez Osmana stykało się z granicą niewiernych. Toteż na ziemi Osmana napływały teraz najbardziej przedsiębiorcze elementy spośród Turków, przywódcy *ghazi* żądni znalezienia bogatych terenów, które można było jeszcze najeżdzać, derwisze i uczeni, pragnący uciec jak najdalej od zniechęconych Mongołów, oraz jednolita masa chłopów plemiennych, wciąż poszukujących siedzib, gdzie by się mogli osiedlić wraz ze swymi stadami. Tak więc mały emirat Osmana zasiedliły ogromne rzesze ludzi.

Gdyby Osman nie był genialnym wodzem, mógłby zostać załany przez tych imigrantów. Niewiele wiemy, jak sobie z nimi radził. Jest rzeczą znamioną, że w najstarszym zachowanym zapisie, w którym władca otomański przybiera tytuł sułtana, w inskrypcji umieszczonej przez syna Osmana, Orhana, na meczecie w Brusie, formułka brzmi: „Sułtan, syn Sułtana Ghazi, Ghazi, syn Ghazich, władca horyzontów, bohater świata.” A więc właśnie jako najwyższy przywódca *ghazi* Osman ustalił swoją władzę. Kiedy inni emirowie *ghazi*, niezdolni już do żadnych działań, zaczęli kłócić się między sobą, Osman zaofiarował życie *ghazi* każdemu, kto przyjął jego dowództwo.

Cesarstwo Bizantyńskie nie mogło zlekceważyć prowokacji. Najmądrzejszym postępowaniem byłaby chyba szybka ewakuacja armii z Anatolii i pozostawienie kraju Osmanowi, ze skoncentrowaniem swej potęgi na siłach morskich, dość mocnych, by przeszkodzić jakiegokolwiek próbie przepłynięcia się przez cieśniny do Europy. Wówczas gdyby Osman przekonał się, że jego ekspansję blokuje morze, jego emirat także mógłby podupać, a zwolennicy rozproszyć się w poszukiwaniu innych pól działania. Ale takiej zdolności przewidywania i powściągliwości nie można się było spodziewać. W Konstantynopolu nie uświadamiano sobie początkowo znaczenia Osmana. To przeciwko Turkom z Aydinu i Magnisy armie cesarskie wysyłano bez powodzenia w ciągu ostatnich dziesięcioleci XIII wieku. Dopiero kiedy Osman rozbił w 1301 roku siły bizantyńskie w pod Bafeum, między Niceą i Nikomedią, i zaczął osiedlać swych ludzi na północ od góry Olimp, zwrócono na niego baczniejszą uwagę. Bizantyńczycy nie mogli bojaźliwie zgodzić się na muzułmańską okupację swoich ostatnich posiadłości azjatyckich, ziem, które widać było z samej stolicy. Jednak ich kontrakcja była źle zorganizowana i bezowocna. W 1305 roku Kompania Katalońska, którą cesarz Andronik II zaangażował jako najemnych żołnierzy, pobiła Osmana pod Leuke. Ale Katalończycy zbuntowali się wkrótce przeciw cesarzowi i wplątali imperium w dziesięcioletnią wojnę domową. W ciągu tych lat nie tylko znaczna liczba wojsk tureckich zaciągniętych przez cesarza albo przez Katalończyków

przeprowadza się tam i z powrotem przez Dardanele, ale nadto Osman był w stanie utrwalić swą władzę nad terenami aż po Morze Marmara. Przyjął też dowództwo w wyprawach, które, ściśle biorąc, jego nie dotyczyły. W 1308 roku jego wojska odegrały właśnie główną rolę w zdobyciu ostatniego bizantyńskiego miasta na wybrzeżu egejskim, Efezu, chociaż był on oddany emirowi Aydinu. W ciągu następnych kilku lat opanował miasta bizantyńskie wzdłuż brzegów Morza Czarnego, od Inebolu do Sangarios.

Po odejściu Katalończyków nastąpiły w Bizancjum dynastyczne wojny domowe. I znowu Osman nie napotkał większego przeciwdziałania. Wojska jego składały się głównie z kawalerii, nie miał też machin oblężniczych. Ażeby zdobyć umocnione miasta, zwykł był grasować po otaczających je wsiach, wypędzając albo biorąc do niewoli miejscowych chłopów i osiedlając tam własnych ludzi. Miasto bywało w ten sposób odcięte od swych źródeł zaopatrzenia i jeżeli odsiecz nie przedarła się, głodem zmuszane do poddania. Obecnie skupił się na mieście Brusa, leżącym na północnych stokach pasma Olimpu, mającym silne naturalne umocnienia obronne i dobrze położonym, żeby stanowić ośrodek operacji wzdłuż wybrzeży Morza Marmara. Jego fortyfikacje i bogactwo okolicy poza murami pozwoliły mu opierać się przez dziesięć lat. Ale cesarz nie mógł przysłać odsieczy. Jesienią 1326 roku miasto zostało zmuszone do kapitulacji głodem. Kiedy wiadomość doszła do Osmana, był on u schyłku swych dni; zmarł w tymże listopadzie kilka dni później. Dzięki świetnemu wykorzystywaniu nadarzających się okazji przekształcił mały pograniczny emirat w przodującą potęgę wśród Turków, najbardziej wysuniętą placówkę *ghazi* skierowaną przeciwko chrześcijaństwu.

Osman miał udane dzieci. Na tron wstąpił po nim jego starszy syn Orchan. Mówiono, że zgodnie z tradycją turecką zaproponował współwładztwo w monarszej władzy swemu bratu, Ala ad-Dinowi; jednak Ala ad-Din wielkodusznie obstawał przy tym, że monarchia nie powinna być podzielona, i pozostał lojalnym poddanym. Orchan odziedziczył również zdolnego ministra, którego imię brzmiało podobnie: Ala ad-Din. Niełatwo się zorientować, czy swój nadzwyczajny rozwój państwo otomańskie zawdzięcza władcy, czy ministrowi. Podobnie jak ojciec, Orchan był przywódcą *ghazi*, ślubującym pokonać niewiernych. W 1329 roku poddało mu się historyczne miasto Nicea, podobnie jak Brusa odcięte przez wiele lat. Cesarz Andronik III i jego minister Jan Kantakuzen usiłowali przyjść z odsieczą. Ale po nierozstrzygniętej bitwie niezadowolone wśród wojsk oraz złe wieści z Europy zmusiły ich do odwrotu. Następnym celem Orchana był wielki port morski Nikomedia. Opierał mu się przez dziewięć lat, otrzymując zaopatrzenie i posiłki z morza. Kiedy jednak udało się Orchanowi zablokować wąską zatokę, nad którą leżał port, miasto zmuszone było do kapitulacji w 1337 roku. Mając Nikomedię w ręku, sułtan - taki obecnie przybrał tytuł - mógł okupować cały kraj niemal aż do Bosforu.

W tym samym czasie, kiedy Bizancjum niepokoiło wielkie państwo serbskie Stefana Duszana, w 1341 roku, wybuchła wojna domowa pomiędzy Janem Kantakuzenem i regentami rządzącymi w imieniu cesarza-dziecka, Jana V. Już od dłuższego czasu generałowie bizantyńscy

najmowali do służby oddziały tureckie z różnych plemion, pomimo uporczywego zwyczaju Turków rabowania ziem, przez które przechodzili. Ludzie Orchana byli najlepsi do walki najbardziej zdyscyplinowani. Kiedy więc poplecznicy Jana V zaangażowali najemników z Magnisy i Aydinu, Jan Kantakuzen zyskał poparcie Orchana w 1344 roku, dając mu za małżonkę swą córkę Teodorę. W zamian za to sułtan posłał 6000 ludzi, by walczyli w Tracji. Po zdobyciu tronu przez Kantakuzena, wciąż wzywał on wojska otomańskie, które pomagały mu w wojnach z Serbami. Kiedy kampanie wojenne się skończyły, wielu spośród tych Turków osiedliło się zapewne w Tracji.

Utrata władzy przez Jana Kantakuzena w 1355 roku dała pretekst Orchanowi do zrealizowania inwazji na Europę na własny rachunek. W 1356 roku armia pod dowództwem jego syna Sulejmana przeprawiła się przez Dardanele. W ciągu roku oddziały jego zdobyły Chorlu i Didymotykę i posunęły się w głąb lądu, aby zająć Adrianopol. Podobnie jak przy podbojach azjatyckich, sułtan zachęcał członków plemion tureckich, by szli za przywódcami *ghazi* i od razu osiedlali się na terenach, które zdobyli. Kiedy Orchan umierał, prawdopodobnie w 1362 roku, Turcy byli panami zachodniej Tracji. Sułtan powiększył również swoje terytorium w Azji, nie tyle przez wojny, ile przez dążenie innych Turków, aby przyłączyć się do tak pełnego sukcesów państwa *ghazi*. Zdaje się, że wchłonął on emiraty Sarachan i Karasi na północnym zachodzie. Potęga Dżermijan chyliła się ku upadkowi; zdołał też ustanowić swą władzę w Eskiszehir i Ankarze. Głównym jego wrogiem w Azji był emirat Aydinu, który blokował go od południowego zachodu.

Orchan był wielkim władcą nie tylko dzięki swoim podbojom. Z pomocą wezyra stworzył solidną organizację państwa, nie niszcząc charakteru *ghazi*, który nadawał mu rozpęd. Popierał rozwój miast, wykorzystując *akhis*, cechy rzemieślników i kupców przestrzegające *futuwwa*. Przeciwstawiał się poniekąd dezorganizującemu wpływowi derwiszów, zapraszając do współpracy ulemów, oficjalnych strażników wiary muzułmańskiej i jej tradycji. Nauka ich zapewniała właściwe traktowanie wzrastającej wciąż liczby chrześcijańskich poddanych. Jeżeli jakieś miasto lub okręg stawiało mu opór i zostało zdobyte orężnie, chrześcijanie nie mieli żadnych praw. Jedna piąta mieszkańców mogła być wzięta w jasyr, mężczyźni zesłani do pracy na ziemiach zdobywcy, a chłopcy włączeni do armii. Jeżeli miasto kapitulowało, ludności pozwalano zachować swoje kościoły i zwyczaje. Wielu chrześcijan wolało rządy Orchana niż cesarza, gdyż podatki, którymi ich obciążał, były mniej wygórowane. Choć niektórzy z chrześcijan przyjmowali islam z naturalnej chęci przyłączenia się do klas panujących, nie było przymusowego nawracania. Ponadto ulemowie budowali w każdym mieście, do którego przybywali, medresy, czyli szkoły przy meczetach, i w ten sposób mogli dostarczać sułtanowi wykształconej elity, ażeby stworzyć jego administrację państwową.

Jednocześnie została zreorganizowana armia. Dotychczas składała się ona niemal całkowicie z lekkiej kawalerii, rekrutowanej z plemion, które zasadniczo wciąż jeszcze były koczownicze. Obecnie zaplanowano armię

na nowo w dwóch głównych działach. Istniała więc regularna milicja składająca się z ludzi, którym sułtan przydzielił ziemię; płacili oni za to małą tenetę dzierżawną oraz zobowiązani byli do służby wojskowej, ilekroć zaszła potrzeba. Takie lenno, mające charakter dziedziczny, znano jako *timar*. Większe i cenniejsze lenna, znane jako *ziamet*, pociągały za sobą znacznie większą tenetę, a posiadacz zajmował wyższe stanowisko w armii z większymi zobowiązaniami, jeśli chodzi o wyposażenie w ekwipunek. Najbogatsi z owych *zaims* zostawali paszami lub sandżakbejami albo nawet bejlerbejami, obarczeni obowiązkami administracyjnymi i piastując wyższą władzę wojskową oraz mając większe obowiązki. Obok lokalnej milicji istniała armia płatna za swe usługi. Janczarzy, którzy służyli przez całe życie i mieli stać się później gwardią sułtańską, stanowili jak dotąd pułk piechoty złożony z chrześcijańskich albo eks-chrześcijańskich niewolników. Główna siła za dni Orchana znana była ogólnie jako *sipahis*. Dostarczali oni artylerzystów, płatnerzy, kowali i marynarzy. Wielu z nich miało przydzielone ziemie i podlegało służbie wojskowej w każdym czasie, jednak płacono im za to i powoływano zazwyczaj na jedną kampanię. Wraz z *sipahis* była *piyade*, piechota. Nazwę tę zarezerwowano później dla tych, którzy dzierżyli ziemię, innych zowiąc *azabs*; zostali oni skojarzeni z baszybuzukami, nieregularnymi żołnierzami, służącymi za zdobycz i rabunek, jaki mogli uzyskać; podobnie czynili *akibi*, lekka czołówka konna. Orchan domagał się, żeby każdy oddział jego armii nosił wyróżniający go uniform. Wprowadził też skuteczne sposoby mobilizacji, tak że mógł zawsze w krótkim terminie, zgromadzić dużą i dobrze wyćwiczoną siłę.

Jego następcą, Murad I, w pełni wykorzystał owe znakomite siły wojskowe. Matka Murada była Greczynką, córką nadgranicznego dowódcy, znaną Turkom jako Nilüfer, Lilia Wodna. Jego starszy rodzony brat, Sulejman, umarł na kilka miesięcy przed Orchanem. Murad miał też starszego brata przyrodniego, Ibrahima, którego natychmiast uśmiercił, oraz młodszego, Halila, syna Teodory Kantakuzen, który wkrótce potem zmarł, być może śmiercią naturalną. Przez pierwsze lata swego panowania Murad był zaangażowany na granicach azjatyckich, gdzie rywalizujący emirowie sprawiali kłopoty i trzeba ich było poskromić. Niektóre miasta zdobyte w Tracji zostały z powrotem zajęte przez Bizantyńczyków, chociaż nie udało się wyprzeć Turków z okolic wiejskich. Kiedy Murad w 1365 roku wrócił do Europy, nie napotkał żadnych trudności w ich odzyskaniu i w zainstalowaniu swej europejskiej stolicy w Adrianopolu. Konstantynopol i jego okolice były obecnie izolowane z wyjątkiem drogi morskiej. Jego azjatyckie przedmieścia znajdowały się już w rękach tureckich.

Teraz wreszcie Europa zaczęła sobie zdawać sprawę z groźby, jaką stanowili Turcy. Wenecja i Genua, obie zaniepokojone o swe kolonie i handel, postanowiły zbadać możliwości utworzenia powszechnego sojuszu przeciwko niewiernym; z ich prób nic jednak nie wyszło. Cesarz Jan V odbył podróż do Italii, aby opowiedzieć o grożącym niebezpieczeństwie i spróbować zaciągnąć zachodnich żołnierzy najemnych, którym nie mógł zapłacić. Po powrocie zmuszony był w 1373 roku uznać sułtana za swego zwierzchnika, przyrzekając mu roczny haracz oraz pomoc wojskową,

ilekroć tego zażąda, syn zaś jego Manuel przebywał jako zakładnik na dworze Murada. Jan był lojalnym wasalem. Otrzymał nagrodę, kiedy w 1374 roku jego najstarszy syn, Andronik, spiskował z synem Murada, Saudzi, przeciwko obu ich ojcom. To właśnie oddziały Murada stłumiły bunt. Kiedy Andronik znowu się zbuntował, opanowując Konstantynopol od 1376 do 1379 roku, Manuel zdołał otrzymać od sułtana wystarczającą pomoc, która umożliwiła mu przywrócenie władzy swemu ojcu. Ale ceną, jaką wówczas zapłacił, było zobowiązanie przyłączenia się do armii tureckiej i wzięcia udziału w podboju lojalnego, walecznego, izolowanego miasta greckiego Filadelfii, ostatniej posiadłości bizantyńskiej w Azji poza Cesarstwem Trebizondy.

Chociaż Zachód był teraz poważnie zaniepokojony, planując nieudane krucjaty, jedynie zakon joannitów na Rodos stale atakował Turków. Jednak głównym wrogiem zakonu był emir Aydinu; każde zaś uszczuplenie jego sił szło na korzyść rywala, sułtana otomańskiego. Tak więc Murad miał wolną rękę w posuwaniu się na Bałkanach. z całej Anatolii napływały teraz do Tracji hordy Turków ze swymi rodzinami, a często i ze swoimi stadami. Pęd do ekspansji trwał nadal. Serbia była wciąż jeszcze główną potęgą na półwyspie, choć po śmierci Duszana w 1355 roku podzieliła się na dwie części. Bułgaria nigdy nie przysłała do siebie po klęsce zadanej przez Serbów pod Welbużd w 1330 roku; serbska polityka upokorzenia Bułgarii wyeliminował jedynie kraj, który mógł być pożytecznym państwem buforowym. Bułgarzy niewiele zdziałali, aby się przeciwstawić tureckim postępom, posłali jedynie kontyngent do dużej armii, jaką Wukaszyn, król południowej Serbii, skierował na Trację w 1371 roku. Wukaszyn spodziewał się powstrzymać Turków, był jednak kiepskim generałem. Dał się zaskoczyć i rozgromić przez dużo mniejszą armię turecką pod Czirmen nad rzeką Maricą. Zwycięstwo nad Maricą oddało w ręce Murada większą część Bułgarii, jak również serbskiej Macedonii. Król bułgarski Jan Szyszman musiał przyjąć Murada za swego zwierzchnika i oddać córkę Tamarę do sułtańskiego haremu. Łazarz Hrebelianowicz, serbski książę północy, który teraz objął całe królestwo serbskie, przekonał się, że on również musi zaakceptować status wasala.

Murad poświęcił późniejsze lata panowania konsolidacji swych podbojów. Zorganizował imigrację Turków do Europy. Zajmowanie przez nich nowych prowincji europejskich nie mogło być tak pewne, jak to było w Anatolii, a nawet w Tracji; jednak wkrótce tureckie lenna wojskowe zostały rozrzucone wśród wsi greckich, słowiańskich lub wołoskich, a tureccy bejowie i paszowie panowali nad okolicą. Około 1386 roku imperium Murada rozciągało się na zachód aż do Monastyru, tuż nad granicą albańską, a na północ aż do Niszu. W następnym roku Tesalonika, blokowana przez cztery lata, poddała mu się. Jej dobrobyt opierał się na handlu z dalekimi prowincjami; w izolacji nie mogła istnieć. Murad potraktował ją łagodnie, wprowadzając tureckiego gubernatora, ale nie mieszając się do jej życia wewnętrznego.

W 1381 roku sułtan, który podówczas doprowadził emirat Dżermijan do stanu wasalstwa, uznał za konieczne wysłanie ekspedycji przeciw emirowi Karamanii; rozkazał też swoim bałkańskim wasalom dostarczyć

kontyngentów. Wstyd, jaki odczuli dumni Serbowie na to żądanie, był tak wielki, że król Łazarz wypowiedział swoje wasalstwo. Jednak szybki atak turecki zmusił go do ponownej uległości, zabierając mu miasto Nisz. Jednocześnie jednak planował on sojusz wszechbałkański przeciwko najeźdźcom; w 1387 roku Serbowie odnieśli swoje pierwsze i jedyne zwycięstwo nad armią sułtana na brzegu rzeki Toplicy. Murad nie zwlekał z zemstą. Pomaszerowawszy szybko na Bułgarię, gdzie ograbił z większości terytoriów dwóch miejscowych królów, Jana Szyszmana z Tyrnowa i Jana Sracimira z Widynia, wkroczył do południowej Serbii; tu jego klient, książę Konstantyn z Küstendil, podejmował go i dostarczył pułku do jego armii. Następnie zwrócił się ku północy, żeby na równinie Kosowa, Kosowym Polu, spotkać się z królem Łazarzem.

Wczesnym rankiem 15 czerwca 1389 roku, kiedy sułtan się ubierał, wprowadzono do jego namiotu serbskiego dezertera, który obiecał udzielić mu informacji o pozycjach chrześcijan. Zbliżywszy się do sułtana, nagle pochylił się do przodu i wbił sztylet w jego serce. Został natychmiast zabity, a jego ofiara była bezowocna. Dwaj synowie sułtana znajdowali się w armii. Starszy, Bajezid, od razu objął komendę, zatajając wiadomość o śmierci ojca aż do zakończenia bitwy. Turcy walczyli doskonale zdyscyplinowani, inaczej niż chrześcijanie, którzy - gdy ich pierwsze gwałtowne natarcie nie dało się utrzymać, a jednocześnie pogłoski o zdradzie rozniosły się wśród szeregów - zaczęli się załamywać. Z zapadnięciem nocy zwycięstwo Turków było zupełne. Król Łazarz został wzięty do niewoli i zamordowany w namiocie, w którym zmarł Murad. Bajezid ogłosił się teraz sułtanem i wydał rozkazy, aby niezwłocznie uduszono jego brata. Nie miało być żadnej wątpliwości co do podziału zwierzchniej władzy.

W ciągu trzydziestu lat swego panowania Murad I, wspianiale wykorzystując swą armię i organizację państwową odziedziczoną po ojcu, przekształcił emirat *ghazi* w najsilniejszą potęgę militarną w południowo-wschodniej Europie. Jego własny charakter symbolizował zmienioną naturę jego państwa. Przeciwnie niż ojciec i dziadek - lubował się w pompie i ceremoniale; czuł się godnym być cesarzem. Był surowy, nawet okrutny, z domieszką cynizmu odziedziczonego, być może, po greckich przodkach. Potrafił jednak być wspaniałomyślny i jeśli chodzi o dyscyplinę, zawsze odznaczał się sprawiedliwością oraz pedanterią.

Bajezid, jego następca, również był, jak się zdaje, synem Greczynki; w przeciwieństwie do Nilüfer była ona prawdopodobnie niewolnicą, imieniem Gülcziczek, czyli Kwiat Róży. Podzielił on na równi ze swym ojcem zamiłowanie do pompy; bardziej jednak od niego pobleżał sobie, miał gorętszy temperament, nie był szczodry dla innych i nie miał takiego posłuchu u podwładnych. Szybkie reakcje zyskały mu przydomek Jyklyrym, Błyskawica; nie był jednak wielkim dowódcą. Panowanie jego rozpoczęło się świetnie. Zwycięstwo na Kosowym Polu dało mu całkowitą władzę na Bałkanach. Wydawało się pewne, że w ciągu kilku lat opanuje cały półwysep łącznie z tymi obszarami Grecji i Albanii, do których Turcy jeszcze nie wtargnęli. Stefan, syn Łazarza, odziedziczył tron serbski, ale ze skromnym tytułem despotesa i jako wasal sułtana, któremu dał za żonę

swoją siostrę Marię. Bułgarskie królestwo w Tyrnowie wygasło w 1393 roku. Armia turecka najechała Peloponez w 1394 roku, zmieniając miejscowych książąt w wasali. W 1396 roku Bajazid planował zdobyć sam Konstantynopol, kiedy jednak doszedł aż pod mury miasta, dotarła do niego wiadomość o krucjacie zorganizowanej przez króla Węgier Zygmunta i rycerzy całego Zachodu. Zawrócił więc i pośpieszył na północ; potwierdzając swój przydomek Błyskawica, uderzył na armię Zachodu pod Nikopolis. Szaleństwo wodzów Zachodu pomogło mu osiągnąć druzgocące zwycięstwo, które umożliwiło mu następnie zabór pozostałego jeszcze bułgarskiego królestwa w Widynie oraz - po drugiej stronie Dunaju - uczynienie wasalem księcia Wołoszczyzny. Ustaliwszy swą władzę wzdłuż granicy Dunaju, wrcił w kierunku Konstantynopola, jednak i tym razem nie odważył się go atakować, widocznie dlatego, że doszły doń pogłoski o armadzie przygotowywanej przez włoskie potęgi morskie. Zamiast tego próbował bezskutecznie podburzyć cesarza Jana VII przeciwko jego stryjowi Manuelowi II, z którym - w przeciwieństwie do zwykłej bizantyńskiej praktyki - Jan dzielił tron w całkowitej harmonii. Jedyna pomoc z Zachodu, która faktycznie przybyła do Bizancjum, stanowiła garść wojska przyprowadzonego przez marszałka Boucicault. Wojsko to pozostawało przez rok w Konstantynopolu, nie dokonawszy żadnych chlubnych czynów. Kiedy odeszło, Bajezid widząc, jak słabe są starania Zachodu w niesieniu pomocy, gotów był ponowić próbę zdobycia cesarskiego miasta. Ostatnio ukończył budowę zamku po azjatyckiej stronie cieśniny Bosfor, znanego jako Anadolu Hisar. Wiosną 1402 roku posłał dumne pismo do cesarza, rozkazujące mu poddanie stolicy. Manuel II podróżował jeszcze po zachodniej Europie, ale Jan VII odpowiedział posłom sułtana z pobożną odwagą: „Powiedźcie waszemu panu, że jesteśmy słabi, lecz pokładamy ufność w Bogu, który jest w mocy uczynić nas silnymi i strącić najpotężniejszych z ich tronów. Niechaj pan wasz czyni, co mu się podoba.”

Ufność Jana pokładana w Bogu była tym pewniejsza, że docierały nowiny ze Wschodu. Timur Tatar, znany jako Tamerlan, był faktycznie Turkiem, ale pochodził z linii żeńskiej z wielkiego mongolskiego rodu Czyngis-chana. Urodził się w Kesz w Turkiestanie w 1336 roku. Pod koniec XIV wieku stworzył imperium, które się rozciągało od granic Chin i Zatoki Bengalskiej aż do Morza Śródziemnego. Świetnościami swych wyczynów militarnych przypominał samego Czyngis-chana; przypominał go również swym bezlitosnym barbarzyństwem. Ale brak mu było takiej zdolności do zorganizowania własnych zdobyczy, jaką wykazywali mongolscy chanowie. Śmierć Timura miała spowodować rozpad jego państwa; jednak dopóki żył, był wrogiem zawziętym i groźnym. Chociaż był pobożnym muzułmaninem, nie przypominał niczym *ghazi*. Walczył dla swego własnego wyniesienia, nie za wiarę; głównymi ofiarami jego rzezi byli muzułmanie. Od dawna gniewało go istnienie sułtanatu otomańskiego, częściowo przez zazdrość, że może być jakiś inny turecki potentat, częściowo zaś wskutek obawy, iż mogłoby to zagrozić jego władzy nad zachodnimi prowincjami. Już w 1386 roku posunął się do wschodniej Anatolii i pod Erzindżanem pobił armię wysłaną przez anatolskich emirów.

Potem się wycofał, ale groził, że powróci. Osiem lat później Bajezid, który poślubił księżniczkę z Dżermijan i objął w posagu większość ziem jej rodziny, sam udał się do Erzindzanu, żeby dopilnować umocnień półwyspu. Ale w 1395 roku Timur pojawił się ponownie i przedarł się do Siwas, masakrując ludność i zabijając między innymi syna Bajezida, który zarządzał prowincją. Na szczęście dla Bajezida armia tatarska skierowała się na wschód, aby splądrować Aleppo, Damaszek i Bagdad. Kłopoty otomańskiego sułtana nie skończyły się jednak. Timur był w bliższym kontakcie z jego wrogami, niż on to sobie wyobrażał. Kiedy siły muzułmańskie zgromadziły się pod murami Konstantynopola, do obozu przybyli wysłannicy Timura z surowym rozkazem, by Bajezid zwrócił chrześcijańskiemu cesarzowi wszystkie ziemie, które mu ukradł. Bajezid odpowiedział obelżywie i ordynarnie. Odstąpił następnie od oblężenia Konstantynopola i przetransportował swoją armię do Anatolii. Timur dotarł już do Siwas. Rozstrzygająca bitwa rozegrała się pod Ankarą 25 lipca 1402 roku. Przez swą butę Bajezid dał się wciągnąć w niekorzystną sytuację taktyczną, jego żołnierze zaś byli niekarni i oburzeni skpstwem sułtana. Kiedy ogromne siły Timura, wzmocnione korpusem słoni z Indii, przypuściły gwałtowny atak, wojska otomańskie załamały się i pierzchły, pozostawiając Bajezida i jego drugiego syna, Musę, w ręku Timura jako jeńców. Jedynym pułkiem, który utrzymał się na swoich pozycjach, był kontyngent serbski pod wodzą despotesa Stefana. Zdołał on ocalić najstarszego syna sułtana, Sulejmana, i jednego z braci Sulejmana. Czwarty brat, Mustafa, zaginął w czasie bitwy. Pozostali przy życiu uciekli w bezpieczne schronienie Anadolu Hisar, gdy tymczasem Timur w triumfie maszerował przez zachodnią Anatolię, łupiąc jej miasta, łącznie ze starą otomańską stolicą Brusą, gdzie kobiety z haremu sułtana wpadły w jego ręce. Pojmanego sułtana prowadził ze sobą w lektyce, którą późniejsza legenda przekształciła w złotą klatkę. W rzeczywistości z Bajezidem obchodzono się uprzejmie i kiedy umarł, prawdopodobnie popełniając samobójstwo, w marcu 1403 roku, jego syna Musę zwolniono i pozwolono mu przewieźć zwłoki do rodzinnego grobowca w Brusie. Sam Timur opuścił Anatolię później w tymże roku i wrócił do swej głównej stolicy, Samarkandy, tworząc plany podboju Chin; zmarł w 1405 roku w wieku siedemdziesięciu pięciu lat.

Był to moment, kiedy - gdyby mocarstwa europejskie potrafiły i chciały połączyć się szybko w wielką koalicję - groźba otomańska wisząca nad chrześcijaństwem zostałaby raz na zawsze złamana. Ale chociaż dynastia mogła zginąć, problem turecki pozostałby nadal. Historycy, którzy potępiają chrześcijan za zmarnowanie zesłanej z nieba okazji, zapominają, że setki tysięcy Turków mocno osiadło już w Europie. Byłoby trudnym zadaniem ujarzmienie ich, a prawie niemożliwym - wypędzenie. Interwencja Timura faktycznie powiększyła ich siłę, gdyż rodziny, a nawet całe plemiona uciekały przed jego armią do bezpiecznych prowincji europejskich, a Genuńczycy za usługi przewozowe, jakich dostarczali, mieli piękne zarobki. Około 1410 roku, według historyka Dukasa, więcej było Turków w Europie niż w Anatolii. Ponadto Bajezid pozostawił tam znaczne siły zbrojne dla strzeżenia granic i utrzymania

porządku w prowincjach. Dynastia otomańska została upokorzona pod Ankarą, a jej machina wojskowa osłabiona. Ale zniszczeniu nie uległa.

Manuel II wykorzystał, jak mógł najlepiej, tradycyjny oręż bizantyński - dyplomację. Synowie Bajezida zaczęli walczyć o tron. Sulejman, najstarszy, ogłosił się sułtanem, jednak nie czuł się pewny. Aby uzyskać pomoc Manuela, zwrócił mu Tesalonikę i kilka miast na trackim wybrzeżu oraz przyrzekł parę miast w Azji, którymi faktycznie nie władał. Posłał najmłodszego brata, Kasima, jako zakładnika do Konstantynopola, a w zamian otrzymał rękę bratanicy cesarza, nieślubnej córki Teodora I, despotesa Morei. Pokonał i zabił swego brata Isę w 1405 roku; był jednak człowiekiem chorym nerwowo, podlegającym długotrwałym nawrotom pijaństwa i ospałości. Żołnierze stracili do niego szacunek i podporządkowali się Musie, jego bratu, który wystąpił jako orędownik islamu przeciwko probizantyńskiej polityce Sulejmana. W 1409 roku Sulejman został opuszczony przez swe wojska i zamordowany, kiedy próbował uciec do Konstantynopola. Musa został po nim sułtanem. Spustoszył on niemiłosiernie Serbię, mszcząc się za poparcie udzielone bratu. Zdobył z powrotem i złupił Tesalonikę, bronioną na rzecz chrześcijan przez syna Sulejmana, Orchana, który dostał się do niewoli i został oślepiony. Chociaż Musa poniósł porażkę w bitwie morskiej, przyprowadził jednak swe siły lądowe pod mury Konstantynopola. Ale młodszy brat, Mehmed, który przywracał rządy otomańskie w Anatolii, pomaszerował teraz przeciwko niemu i przy pomocy Bizantyńczyków, Serbów i pułków tureckich, zrażonych brutalnością Musy, pokonał i zabił brata w 1413 roku i sam został sułtanem.

Mehmed, zwany przez współczesnych Czelebi - przydomek najlepiej przetłumaczalny na „dżentelmen” - okazał się doskonałym żołnierzem, ale z temperamentu był człowiekiem pokojowym. Zwrócił Tesalonikę i inne miasta zaanektowane przez Musę Manuelowi, z którym przez całe życie pozostawał w stosunkach serdecznej przyjaźni. Zmuszony był do nierozstrzygniętej wojny z Wenecją w 1416 roku i z Węgrami w 1419 roku; musiał też stłumić bunt pewnego człowieka, który utrzymywał, że jest jego bratem, Mustafą, i że uszedł z życiem z bitwy pod Ankarą. Mehmed większość czasu spędzał na budowaniu fortec wzdłuż granic i na wzmocnieniu administracji, jak również na upiększaniu miast swego imperium. Śliczny Zielony Meczet w Brusie stanowi trwały pomnik tego łagodnego i kulturalnego władcy. Zmarł na apopleksję w Adrianopolu w grudniu 1421 roku.

Najstarszy syn Mehmeda, Murad, działał jako wicekról swego ojca w Anatolii. Zatajono wiadomość o śmierci sułtana do czasu, aż Murad mógł przybyć do Adrianopola i przejąć rządy. Podobnie jak Mehmed, był z natury człowiekiem pokoju. Mówiono o nim, że należał do zakonu derwiszów i pragnął usunąć się od życia czynnego, by spędzać czas na rozmyślaniach. Był jednak sumiennym władcą; okoliczności zaś wymagały odeń, by był żołnierzem i organizatorem. Pretendent Mustafa wciąż jeszcze był na swobodzie, a Murad podejrzewał, że otrzymuje pomoc z Konstantynopola. Wysłał tedy poselstwo do Manuela, skarżąc się na to i prosząc, aby przyjaźń, jaka istniała między cesarzem a jego ojcem, nadal

się utrzymała. Manuel chętnie by się na to zgodził, ale był już stary, zmęczony i ulegał synowi, Janowi VIII, który ciesząc się poparciem bizantyńskiego senatu uważał, że można by z korzyścią podtrzymywać kłopoty w łonie dynastii otomańskiej. Wobec tego Jan zażądał, aby dwóch braci sułtana przysłano do Konstantynopola jako zakładników. Całkiem naturalnie Murad nie przyjął tej propozycji i pozbywszy się Mustafy obległ Konstantynopol w czerwcu 1422 roku. Jednak mury były dla armii bez machin oblężniczych nie do zdobycia, a kalkulacje Jana nie były bezzasadne. W Anatolii wybuchł bunt, nominalnie pod wodzą trzynastoletniego brata Murada, Mustafy, lecz pobudzony przez zawistnych emirów Dżermijanu i Karamanii. Murad zaniechał oblężenia, aby zająć się buntownikami, po czym zadowolił się wysłaniem armii na splądrowanie Peloponezu.

Nie dane mu było długo zażywać pokoju, którego pragnął. W 1428 roku musiał odeprzeć inwazję zza Dunaju pod wodzą królów Węgier i Polski. W 1430 roku jego oddziały wkroczyły do Janiny w Epirze. W tym samym roku zdobył Tesalonikę na Wenecjanach, którzy mieli ją w rękach przez siedem lat. Zależność wasalna Serbii, gdzie Jerzy Brankowicz jako despotes objął rządy po swym wuju Stefanie Łazarowiczu, wzrosła i despotes był zmuszony zerwać sojusz z Węgrami, którym odstąpił Belgrad. Kazano mu także oddać córkę Marę za żonę sułtanowi, a kiedy z tym zwlekał, ruszyła przeciw niemu turecka ekspedycja. Murad nie dowierzał despotesowi. W 1440 roku poprowadził na niego inną armię i zburzył fortecę Semendrię nad Dunajem, na której budowę sam dał Serbom pozwolenie. Następnie przystąpił do oblężenia Belgradu, ale jego umocnienia były dla niego za silne. Zmuszony był więc ustąpić.

Niepowodzenie pod Belgradem osmieliło wrogów Murada. Papież ucieszony sukcesem soboru florenckiego, organizował krucjatę. Król węgierski Władysław powitał to z entuzjazmem. Despotes serbski zgodził się pomóc Węgom. Czołowy wódz albański, Jerzy Kastriota z przydomkiem Skanderbeg, wypowiedział wojnę sułtanowi, a emira Karamanii namówiono, by zaatakował go w Azji. W tym czasie, kiedy Murad zajęty był wymierzaniem kary Karamańczykom, armia węgierska wraz ze sprzymierzeńcami pod wodzą królewskiego bękarta, Jana Hunyadego, wojewody Siedmiogrodu, przekroczyła Dunaj i wypędziła Turków z serbskiego despotatu. Murad z całą siłą pośpieszył z powrotem do Europy i pomaszerował w kierunku Dunaju. Jednak nie miał wielkiej ochoty zaryzykować podjęcia bitwy; przekonał się także, że nastroje króla Władysława są podobne. Do Węgrów przyłączyły się oddziały, które papież zwerbował na Zachodzie pod dowództwem swego legata, kardynała Guliana Cesariniego; jednak Władysław spodziewał się ich więcej. Król i Murad umówili się na spotkanie w Szegedynie w czerwcu 1444 roku. Tam każdy z nich zaprzysiął, Murad na Koran, Władysław na Ewangelię, zachować przez dziesięć lat rozejm, w czasie którego żaden z nich nie będzie usiłował przekroczyć Dunaju. Hunyadi nie aprobował rozejmu i odmówił w nim udziału.

Murad poczuł teraz, że może się usunąć, by wieść życie kontemplacyjne, jak tego od dawna pragnął. Zaledwie jednak wycofał swą

armię z pogranicza i ogłosił zamiar abdykacji, nadeszła wiadomość, że król Węgier przekroczył Dunaj i maszeruje przez Bułgarię. Kardynał Cesarini orzekł, że przysięga złożona niewiernemu jest nieważna, a okazja zdawała się zbyt dobra, by ją pominąć. Krzywoprzysięstwo oburzyło prawosławnych chrześcijan, jak również Turków. Cesarz Jan VIII odmówił udzielenia pomocy. Jerzy Brankowicz z Serbii wycofał swoje siły i przeszkodził Skanderbegowi w połączeniu się ze sprzymierzeńcami. Hunyadi niechętnie brał udział w wyprawie, a kardynał ignorował jego rady co do strategii. Murad, który porządkował sprawy w Anatolii, przygotowując swe ustąpienie, pośpieszył wraz z armią z powrotem na północ. 11 listopada 1444 roku siłami trzykrotnie większymi uderzył na chrześcijan pod Warną. Wojska chrześcijańskie zostały rozgromione, król Władysław i kardynał polegli. Tylko Hunyadi i jego oddziały uratowały się z rzezi. Zwyciestwo przywróciło władze sułtana nad krajem aż do Dunaju.

Wkrótce potem Murad formalnie abdykował na rzecz swego dwunastoletniego syna Mehmeda i usunął się do Magnisy. Jednak znowu nie pozostawiono go w spokoju. Armia oraz ministrowie wyrażali niezadowolenie z nowego władcy, który był przedwcześnie rozwinięty, uparty i wyniosły; jednocześnie wciąż trwały kłopoty na granicy europejskiej. Opinia publiczna i potrzeby państwa sprowadziły Murada z powrotem na tron. Skanderbeg pozostawał niepokonany w Albanii i tureckie wyprawy przeciwko niemu w dalszym ciągu nie przynosiły sukcesu. W 1446 roku Murad wysłał do Grecji armię, która spustoszyła Peloponez. W 1448 roku Hunyadi, obecnie regent Węgier, podjął nową ofensywę z armią Węgrów, Wołochów, Czechów i najemnych Niemców. Zaplanował spotkanie ze Skanderbegiem na równinie Kosowa. Zanim jednak Albańczycy zdążyli do niego dotrzeć, zjawia się nagle ogromna armia turecka i zniszczyła jego siły. Sam on uszedł z trudem, wspomagany przez swe oddziały niemieckie i czeskie. Katastrofa ta, następująca tak szybko po klęsce warneńskiej, sparalizowała potencjał wojskowy Węgier na całe pokolenie. Sztandar węgierski wciąż powiewał nad Belgradem, ale nie mogło być już więcej wypraw na południe od Dunaju. Kiedy przyszedł kryzys, Hunyadi nie był zdolny nic uczynić, aby pomóc Konstantynopolowi. Na całym Półwyspie Bałkańskim jedynie w górach Albanii stale opierano się rządowi tureckim.

Równie pomyslnie były działania Murada w Anatolii. W swych późniejszych latach panowania wchłonął on emiraty Aydin i Dżermijan, a Karamańczycy byli zastraszeni. Inni autonomiczni książęta, tacy jak emirowie Synopy i Attalii, uznawali zwierzchność otomańską. Cesarz Trebizondy był tak bezsilny i uległy, jak jego szwagier w Konstantynopolu. Wewnątrz imperium otomańskiego panował ład, a mieszkańcy cieszyli się pomyslnością. Główna reforma wojskowa Murada polegała na reorganizacji pułków janczarskich, składających się dotąd z chłopców pojmanych do niewoli. Murad wprowadził teraz regularny system, w którym każda chrześcijańska rodzina grecka, słowiańska, wołoska czy ormiańska obowiązana była na żądanie oddać dziecko płci męskiej urzędnikom sułtana. Chłopców tych wychowywano w specjalnych szkołach na surowych muzułmanów. Niektórzy, obdarzeni wyjątkowymi

zdolnościami, zostawali technikami lub urzędnikami cywilnymi; jednak większość była świetnie wyszkolonymi żołnierzami, tworząc wyborowy pułk gwardii sułtana. Mieli oni swe własne koszary i nie wolno im było się żenić, aby całe życie mogli poświęcić służbie sułtańskiej. Pomimo tego nieznośnego przymusu i pomimo sporadycznych żądań masowego przechodzenia na islam, Murad nie był niepopularny wśród swych chrześcijańskich poddanych, którzy uważali go za sumiennego i sprawiedliwego. Miał wielu przyjaciół chrześcijan i, jak mówiono, pozostawał pod wielkim wpływem swej pięknej serbskiej małżonki, do której był bardzo przywiązany. W rzeczywistości wielu Grekom życie pod jego uporządkowanym i zazwyczaj tolerancyjnym panowaniem wydawało się łatwiejsze niż w niespokojnych udręczonych resztkach starego chrześcijańskiego Cesarstwa.

Murad zmarł w Adrianopolu 13 lutego 1451 roku, pozostawiając swemu następcy wspaniałe dziedzictwo.





Rozdział 3

CESARZ I SUŁTAN

Zmarły cesarz Jana VIII był najstarszym z sześciu braci, synów Manuela II i cesarzowej Heleny, córki księcia serbskiego, posiadającego ziemie w Macedonii, oraz jego żony Greczynki. Po Janie kolejno według wieku następował Teodor, po nim zaś Andronik, Konstantyn, Demetrios i Tomasz. Teodor i Andronik umarli przed ojcem. Chorowity Andronik niczym się nie odznaczył. Jedyńm jego ważnym czynem była sprzedaż Tesaloniki Wenecjanom w 1423 roku. Potem usunął się do klasztoru Pankratora w Konstantynopolu pod zakonnym imieniem Akacjusza i zmarł tam w marcu 1428 roku. Bardziej godny uwagi był Teodor. Po ojcu odziedziczył zamiłowania intelektualne i był znakomitym matematykiem. Miał jednak zmienne, nerwowe usposobienie: w jednej chwili energiczny i ambitny, w następnej pragnął opuścić świat dla cichego spokoju w klasztorze. Jeszcze jako dziecko odziedziczył w 1407 roku o stryju Teodorze I despotat Morei; przez kilka lat ojciec jego spędzał wiele czasu w despotacie, usiłując przywrócić tam porządek i wznosząc wielkie fortyfikacje, znane jako Heksamilion, ciągnące się przez Przesmyk Koryncki - po to tylko, by z czasem zobaczyć, jak zburzyli je Turcy w najeździe z 1423 roku. Teodor był dobrym władcą na tyle, o ile pozwalało na to jego kapryśne i zawistne usposobienie. W 1421 roku ożenił się z księżniczką włoską, Cleope Malatesta, krewna papieża Marcina V. Życie jej nie było łatwe z powodu temperamentu męża. Przeszła ona do Kościoła greckiego, co bardzo rozgniewało papieża, który obwiniął o to jej męża; zdaje się jednak, że zmiana wyznania była dobrowolna. Ona i Teodor utrzymywali skromny, lecz wysoce kulturalny dwór w Mistrze, choć jego świetność przygasła po śmierci Cleope w 1433 roku. Główna ozdoba dworu stanowił Plethon, który był im obojgu oddany. Ponieważ Teodor następował po Janie, uważa się za dziedzica Cesarstwa, a w 143 roku, kiedy stało się jasne, że Jan nie będzie miał dzieci, zamieni swój despotat na władanie miastem Selymbrią w Tracji, 64 kilometrów od stolicy, żeby być pod ręką w chwili śmierci Jana. Los jednak go oszukał. Latem 1448 roku zachorował na morową zarazę i umarł w lipcu, na trzy miesiące przed cesarzem. Jedyńm jego dzieckiem była córka Helena, która przed dziesięciu laty wyszła za mąż za króla Cypru Jana II.

Dwaj najmłodszy bracia, Demetrios i Tomasz, nie zasługiwali na pochwałę. Demetrios był niespokojny, ambitny i pozbawiony skrupułów. Uważał się za szermierza greckiej wiary wobec latynizujących skłonności swego brata Jana, któremu towarzyszył na sobór florencki. Ożenił się z damą ze znakomitej grecko-bułgarskiej rodziny Asenów, wbrew woli rodziny jego i jej. Miał przyjaciół na tureckim dworze i w 1442 roku

usiłował zaatakować Konstantynopol przy pomocy tureckich żołnierzy; cesarza uratowało jedynie szybkie przybycie z posiłkami brata Konstantyna. Demetriosowi przebaczone i pozwolono pozostać w Konstantynopolu. Kiedy umarł jego brat Teodor, odziedziczył po nim Selymbrię.

Tomasz był poważniejszy, ale słabszy. Jako młodzieńca wysłano go w 1430 roku do Morei, żeby pomagał braciom. Tam poślubił Katarzynę Zaccaria, dziedziczkę ostatniego francuskiego księcia Achai, i otrzymał apanaże z dawniejszych posiadłości jej rodziny. Z prawie niezmienną lojalnością pozwalał się prowadzić swemu bratu Konstantynowi.

Najzdolniejszy z braci był Konstantyn. Urodził się w 1404 roku i w młodości dostał jako apanaże Selymbrię i sąsiadujące trackie miasta. W 1427 roku udał się na Peloponez, by pomóc Janowi VIII w podbiciu ostatnich znajdujących się tam posiadłości francuskich. Obecność jego była tym bardziej konieczna, że Teodor wyraził zamiar wstąpienia do klasztoru. Teodor zresztą zmienił wkrótce zdanie, tymczasem jednak, w marcu 1428 roku, Konstantyn zawarł polityczny mariaż z bratanicą Carla Tocco, władcy Epiru i dużej części zachodniej Grecji. Jako posag otrzymał ziemie rodziny Tocco na Peloponezie; i chociaż młoda księżniczka Magdalena, przechrzczona w czasie ślubu na Teodorę, umarła bezdzietnie w dwa lata później, Konstantyn zatrzymał te ziemie i stworzył z nich bazę, z której planował podbicie reszty półwyspu. Jego stosunki z Teodorem bywały często naprężone. Teodor poczuł się specjalnie dotknięty wezwaniem przez Jana VIII Konstantyna, by rządził Konstantynopolem podczas jego nieobecności w związku z udziałem w soborach we Włoszech, ponieważ wskazywało to, że Jan zamierzał uczynić dziedzicem Konstantyna. Dobre stosunki zostały przywrócone dopiero wtedy, kiedy Konstantyn zamienił swoje trackie posiadłości na Mistrę i despotat oraz zrezygnował ze swych pretensji do następstwa na cesarskim tronie. Odtąd Konstantyn urządził się jako despotes w Mistrze, mając oparcie w Tomaszu jako despotesie Clarenzy na zachodnim wybrzeżu. Podbój Peloponezu z wyjątkiem czterech miast weneckich: Argos, Nauplii, Krotonu i Modonu, zakończył się w 1433 roku. Teraz Konstantyn planował zaanektowanie Attyki i Beocji. W 1444 roku, zachęcony wieścią o powodzeniu Hunyadiego w Serbii, pomaszzerował na północ z Koryntu, gdy tymczasem najzdolniejszy jego generał, Jan Kantakuzen, przeprowadził się z Patras do Fokidy. Niebawem cała Grecja aż do gór Pindos znalazła się pod jego władzą, z wyjątkiem Akropolu w Atenach, których książe, Nerio II, skrył się tam wzywając na pomoc Turków. Na nieszczęście Turcy wkrótce mogli z tą pomocą przyjść; kiedy bowiem Konstantyn posuwa się przez Beocję, sułtan Murad odniósł wielkie zwycięstwo pod Warną. W 1446 roku sułtan sam powiodł armię do Grecji. Konstantyn wycofał się do Heksamilionu, który ponownie ufortyfikował. Murad przyprowadził ze sobą ciężką artylerię. Po dwóch tygodniach silnego bombardowania żołnierze jego przedarli się przez mury. Konstantyn i Tomasz zdołali zaledwie uciec z życiem. Ich oddziały, szczególnie najemnicy albańscy, wykazywały wyraźny brak odwagi i nielojalności. Sułtan zburzył nowy mur i skierował się na Patras i Clarenzę, masakrując napotkaną w czasie marszu ludność. Następnie wycofał się,

wymusiwszy na despotach nową obietnicę wasalstwa oraz roczny haracz.

Szkody wyrządzone despotatowi i straty w ludziach były ogromne. Konstantyn nie był zdolny dłużej podejmować imperialistycznych wypraw. Zamiast tego usiłował zabezpieczyć się za pomocą zagranicznych sojuszków. W 1441 roku ożenił się po raz drugi. Małżonką jego była Katarzyna, córka Doriana Gattilusio, księcia Lesbos z dynastii genueńskiej, której założyciel, Francesco, poślubił siostrę cesarza Jana V i żona jego stała się w pełni Greczynką. W następnym jednak roku Katarzyna zmarła bezdzietnie, zaczął więc szukać nowej żony, z posagiem i pożytecznymi koneksjami. Oświadczył się o rękę Izabeli Orsini, siostry władcy Tarentu. Jego ambasadorzy w Neapolu zasięgaliby informacji co do infantki Portugalii. Ambasador wenecki wysuwał myśl, że córka doży, Francesca Foscarięgo, mogłaby być do wzięcia. Jednak żadna księżniczka nie chciała przybyć i dzielić z Konstantynem niepewnego tronu; nie było też możliwe zawarcie trwałego sojuszu z jakimkolwiek państwem Zachodu. W tym czasie jego wierny sekretarz i przyjaciel, Jerzy Phrantzes, podejrzliwy w stosunku do ludzi Zachodu, pośpieszył do Trebizondy, aby pozyskać dla swego pana rękę córki Wielkiego Komnena. Jej ojciec nie miał politycznego znaczenia, to prawda, ale wciąż był bogaty dzięki swym kopalniom srebra oraz drogim handlowym, które prowadziły przez jego stolicę. Dziewczyna przyniosłaby prawdopodobnie spory posag, a księżniczki Trebizondy słynęły z piękności. Ciotkę jej, żonę cesarza Jana VIII, uważano za najbardziej uroczą kobietę swych czasów, chociaż de la Broquiére, który ją widział, ubolewał nad jej nadmiernym i jego zdaniem niepotrzebnym używaniem szminek. Misja Phrantzesa nie powiodła się. Konstantyn wysłał też swoją bratanicę, Helenę, najstarszą córkę Tomasza, w celu zaślubienia syna Jerzego Brankowicza, despotesa Serbii. Nawet jednak Jerzy był zbyt ostrożny, aby prowokować Turków zawieraniem paktu z despotami Morei.

Kiedy Jan VIII umarł, Konstantyn znajdował się w Mistrze, ale Tomasz był w drodze do Konstantynopola. W porę przyjechał tam 13 listopada 1448 roku, akurat w dwa tygodnie po śmierci cesarza, albowiem brat ich, Demetrios, pośpieszywszy ze swoich apanaży w Selymbrii, domagał się już tronu. Pokładał on nadzieję w poparciu wrogów unii kościelnej. Jednak gdy nie było koronowanego cesarza, praktyka konstytucyjna powierzała prawa suwerenne koronowanej cesarzowej. Stara cesarzowa - matka Helena, użyła swego autorytetu, nalegając na proklamowanie cesarzem Konstantyna, najstarszego żyjącego syna; poparła ją opinia publiczna. Nadzieje Demetriosa zgasły. Kiedy zjawił się Tomasz, przyznał sam, że jest pokonany i uznał Konstantyna. Phrantzes, który był właśnie w Konstantynopolu, gdzie dopiero zmarł jeden z jego młodych synów, został wysłany przez cesarzową w celu oznajmienia o wstąpieniu na tron jej syna sułtanowi Muradowi, który łaskawie udzielił swej aprobaty. Dwaj wysocy dostojnicy, Aleksius Laskaris Filanthropenus i Manuel Paleolog Iagrus, udali się do Mistry z cesarską koroną. Tutaj 6 stycznia 1449 roku Konstantyn został ukoronowany w bazylice przez miejscowego metropolitę. Była to poza okresem nicejskim pierwsza od tysiąca lat cesarska koronacja, która nie odbyła się w Konstantynopolu i nie została

dokonana przez patriarchę. Choć nikt nie miał zamiaru zakwestionować rządów Konstantyna, istniała pewna wątpliwość co do legalności tej ceremonii. Uważano jednak za konieczne, aby Konstantyn jak najprędzej objął władzę; ceremonia koronacji zaś w Konstantynopolu mogłaby napotkać trudności, jako że aktualnego patriarchę, Grzegorza Mammasa, bojkutowała większość duchowieństwa.

Konstantyn przyjechał do cesarskiej stolicy 12 marca, odbywając podróż ze swą siostrą z Morei na katalońskich galerach. W kilka dni później mianował swoich braci, Demetriosą i Tomasza, łącznymi despotesami Morei. Demetrios miał władać Mistrą i południowo-wschodnią częścią półwyspu, a Tomasz północno-zachodnią częścią z Clarenzą i Patras. W czasie uroczystej ceremonii z udziałem cesarzowej-matki i wysokich dostojników Cesarstwa obaj bracia zaprzysięgli wierność cesarzowi i wieczna wzajemna przyjaźń. Chociaż mieli oni niejednokrotnie łamać swoje przysięgi, to wyjazd ich pozostawił Konstantyna władcą Konstantynopola.

Cesarz miał teraz prawie czterdzieści pięć lat. Nie mamy pełnego opisu jego wyglądu. Zdaje się, że był słusznego wzrostu, szczupły, z ostrymi regularnymi rysami twarzy, właściwymi jego rodzinie, i ciemną, charakterystyczną dla tej rodziny, cerą. Nie interesował się specjalnie sprawami intelektualnymi, filozofią i teologią, jakkolwiek przyjaźnił się z Plethonem w Mistrze, a jego ostatnią tam czynnością przed wyjazdem do Konstantynopola było zatwierdzenie synom Plethona posiadłości, jakie darował im ojciec. Był jednak dobrym żołnierzem i kompetentnym administratorem. Ponad wszystko był prawy. Nigdy nie postępował nikczemnie. Okazywał wielkoduszność i cierpliwość w stosunkach ze swoimi trudnymi braćmi. Jego przyjaciele i urzędnicy byli mu oddani, jeśli nawet czasami nie zgadzali się z nim; miał też dar wzbudzania podziwu i miłości wszystkich swych poddanych. Jego przyjazd do Konstantynopola powitano z prawdziwą radością.

Owa miłość była mu potrzebna w rozgoryczonym i melancholijnym mieście, do którego przybył. Nienawiść do oficjalnej unii Kościoła z Rzymem nie osłabła. Konstantyn uważał się za związanego florenckimi zobowiązaniami swego brata. Jednak z początku nie podjął żadnych drastycznych działań. Prawdopodobnie zawdzięczać do należy wpływowi jego matki, albowiem wielce na niej polegał. Śmierć jej 23 marca 1450 roku była dla niego ogromną stratą. Próbował otoczyć się ministrami ze wszystkich partii. Najwyższym ministrem, megaduksem - wielkim admirałem floty, był Łukasz Notaras, przeciwny unii, lecz nie fanatyk. Jan Kantakuzen, serdeczny przyjaciel z czasów peloponeskich i zawzięty orędownik unii, został stratopedarchą. Wielki logoteta, Metochites, i protostator, Demetrios Kantakuzen, zdawali się wątpić w mądrość unii, ale gotowi byli zaakceptować każdą politykę, jaką cesarz może narzucić. Sekretarz Phrantzes, który był chyba jego najbliższym powiernikiem, podzielał ich opinię. Patriarchę Grzegorza rozczarował brak poparcia ze strony nowego cesarza. W sierpniu 1451 roku usunął się do Rzymu, gdzie lepiej go oceniano i gdzie wylewał skargi na obojętne rządy cesarskie.

Konstantyn ciągle szukał żony. Zapewne, aby ułagodzić antylacińskie

uczucia swego narodu, za namową matki postanowił znaleźć sobie żonę w świecie prawosławnym. W 1450 roku wierny Phrantzes znów został wysłany na Wschód, na dwory Gruzji i Trebizondy. Uważał on księżniczkę gruzińską za bardzo odpowiednią. Zaskoczyło go jednak, gdy jej ojciec, król Jerzy, oświadczył, że w jego kraju zwykle mężowie dają posagi swoim żonom, a nie żony mężom. Jego Królewska Mość oświadczył następnie, że nie trzeba uzasadniać zwyczajów różnych nacji. Ostatecznie, zaznaczył, w Brytanii jedna kobieta często miewa kilku mężów, a jeden mężczyzna parę żon. Obiecał, że będzie hojny przy tej okazji i nawet zaproponował, że zaadoptuje córkę Phrantzesa.

Przebywając w Gruzji, Phrantzes usłyszał o śmierci sułtana Murada, a kiedy przyjechał do Trebizondy i omawiał tę wiadomość z cesarzem Janem, powiedziano mu, że wdowa po sułtanie, chrześcijanka Mara serbska, bratanica cesarzowej Trebizondy, została odesłana do ojca, obsypana darami i zaszczytami. Napisał tedy od razu do Konstantyna, że byłaby to właściwa dla niego żona. Sułtanka była jeszcze młoda, bogata, cieszyła się wielką popularnością na dworze tureckim i, jak mówiono, miała wpływ na swojego pasierba, nowego sułtana. Phrantzes podkreślił, że nie byłoby poniżej godności cesarza poślubić wdowę po niewiernym władcy, albowiem macocha Konstantyna, druga żona cesarza Jana V, była małżonką pewnego turkmeńskiego wielmoży i nawet urodziła mu dzieci, zanim wyszła za cesarza. Phrantzes pośpieszył do domu, by popierać projekt. Cesarz zainteresował się, ale narzekał, że wszyscy ministrowie dają mu inne rady. Matka, która mogłaby zdecydować za niego, nie żyła, a bliski przyjaciel, Jan Kantakuzen, także niedawno zmarł. Jednak sama sułtanka rozwiła projekt. Złożyła bowiem ślub, że jeśli kiedykolwiek wydobędzie się z haremu niewiernego, spędzi resztę swego życia w celibacie, oddając się dobroczynności. Wobec tego Konstantyn wybrał księżniczkę gruzińską. Wysłano poselstwo do Gruzji, aby załatwiło kontrakt ślubny i przywiozło narzeczoną do Konstantynopola. Nastąpiła jednak zwłoka. Kiedy wreszcie księżniczka mogła opuścić swą ojczyznę, dowiedziała się, że jest już za późno.

Cesarz Trebizondy spodziewał się, że Phrantzes będzie wraz z nim cieszyć się na wiadomość o śmierci sułtana Murada. Phrantzes jednak wyrażał opinię przeciwną. Murad, jak zaznaczał, był zasadniczo człowiekiem pokoju, który już dłużej nie pragnął napięcia i wysiłku, związanych z prowadzeniem wojny. Natomiast o nowym sułtanie wiadomo było, że od wczesnego dzieciństwa jest wrogiem chrześcijan; na pewno będzie usiłował napaść i zniszczyć chrześcijańskie cesarstwa, Trebizondę na równi z Konstantynopolem. Obawy Phrantzesa podzielał jego cesarski zwierzchnik. Raporty od agentów utrzymywanych przez Bizantyńczyków na tureckim dworze zawierały aż nadto wiele ostrzeżeń przed niebezpieczeństwem.

Ostrzeżenia te były uzasadnione. Nowy sułtan, Mehmed II, liczył teraz dziewiętnaście lat. Urodził się w Adrianopolu 30 marca 1432 roku. Dzieciństwo jego nie było szczęśliwe. Matka Huma Hatun była niewolnicą, prawie na pewno Turczynką, chociaż późniejsza legenda, nie całkiem kwestionowana przez samego Mehmeda, uczyniła z niej wysoko urodzoną

francuską damę. Ojciec mało na niego zwracał uwagi, faworyzując synów urodzonych z żon szlachetniejszego pochodzenia. Mehmed spędził tedy wczesne lata chłopięce spokojnie w Adrianopolu z matką i niańką, groźną i pobożną turecką damą, znaną jako Daye Hatun. Kiedy najstarszy jego brat, Ahmed, zmarł nagle w Amasii w 1437 roku, drugi zaś, Ala ad-din, został w sześć lat później w tymże mieście tajemniczo zamordowany, Mehmed mając jedenaście lat stał się następcą tronu i jedynym żyjącym księciem z dynastii otomańskiej, oprócz sultana i dalekiego kuzyna, wnuka sultana Sulejmana, Orchana, który był na wygnaniu w Konstantynopolu. Murad zawezwał chłopca na dwór i był wstrząśnięty widząc, jak zaniedbano jego wykształcenie. Zaangażowano dla niego całą armię nauczycieli ze znakomitym kurdyjskim profesorem, Ahmedem Kurani, na czele. Swoje zadanie wykonali gruntownie. Mehmed był dobrze wyszkolony w naukach ścisłych i filozofii oraz odczytany w literaturze mahometańskiej i greckiej. Obok ojczystego języka tureckiego opanował biegle grecki, arabski, łacinę, perski i hebrajski. Wkrótce też ojciec zaczął go wprowadzać w arkana władzy.

Mehmed miał lat dwanaście, kiedy Murad po podpisaniu rozejmu z królem Władysławem postanowił wycofać się z czynnego życia, pozostawiając synowi kierowaniem Cesarstwem. Przede wszystkim należało stłumić zamieszki w Anatolii; Murad był jeszcze tym zajęty, kiedy przyszła wiadomość o posuwaniu się chrześcijan na Warnę. Wezyr Halil Pasza śpiesznie wezwał go z powrotem do Europy, tym skwapliwiej, że zaniepokoiło go postępowanie młodego Mehmeda. Murad chciał, żeby jego syn był pod kuratelą Halila, starego i zaufanego przyjaciela. Ale chłopak od razu pokazał, że postanawia robić, co mu się żywnie podoba. Zaledwie Murad udał się do Anatolii, a już nastąpił kryzys w związku z pewnym heretykiem, perskim derwiszem, z którym Mehmed się zaprzyjaźnił, nad czym ogromnie bolał Halil, syn i wnuk wezyrów i muzulmanin starego pokroju. Mehmed został zmuszony do wydania heretyka naczelnemu muftiemu, Fachreddinowi, który podburzył ludność, aby spalono biedaka. Muftiemu tak zależało na dopilnowaniu, by ogień był należycie rozpalony, że podszedł za blisko i osmalił sobie brodę.

Pomimo to, kiedy Murad wrócił po zwycięstwie pod Warną, nie dał się odwieść od decyzji ustąpienia; tak więc Mehmed pozostał władcą imperium pod kuratelą Halila. I znowu eksperyment okazał się fatalny. Na granicy albańskiej i greckiej trwały walki. Mehmed by wściekły na swych opiekunów, którzy odrzucili jego niepraktyczny projekt zaatakowania Konstantynopola. Jego aroganckie maniery i nieprzystępność raziły zarówno dwór, jak i poddanych. Ale największe niezadowolenie okazywała armia. Ażeby zapobiec otwartemu buntowi wojska, Halil namówił Murada, by powrócił do Adrianopola i z powrotem objął rządy. Jego przyjazd tam jesienią 1446 roku powitano powszechną radością. Mehmed został wysłany do Magnisy, miejsca, dokąd usunął się jego ojciec, zanim Halil wezwał go z powrotem.

Możliwe, że Murad myślał o wydziedziczeniu Mehmeda, albowiem miał wysoko urodzoną żonę, córkę emira Ibrahima Czandaroglu, z rodziny spowinowaczonej już z domem otomańskim, która miała mu wkrótce

urodzić syna. Zmienił jednak zdanie w tym względzie. Po dwuletnim wygnaniu Mehmed został ponownie przywołany, by wziąć udział w kampanii przeciwko Hunyadiemu, której wynikiem było zwycięstwo na Kosowym Polu. Wcześniej w tymże roku niewolnica Gülbehar, córka Abduli, zapewne Albańczyka nawróconego na islam, urodziła mu syna Bajezida. Murad nie aprobował tego romansu. W 1450 roku kazał Mehmedowi poślubić córkę bogatego księcia turkmeńskiego Sulejmana Zulkdroglu, władcy Malatii. Ślub odbył się z wielką wystawnością. Ale Mehmed nigdy nie dbał o Sitt Hatun, ową narzuconą mu pannę młodą. Spędziła ona resztę życia opuszczona i bezdzietna w haremie pałacowym w Adrianopolu.

W ciągu dalszego panowania swego ojca Mehmed traktowany był z większą życzliwością. Od czasu do czasu pokazywał się na dworze i towarzyszył sułtanowi w jednej lub dwóch kampaniach. Często jednak przebywał w swoim pałacu w Magnisie. Tam też był, kiedy umarła jego matka w sierpniu 1450 roku, i dopilnował, aby została godnie pochowana w Brusie, pod napisem, w którym zaledwie wspomina się Murada. Był tam znowu, kiedy sam Murad umarł w Adrianopolu po ataku apoplektycznym 2 lutego 1451 roku.

Nikt nie wątpił, że dziedzicem tronu jest Mehmed. Zapieczętowany list, przesłany mu przez Halila Paszę, sprowadził go w pośpiechu z Magnisy. Kiedy przepłynął się przez Dardanele, wiedział już, że jego następstwo nie miało być kwestionowane, zatrzymał się przeto przez dwa dni w Gallipoli, gdy tymczasem w Adrianopolu szykowano mu należyte przyjęcie. Przyjechał tam 18 lutego. Wielki wezyr i wszyscy dostojnicy państwowi wyjechali konno na jego spotkanie; na 1,5 kilometra od bram miasta zsiadli z koni, aby przejść pieszo z powrotem do miasta w orszaku, poprzedzając konia Mehmeda.

Po przybyciu do pałacu Mehmed udzielił posłuchania. Ministrowie jego ojca, niepewni, trzymali się o tyle, dopóki nie powiedział Szehab ad-Dinowi, głównemu eunuchowi, aby ich poprosił o zajęcie zwykłych miejsc. Następnie zatwierdził wielkiego wezyra na jego stanowisku. Drugi wezyr, Iszak Pasza, najbliższy przyjaciel Murada, został mianowany gubernatorem Anatolii - pozycja wielce zaszczytna i ważna, ale oddalająca go od jego sprzymierzeńca Halila. Sarudża Pasza i Zaganos Pasza, obaj oddani Muradowi, lecz mniej zaprzyjaźnieni z Halilem, zostali wyznaczeni na zastępców wezyra wraz z Szehab ad-Dinem. Wkrótce potem wdowa po jego ojcu, córka Ibrahima Beja, przyszła złożyć kondolencje z powodu śmierci Murada oraz gratulacje z racji wstąpienia na tron Mehmeda. Kiedy ten witał ją łaskawie, słudzy jego pośpieszyli do haremu, aby udusić w kąpieli jej małego synka Ahmeda. Zrozpaczonej matce rozkazano w końcu wyjść za mąż za Iszak Paszę i usunąć się razem z nim do Anatolii. Phrantzes został poinformowany w Trebizondzie, że chrześcijańska wdowa po Muradzie, Mara z Serbii, została odesłana do ojca z wszelkimi honorami.

Ugruntowawszy administrację i uporządkowawszy pałac, młody sułtan zajął się wytyczaniem zasad swej polityki. Na zewnątrz świat znał go tylko jako niedoświadczonego młodzieńca, którego wczesna kariera była godna

pożałowania. Jednak na tych, którzy go widzieli teraz, wywierał silne wrażenie. Był przystojny, średniego wzrostu, ale mocno zbudowany. W twarzy uderzała para przeszywających oczu pod łukiem brwi i haczykowany nos zaginający się nad ustami o pełnych, czerwonych wargach. W późniejszym życiu przypominał papugę zabierającą się do jedzenia dojrzałych wiśni. Sposób bycia miał pełen godności i sztywny, chyba, że wypił za dużo, dzielił bowiem bezbożne upodobanie swej rodziny do alkoholu. Zawsze jednak zwykł być łaskawy, a nawet serdeczny dla każdego, czyją wiedzę szanował; lubił też towarzystwo artystów. Znany był ze swej skrytości. Nieszczęśliwe wydarzenia z dzieciństwa nauczyły go nieufności. Niemożliwe też było odgadnięcie jego myśli. Nigdy nie starał się o to, aby go kochano; nie pragnął popularności. Jego inteligencja, energia i stanowczość budziły jednak respekt. Nikt, kto go znał, nie mógł żywić nadziei, aby ten groźny młodzieniec dał się kiedykolwiek odwieść od zadań, które postanowił wykonać; z zadań tych pierwszym i najważniejszym było zdobycie Konstantynopola.





Rozdział 4

CENA POMOCY ZACHODU

Nie tylko cesarz Trebizondy odetchnął z ulgą na wiadomość o śmierci sułtana Murada. Na Zachodzie odczuwano podobny radosny optymizm. Ambasadorzy bawiący niedawno na dworze Murada donosili o niepowodzeniu wcześniejszych rządów Mehmeda. Uważali, że nie zanoszą się na to, aby ten niezdolny młodzieniec okazał się groźny dla chrześcijaństwa. Złudzenie potwierdzała życzliwa gotowość sułtana do uznania traktatów zawartych przez swego ojca. Późnym latem 1451 roku, kiedy wiadomość o objęciu przezeń tronu rozeszła się po Europie, liczne poselstwa napłynęły do Adrianopola. 10 września Mehmed przyjął misję wenecką i formalnie odnowił traktat pokojowy, który jego ojciec zawarł z republiką przed pięcioma laty. W dziesięć lat później podpisał pakt z przedstawicielami Jana Hunyadięgo, ustalający rozejm na trzy lata. Poselstwo z Raguzy zostało przyjęte ze specjalną przychylnością, jako że zaofiarowało podwyższenie haraczu płaconego corocznie przez miasto o 500 sztuk złota. Posłów wielkiego mistrza joannitów, księcia Wołoszczyzny, władcy Lesbos i rządu Chios, przybyłych z bogatymi darami, zapewniono o jego życzliwości. Despotes serbski nie tylko otrzymał z powrotem swoją córkę, ale także zezwolenie na ponowne zajęcie kilku miast w dolinie górnej Strumy. Nawet ambasadorzy cesarza Konstantyna, którzy przyjechali pierwsi, i to w niejakiem przestachu, będąc lepiej poinformowani o charakterze sułtana, nabrali otuchy po przyjęciu przez Mehmeda. Sułtan nie tylko przysiągł przed nimi na Koran, że będzie szanował nienaruszalność terytorium bizantyńskiego, lecz nadto obiecał płacić cesarzowi corocznie sumę 3000 asperów z dochodów pewnych miast greckich położonych w dolinie dolnej Strumy. Miasta należały prawnie do otomańskiego księcia Orchana, a pieniądze te miały być przeznaczone na jego utrzymanie, dopóki przebywał w honorowym areszcie w Konstantynopolu. Nawet społeczność mnichów z góry Athos, która po zdobyciu przez Murada Tesaloniki roztropnie uznała suwerenność otomańską, uzyskała zapewnienie, że nie będzie żadnego wtrącania się do jej autonomii.

Wydawało się, że nowy sułtan jest pod wpływem Halila, starego ministra Murada, o którym wiadomo było, iż podzielał pokojowe zamiłowania swego pana. Bizantyńscy dyplomaci troskliwie pielęgnowali przyjaźń z Halilem. Miło było stwierdzić, że ich wysiłki zostały odpłacone. Jednak przenikliwsi obserwatorzy mogli zdać sobie sprawę, iż pokojowe gesty Mehmeda nie były szczere. Dogadzał mu pokój na granicach, w czasie kiedy planował swoją wielką kampanię. Wpływ Halila nie był tak wielki, jak wyobrażali sobie chrześcijanie. Mehmed nigdy mu naprawdę

nie przebaczył roli, jaka odegrał w 1446 roku. Jego sojusznik, Iszak Pasza, znajdował się daleko w Anatolii. Zaganos Pasza, obecnie drugi wezyr, był z nim od lat kilku na chłodnej stopie, a blisko przyjaźnił się z Szehab ad-Dinem, zaufanym eunuchem Mehmeda i orędownikiem wojny.

Wewnętrzna polityka dworu otomańskiego była jednak nie znana światu europejskiemu. Zachodnie chrześcijaństwo z radością słyszało z Wenecji i Budapesztu o uprzejmości sułtana. Po upokorzeniach doznanych pod Nikopolis i Warną żaden władca zachodni nie miał ochoty stanąć ponownie do walki z Turkami. O wiele przynajmniej było wierzyć, że nie ma po temu potrzeby. W istocie nikt z nich nie znajdował się w położeniu umożliwiającym podjęcie jakiejś akcji; wszystkich absorbowały sprawy krajowe. W Europie Środkowej Fryderyk III Habsburg zajmował się nader gorliwie przygotowaniem do swej cesarskiej koronacji w Rzymie, która miała się odbyć w 1452 roku i dla której sprzedał przed czterema laty przywileje Kościoła w Niemczech. Ponadto musiał udowodnić słusność swoich roszczeń do tronów Czech i Węgier i wskutek tego nigdy nie marzyłby o współpracy z Janem Hunyadim, regentem jego chłopięcego rywala, Władysława V. Król Francji Karol VII zajęty był odbudową państwa po zniszczeniach wojny stuletniej; w osobie swego kuzyna, Filipa Dobrego, księcia Burgundii, miał też niebezpiecznego a potężnego wasala, którego ziemie i bogactwa znacznie przewyższały jego własne. Filip uważał się za krzyżowca; jednak gdyby mógł nawet zaryzykować opuszczenie swojego księstwa, pamiętał aż nadto dobrze nieszczęsną historię jeniectwa ojca, Jana, wziętego do niewoli przez Turków pod Nikopolis. Anglia, osłabiona niepowodzeniami wojen francuskich i rządzona przez świątobliwego, lecz nie najmądrzejszego króla, nie miała chyba na zbyciu żołnierzy do zagranicznych awantur. Nie można było oczekiwać pomocy, a nawet zainteresowania ze strony tak dalekich monarchów, jak królowie skandynawscy lub król Szkocji; a królowie Kastylii i Portugalii mieli bliżej swoich niewiernych wrogów do zwalczania. Jedynym monarchą, przykładającym pewną wagę do spraw Lewantu, był Alfons V Aragoński, który w 1443 roku objął tron Neapolu. Twierdził on, że gorąco pragnie poprowadzić wyprawę na Wschód. Skoro jednak otwarcie głosił, iż ambicją jego jest samemu stać się cesarzem Konstantynopola, propozycje jego wydały się podejrzone i chyba nie do przeprowadzenia.

Nawet na dworze papieskim panowało ufne przekonanie, że nowy sułtan mało znaczy. Tam jednak uchodźcy greccy nalegali na wszczęcie jakiejś akcji, zanim sułtan zdobędzie doświadczenie w rządach. Ich rzecznikiem był Włoch, Francesco Filelfo z Tolentino, żonaty z córką greckiego profesora Jana Chrysolorsa; jego teściowa mieszkała w Konstantynopolu. Napisał on żarliwy apel do króla Francji Karola, wybierając jego, ponieważ w przeszłości Francja stawiała na czele wypraw krzyżowych. Nakłaniał króla usilnie, by prędko zorganizował armię i pośpieszył na Wschód. Utrzymywał, że Turcy nie będą mogli stawić oporu. Król Karol nie udzielił mu jednak żadnej odpowiedzi. Papież Mikołaj V, który w 1447 roku nastąpił po Eugeniuszu IV, był człowiekiem pokoju i uczonym, a jego najszczytniejszym osiągnięciem było założenie Biblioteki

Watykańskiej. Przyjaźń jego z Bessarionem, którego wiedze wielce podziwiał, budziła w nim sympatię dla sprawy Greków, nie wiedział jednak, do kogo spośród świeckich potentatów mógłby się zwrócić o poparcie; nie miał też ochoty wysyłać pomocy dla miasta, które wciąż odmawiało wprowadzenia w czyn unii, podpisanej przez jego cesarza i w jego imieniu we Florencji.

Cesarz Konstantyn zdawał sobie dobrze sprawę z tych trudności. Latem 1451 roku posłał na Zachód ambasadora, Andronika Bryenniusa Leontarisa, który naprzód udał się do Wenecji, aby uzyskać zezwolenie dla cesarza na zaciąganie do służby w jego armii łuczników na Krecie. Następnie pojechał do Rzymu z przyjacielskim pismem od Konstantyna do papieża oraz z listem adresowanym do papieża, a napisanym przez komitet przeciwników unii. Nazwali się oni Synaxis, ponieważ słowa synod nie mogło legalnie używać ciało działające bez patriarchy. Cesarz wywarł na nich nacisk, aby wystosowali ten apel, widocznie za radą Łukasza Notarasa. Synaxis zaproponowało odbycie, tym razem w Konstantynopolu, nowego soboru, który powinien być rzeczywiście ekumeniczny, z patriarchami Wschodu w pełni reprezentowanymi, a delegacją rzymską liczebnie zredukowaną. Podpisano apel wielu przeciwników unii, chociaż Jerzy Scholarios Gennadios odmówił podpisu w przekonaniu, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Miał rację. Papież wcale nie miał zamiaru zignorowania soboru florenckiego ani uwzględnienia skargi dysydentów. Złożyło się szczególnie niepomyślnie, że w tej właśnie chwili - prawdopodobnie kiedy Bryennius był jeszcze w Rzymie - patriarcha Grzegorz Mammas przyjechał z Konstantynopola na dobrowolne wygnanie. Jego skargi nie nakłoniły Mikołaja do pojednawczości. Nie wysłano żadnej odpowiedzi do Synaxis; jednak poinformowano cesarza, że choć uświadamiano sobie w Rzymie jego delikatną pozycję, niemniej jednak wyolbrzymia on wyraźnie trudności we wprowadzeniu unii. Potrzebna jest zdecydowana akcja. Patriarcha musi być zawezwany ponownie i przywrócony do godności patriarchalnych. Greków, którzy odmówili przyjęcia dekretu o unii, powinno się przysłać do Rzymu w celu reedukacji. Rozstrzygające zdanie papieża brzmiało: "Jeżeli Wy wraz ze swoimi dostojnikami oraz ludem Konstantynopola przyjmiecie dekret o unii, znajdziecie Nas i Naszych czcigodnych braci, kardynałów świętego rzymskiego Kościoła, zawsze skwapliwych do udzielenia poparcia Waszej czci i Waszemu Cesarstwu. Jeżeli jednak Wy i Wasz lud odmówi przyjęcia dekretu, zmusicie Nas do podjęcia takich środków, jakie są niezbędne dla Waszego zbawienia i Naszej godności."

Takie ultimatum nie mogło ułatwić cesarzowi zadania. Zamiast tego wzmocniło ono wpływ Gennadiosa na opozycję. W kilka miesięcy później dotarł do Konstantynopola wysłannik Kościoła husyckiego z Pragi, człowiek nazwiskiem Konstantyn Platris, zwany Anglikiem może dlatego, że był synem lollarda, uchodźcy z Anglii. Po złożeniu przez niego publicznego wyznania wiary, wśród powszechnego entuzjazmu, wysłano go z powrotem do Pragi z listem ostro atakującym pretensje papieskie, podpisanych przez czołowych członków Synaxis z Gennadiosem włącznie. Rozgoryczenie w mieście wzrosło akurat w tym czasie, kiedy ostatecznie

trzeba było porzucić radosne złudzenia o nieudolności Mehmeda.

Zarzut pogorszenia stosunków między Cesarstwem a Turkami obciąża samego cesarza. Jesienią 1451 roku emir Karamanii, Ibrahim Bej, wierząc podobnie jak książęta Zachodu w nieudolność nowego sułtana, zorganizował uzgodnione powstanie przeciwko niemu w świeżo ujarzmionych emiratach Aydinu i Dżermijanu oraz w emiracie Mentеше. Młodych książąt z każdej dynastii wysyłano, aby domagali się swoich rodzinnych tronów, podczas gdy sam Ibrahim najechał terytorium otomańskie. Miejscowy otomański komendant, Isa Bej, był leniwy i nieudolny, a więc Iszak, gubernator Anatolii, błagał sułtana, żeby sam przybył zgnieść rebelię. Natychmiastowy jego przyjazd do Azji odniósł pożądany skutek. Opór załamał się. Ibrahim Bej wysłał wkrótce prośbę o wybaczenie, a Iszak na czele pułku opanowywał terytorium Mentеше. Ale kiedy sułtan powracał do Europy, musiał stawić czoło zamieszkom wśród swych pułków janczarskich, które domagały się wyższego żołdu. Mehmed ustąpił niektórym im żądaniom, jednak zdegradował dowódcę i przydzielił do tych pułków wielu szczywaczy i sokolników z zarządu wielkiego łowczego, na których lojalności mógł polegać.

Konstantyn, ośmielony trudnościami sułtana, wysłał doń poselstwo ze skargą, że pieniądze obiecane za utrzymanie księcia Orchana nie są płacone, oraz z napomknieniem, że należałoby pamiętać, iż na dworze bizantyńskim znajduje się pretendent do otomańskiego tronu. Kiedy poselstwo, zapewne w Brusie, dotarło do sułtana, Halil Pasza zakłopotał się i rozgniewał. Znał już dość dobrze swego pana, aby uświadomić sobie, jaka będzie jego reakcja na takie zuchwalstwo. Cała polityka pokojowa, której był zwolennikiem, zostałaby wystawiona na niebezpieczeństwo, a jego własna pozycja zachwiana. Publicznie, wobec ambasadorów, wybuchł gniewem. Natomiast Mehmed zadowolili się chłodną wypowiedzią, że przyjrzy się tej sprawie po powrocie do Adrianopola. Nie mógł ubolewać nad tym bezczelnym i bezowocnym żądaniem, gdyż pomogło mu ono usprawiedliwić złamanie przysięgi, że nie wtargnie na bizantyńskie terytorium. Miał zamiar wrócić do Europy zwykłą drogą odbywaną przez Turków, przez Dardanele. Kiedy jednak usłyszał, że włoska eskadra krążyła tam i z powrotem po cieśninie, posunął się ku Bosforowi i zaokrętował razem z armią naprzeciw zamku Bajezida, Anadolu Hisar. Ziemia na europejskim brzegu była oficjalnie wciąż jeszcze bizantyńska, ale Mehmed nie raczył prosić cesarza o pozwolenie na wylądowanie. Natomiast jego bystre oko dostrzegło, jak pożyteczne byłoby wybudowanie twierdzy w tym miejscu nad cieśniną, na wprost Anadolu Hisar.

Wkrótce po powrocie do Adrianopola Mehmed wydał rozkaz usunięcia Greków z miast nad dolną Strumą i skonfiskowania wszystkich ich dóbr. Następnie, zimą 1451 roku, rozesłał rozkazy po wszystkich swoich posiadłościach, aby zebrano tysiąc biegłych murarzy i odpowiednią liczbę niewykwalifikowanych robotników, którzy mieli się zgromadzić wczesną wiosną w miejscu przezeń obranym, nad najwęższą częścią Bosforu, tuż za wsią zwaną podówczas Asomaton, a teraz Bebek, gdzie pasmo wzgórz dochodzi do samej cieśniny. Zaledwie minęła zima, geometrzy przystąpili do badania gruntu, a robotnicy zaczęli burzyć pobliskie kościoły i

klasztory, biorąc z nich te kamienne elementy, których można było użyć ponownie.

Rozkazy Mehmeda wzbudziły w Konstantynopolu przerażenie. Jasne się stało, że były to pierwsze kroki do oblężenia miasta. Cesarz wysłał pośpiesznie poselstwo do sułtana mające mu przedstawić, że łamie on uroczysty traktat, oraz przypomnieć, że sułtan Bajezid, zanim wybudował swój zamek Anadolu Hisar, prosił o zezwolenie cesarza Manuela. Ambasadorów odprawiono, nie udzieliwszy im audiencji. W sobotę 15 kwietnia rozpoczęto prace przy budowie nowej twierdzy. Konstantyn odparował to, uwięziwszy wszystkich Turków przebywających wówczas w Konstantynopolu; następnie jednak zdał sobie sprawę, że gest ten jest daremny, i zwolnił ich. Zamiast tego wysłał posłów obładowanych darami z prośbą, by przynajmniej wsie greckie nad Bosforem nie poniosły szkody. Sułtan nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. W czerwcu Konstantyn zrobił ostatni wysiłek, aby uzyskać od Mehmeda zapewnienie, że budowa zamku nie oznacza wstępnych kroków do ataku na Konstantynopol. Jego wysłanników wtrącono do więzienia i ścięto. Było to w istocie wypowiedzenie wojny.

Zamek, znany wtedy Turkom jako Boghaz-Kesen, przecinacz cieśniny albo inaczej przecinacz gardła, obecnie zwany Rumeli Hisar, został ukończony w czwartek, 31 sierpnia 1452 roku. Mehmed spędził ostatnie dni przed ukończeniem w jego pobliżu, a następnie pomaszerował z armią pod same mury Konstantynopola, gdzie pozostał przez trzy dni, dokładnie badając umocnienia. Nie mogło być już wątpliwości co do jego zamiarów. Tymczasem wydał obwieszczenie, że każdy statek przepływający w górę lub w dół Bosforu musi dla kontroli zatrzymać się opodal zamku. Każdy, kto nie posłucha, zostanie zatopiony. Żeby wzmocnić ten rozkaz, umieszczono trzy wielkie działa, największe, jakie dotąd widziano, na jednej z wież znajdujących się najbliżej wody. Nie była to czeza pogróżka. W początkach listopada dwa okręty weneckie płynące z Morza Czarnego odmówiły zatrzymania się. Obrócono na nie armaty, ale udało się im umknąć bez szkody. W dwa tygodnie później trzeci okręt próbował pójść za ich przykładem, został jednak zatopiony przez kulę armatnią, a kapitan Antonio Rizzo wraz z całą załogą wzięci do niewoli i zaprowadzeni do Didymotyki, gdzie rezydował sułtan. Ten rozkazał niezwłocznie ściąć całą załogę, a Rizza wbić na pal, ciało zaś jego wystawić na skraju gościńca.

Los weneckich żeglarzy położył kres wszelkim złudzeniom, jakie Zachód wciąż żywił co do charakteru i aspiracji sułtana. Wenecja znalazła się w trudnym położeniu. W Konstantynopolu była dzielnica wenecka, a jej handlowe przywileje potwierdził Konstantyn w 1450 roku. Handlowała ona jednak również bardzo korzystnie z portami otomańskimi; byli też Wenecjanie, którzy uważali, że turecki podbój Konstantynopola może przynieść większą stabilizację i lepszą koniunkturę dla handlu lewantyńskiego. Z drugiej strony, skoro sułtan zawładnie Konstantynopolem, na pewno skieruje z kolei wzrok na weneckie kolonie w Grecji i na Morzu Egejskim. Podczas dyskusji w senacie pod koniec sierpnia tylko siedem głosów padło za wnioskiem zalecającym pozostawienie Konstantynopola własnemu losowi, natomiast

siedemdziesięciu czterech senatorów myślało inaczej. Cóż jednak mogą zdziałać Wenecja? Miała na głowie małą, lecz kosztowną wojnę w Lombardii. Jej stosunki z papieżem nie były serdeczne, zwłaszcza że papieństwo nigdy nie zapłaciło za galery wynajęte od republiki w 1444 roku. Współdziałanie z Genuą było niemożliwe. Ambasadorowi weneckiemu w Neapolu polecono, aby zwrócił się do króla Alfonsa o pomoc; odpowiedź króla brzmiała jednak niejasno. Wenecką flotę dostatecznie absorbowała ochrona kolonii. Drogo kosztowałyby przerobienie statków handlowych na zdolne do walki okręty wojenne. Honor republiki wymagał teraz zerwania stosunków z sułtanem. Jednak weneckim dowódcom w Lewancie wydano dwuznaczne rozkazy. Mieli oni pomagać i chronić chrześcijan, lecz nie powinni atakować ani prowokować Turków. Tymczasem zaś udzielono cesarzowi pozwolenia na rekrutację kreteńskich żołnierzy i żeglarzy.

Genua znajdowała się w podobnej sytuacji i reagowała nawet bardziej nerwowo. Miała ona także swoje kłopoty w Europie; potrzebowała okrętów dla ochrony swoich wód terytorialnych, jak również wschodnich kolonii. Rząd ogłosił jedno lub dwa wezwania do narodów chrześcijańskich, aby wysłały pomoc przeciwko Turkom, sam jednak nie był w stanie posłać żadnej pomocy. Prywatnym obywatelom genueńskim udzielono zezwolenia, by czynili, co im się podoba. Istniała także szczególna obawa o Perę i kolonie nad Morzem Czarnym. Podesta Pery otrzymał instrukcję, by ułożył się tak z Turkami, jak będzie uważał za najlepsze, w nadziei, że nawet jeśli Konstantynopol padnie, kolonia może być oszczędzona. Podobne instrukcje otrzymała Mahona, komitet rządzący Chios. W każdym wypadku nie powinno się niepotrzebnie prowokować Turków.

Raguzanom, podobnie jak Wenecjanom, cesarz potwierdził ostatnio ich przywileje w Konstantynopolu. Oni również handlowali w portach otomańskich i nie mieli zamiaru wystawiać na ryzyko swojej małej floty przeciwko flocie sułtana, chyba że jako część wielkiej koalicji.

Pomimo licznych powodów do niezadowolenia z Bizantyńczyków papież Mikołaj był szczerze wstrząśnięty tym dowodem zamiarów sułtana. Skłonił przeto Fryderyka III, kiedy ten przybył do Rzymu koronować się na cesarza w marcu 1452 roku, aby wysłał sułtanowi surowe ultimatum. Były to jednak tylko puste słowa; każdy wiedział, że Fryderyk nie ma ani siły, ani chęci, aby poprzeć te słowa działaniem. Bardziej w grę wchodził Alfons. Był królem Neapolu, miał interesy i roszczenia w Grecji, Katalończycy zaś, którzy handlowali w Konstantynopolu, należeli do jego poddanych. Obiecywał dużo i dotrzymał obietnic o tyle, że wysłał na wody Morza Egejskiego flotyllę składającą się z dziesięciu okrętów, za które papież pokrył większość wydatków. Wycofał ją jednak w kilka miesięcy później, sprzymierzywszy się z Wenecjanami przeciwko Franciszkowi Sforzy z Mediolanu i denerwując się reakcją Genueńczyków. Mikołaj, mając przy boku Bessariona, na próżno szukał pomocy gdzie indziej. Ani ambasadorzy jego, ani Konstantyna nie otrzymali żadnej odpowiedzi na ich apel. Pragnął teraz gorąco uczynić, co tylko możliwe dla cesarza, ponieważ dostał list - napisany wkrótce po ukończeniu przez sułtana budowy Rumeli Hisar - w którym Konstantyn zobowiązuje się wprowadzić w czyn unię.

Izydor, odrzucony metropolita Kijowa i całej Rusi, a świeżo mianowany kardynałem rzymskiego Kościoła, został w maju 1452 roku wyznaczony na legata papieskiego do cesarza. Wyruszył więc obecnie do Konstantynopola. W drodze zatrzymał się w Neapolu, gdzie zwerbował na koszt papieża oddział dwustu łuczników, oraz w Mitylenie, gdzie przyłączył się doń arcybiskup Leonard z Chios, z pochodzenia Genuńczyk. Do Konstantynopola przyjechał 26 października. Jego wojskowa eskorta, chociaż mała, stanowiła oznakę, że papież wyśle praktyczną pomoc ludziom, którzy uznają jego autorytet. Gest ten nie był zmarnowany. Izydora powitał z szacunkiem nie tylko cesarz i jego dwór, lecz jego przyjazd wzbudził nawet pewien entuzjazm wśród ludności. Cesarz spiesznie to wykorzystał. Powołano komitety reprezentujące lud stolicy oraz znakomite rody w celu zgłoszenia przynależności do unii. Komitet ludowy zgodził się, gdyż przeciwnicy unii odmówili zasiadania w nim. Komitet arystokratów, gdzie odbywały się poważniejsze dyskusje, wolałby kompromis, na mocy którego imię papieża byłoby uczczone w liturgii, ale istotne ogłoszenie unii zostałoby odroczone; jednak cesarz pod naciskiem Izydora przekonał ich. Prawie na pewno Łukasz Notaras był tym, który prowadził pertraktacje, działając z wielkim taktem, nie otrzymał jednak za to żadnych podziękowań. Gennadiosowi i nieprzejednanym przeciwnikom unii zdawało się, że zdradza sprawę, podczas gdy Izydor i Łacinnicy wątpili o jego szczerości. Mieli oni o tyle rację, że - jak się zdaje - Łukasz zalecał stosowanie ekonomii, owej doktryny tak drogiej dla teologów ortodoksyjnych, która zezwala na darowanie rozbieżności dla wyższych interesów społeczności chrześcijańskiej; zdaje się też, że dawał do zrozumienia, iż całą kwestię będzie można podjąć na nowo, kiedy minie kryzys. Gennadios był rozgoryczony i strapiony. Przed przyjazdem Izydora wygłosił żarliwą przemowę do ludu, błagając go o nieporzucanie wiary ojców dla pomocy materialnej, która będzie małej wartości. Widok żołnierzy kardynała wzbudził w nich jednak niezdecydowanie. Usunął się więc do swojej celi w klasztorze Pankratora, umieściwszy na bramie klasztornej gniewny manifest, w którym raz jeszcze ostrzegał lud przed występny szaleństwem porzucania prawdziwej religii. Łukasz Notaras napisał doń, że jego opozycja jest daremna; jednak wpływ jego znowu dawał się odczuć. Na ulicach powstawały zamieszki przeciw Łacinnikom, a w miarę jak mijały tygodnie i żadne dalsze oddziały wojskowe nie przychodziły z Zachodu, wrogowie unii ponownie rośli w siłę.

Kardynał Izydor, sam będąc Grekiem, zachowywał się z tak daleko idącą wyrozumiałością i taktem, że powiernik cesarza Phrantzes wpadł na myśl, iż może byłoby mądrze mianować go patriarchą na miejsce nieobecnego Grzegorza Mammasa. Konstantyn jednak wiedział, że Izydor nigdy się na to nie zgodzi. Natomiast arcybiskup Leonard, z właściwą Łacinnikom pogardą dla Greków, był niezadowolony. Żądał, żeby cesarz zaareztował przywódców opozycji i wyznaczył sędziów, którzy mieli ich skazać. Był to szalony pomysł; stworzyłby tylko męczenników. Konstantyn zadowolili się wezwaniem członków Synaxis na spotkanie z nim w pałacu 15 listopada, aby wyjaśnili swoje zarzuty. Na jego prośbę sporządzili i podpisali dokument, podający przyczyny ich odmowy przyjęcia unii

florenckiej. Powtórzyli swą teologiczną dezaprobatę formuły unijnej co do Ducha Świętego; powitaliby jednak, jak mówili, gorąco inny sobór, zwołany w Konstantynopolu i z udziałem upoważnionych przedstawicieli wszystkich Kościołów wschodnich. Jedyłą w tym przeszkodą była niechęć Łacinników. Dodali, że chętnie przyjmą z powrotem patriarchę Grzegorza, jeśli ich zapewni, że podziela ich wiarę. Nie wiadomo, czy Gennadios był obecny na spotkaniu z cesarzem. Nie figuruje on wśród piętnastu sygnatariuszy dokumentu, składających się z pięciu biskupów, trzech wysokich dygnitarzy patriarchatu oraz siedmiu opatów i mnichów. Stanowisko ich nie było pozbawione słuszności, jeżeli unia nie miała spowodować schizmy między Kościołem Konstantynopola a wszystkimi innymi Kościołami prawosławnymi. Dla polityków jednak jedność z Zachodem, mogąca przynieść pomoc materialną, była ważniejsza od jedności z Kościołami wschodnimi, które nie były w stanie przyjść z żadną pomocą.

W kilka lat później działa na Rumeli Hisar zatopiły wenecki statek handlowy. Nowa fala paniki ogarnęła miasto; bardziej niż kiedykolwiek stawała się paląca potrzeba pomocy z Zachodu. Partia pronunijna odzyskała swych stronników. Gennadios obawiając się, jak sam to przyznawał, że pragnienie pomocy rozszerzy się niczym pożar lasu, ogłosił nowy apel dla podkreślenia, że pomoc Zachodu pociąga za sobą unię. Powtórzył w nim, że on przynajmniej nie zezwoli na to, by jego wiara została skalana przez nadzieje pomocy, której skuteczność była bardzo wątpliwa. Słowa jego czytano i pamiętano.

12 grudnia 1452 roku w obecności cesarza i dworu odbywało się uroczyste nabożeństwo w wielkim kościele Mądrości Bożej. W modlitwach zostali wymienieni papież i nieobecny patriarcha; odczytano postanowienia unii florenckiej. Kardynał Izydor pragnąc wykazać, że jego rodacy, Grecy, nawrócili się, donosił, iż kościół był zatłoczony, nieobecny był tylko Gennadios i ośmiu mnichów. Natomiast inni członkowie jego stronnictwa malowali obraz odmienny. Brak było entuzjazmu wśród Greków i odtąd niewielu z nich wstępowało do kościoła, w którym wolno było odprawiać nabożeństwo tylko tym duchownym, którzy przyjęli unię. Arcybiskupowi Leonardowi nawet cesarz wydawał się oziębły i słaby w swych wysiłkach narzucenia unii, a Łukasz Notaras był, jego zdaniem, otwartym jej wrogiem. Jeżeli Notaras rzeczywiście wypowiedział często cytowaną uwagę, że woli turban sułtana niż kapelusz kardynała, to niewątpliwie wywołało ją rozdrażnienie spowodowane bezkompromisowością takich Łacinników, jak Leonard, nie rozumiejących jego wysiłków w kierunku pojednania.

Kiedy ogłoszono unię, nie było już otwartej opozycji. Gennadios w swej celi zachował milczenie. Masy ludowe przyjęły fakt dokonany z pośpą biernością, ale chodziły tylko do tych kościołów, których kapłani byli nieskażeni. Nawet wielu zwolenników unii miało nadzieję, że miasto będzie oszczędzone, to do dekretu wprowadzi się poprawki. Gdyby po unii przybyły szybko okręty i żołnierze z Zachodu, jej korzyści praktyczne mogłyby zdobyć dla niej powszechne poparcie. Grecy, mając na względzie doktrynę ekonomii, mogli rozważyć, że porzucenie ich religijnych

lojalności byłyby dobrze skompensowane przez zachowanie chrześcijańskiego cesarstwa. Jednak w rzeczywistości zapłacili oni cenę żadaną za pomoc Zachodu, i zostali oszukani.





Rozdział 5

PRZYGOTOWANIA DO OBLEŻENIA

W ciągu ostatnich miesięcy 1452 roku sułtan obmyślał swoje plany. Nawet wśród ministrów nikt nie wiedział dokładnie, jakie są jego zamiary. Czyż miał on teraz zadowolić się tym, że jego twierdza w Rumeli Hisar dawała mu kontrolę nad Bosforem i umożliwiała tak całkowitą blokadę Konstantynopola, że po jakim czasie miasto musiałoby się poddać? Miał on jednak zaprojektowany wspaniały nowy pałac w Adrianopolu, na wyspie na rzece Maricy. Czyżby to oznaczało, że na razie nie myślał o przeniesieniu swego rządu do starej cesarskiej stolicy? Taką nadzieję żywił jego wezyr Halil. Halil bez względu na to, czy otrzymywał regularne prezenty od Greków, o co go powszechnie podejrzewano, czy też ich nie dostawał, był przeciwnikiem idei podboju Konstantynopola. Oblężenie byłoby kosztowne, a jeśli się nie dało, obniżenie prestiżu otomańskiego równałoby się katastrofie. Ponadto Konstantynopol w obecnym stanie nie miał znaczenia politycznego, stanowił za to dogodny ośrodek handlowy. Halil miał stronników wśród dawnych ministrów Murada. Istniała natomiast silna partia przeciwna mu, na której czele stali żołnierze, tacy jak Zaganos i Turahan Pasza, mający za sobą eunucha Szehab ad-Dina; im to właśnie sułtan dawał posłuch.

Sam Mehmed spędził tej zimy dużo bezsennych nocy, dumając nad swoją wyprawą. Mówiono, że można było ujrzeć o północy włóczącego się po ulicach Adrianopola w ubraniu prostego żołnierza, a każdy, kto go poznał i pozdrowił, natychmiast był uśmiercany. Pewnej nocy, koło posterunku drugiej straży, nagle rozkazał, aby sprowadzono do niego Halila. Stary wezyr przyszedł drżący, bojąc się usłyszeć o grożącej mu dymisji. Aby ugłaskać swego pana, przyniósł ze sobą miskę napełnioną pośpiesznie złotymi monetami. „Co to jest, mój nauczycielu?” - zapytał sułtan. Halil wyszeptał, że jest taki zwyczaj, iż ministrowie nagle wezwani przed oblicze majestatu przynoszą ze sobą dary. Mehmed odsunął na bok miskę. Dla niego takie podarki były bezużyteczne. „Chcę tylko jednej rzeczy - zawołał. - Daj mi Konstantynopol.”

Po czym wyjawiał, że ostatecznie powziął decyzję. Zaatakuje miasto, kiedy będzie można najwcześniej. Halil, zdenerwowany i przygnębiony, przyrzekł swe lojalne poparcie.

W kilka dni później, pod koniec stycznia, sułtan zebrał wszystkich ministrów i wygłosił długą mowę, w której przypomniał im bohaterskie czyny ich przodków. Jednakże, oświadczył, cesarstwo tureckie nigdy nie będzie bezpieczne, dopóki nie zajmie Konstantynopola. Bizantyńczycy mogą być słabi, ale pomimo to pokazali, jak dobrze potrafią knuć intrygi z wrogami Turków, i w swej słabości mogą oddać miasto w ręce

sojuszników, którzy nie będą tak nieudolni. Konstantynopol nie jest nie do zdobycia. Wcześniejsze oblężenia nie udawały się z innych przyczyn. Teraz zaś nadeszła ta chwila. Miasto jest rozdarte przez waśnie religijne. Włosi nie są solidni jako sprzymierzeńcy, a wielu z nich - to zdrajcy. Poza tym Turcy panują wreszcie nad morzami. Jeśli chodzi o niego, powiedział, to jeśli nie będzie mógł rządzić cesarstwem, które obejmuje Konstantynopol, woli wtedy w ogóle nie rządzić żadnym cesarstwem.

Słuchacze byli poruszeni. Nawet ci z Rady, którzy nie popierali jego zamiarów, nie ośmielili się wyrazić swych obaw. Ministrowie jednomyślnie poszli za przykładem sułtana i głosowali za wojną.

Skoro tylko wojna została uchwalona, sułtan rozkazał wojskowemu gubernatorowi prowincji europejskich, Daji Karadża Bejowi, zebrać wojska i zaatakować bizantyńskie miasta i osady na wybrzeżach Tracji. Miasta na wybrzeżu Morza Czarnego, Mesembria, Anchialos i Byzon, poddały się od razu i dzięki temu uniknęły rabunku. Ale niektóre miasta nad Morzem Marmara, jak Selymbria i Perinthus, próbowały się opierać. Wzięto je szturmem, złupiono, a umocnienia miejskie zdemolowano. Już poprzednio w październiku Turahan Bej i jego synowie zajęli stanowiska na Przesmyku Korynckim, aby najeżdzać Peloponez i w ten sposób zaszachować cesarskich braci, uniemożliwiając im udzielanie pomocy cesarzowi.

W swym przemówieniu wygłoszonym przed Radą sułtan podkreślał, że obecnie panuje na morzu. Poprzednich zakusów przeciwko Konstantynopolowi dokonywano wyłącznie z lądu. Bizantyńczycy zawsze mogli otrzymywać posiłki drogą wodną; jeszcze do niedawna Turcy zmuszeni byli wynajmować chrześcijańskie statki dla transportu swoich armii między Europą i Azją. Mehmed zdecydował się to zmienić. W ciągu marca 1453 roku wszelkiego rodzaju statki zaczęły się zbierać opodal Gallipoli. Były tam stare okręty, z których wiele naprawiono i uszczelniono, dużo więcej jednak było nowych, pośpiesznie zbudowanych w ciągu ostatnich miesięcy w stoczniach miast na wybrzeżu egejskim. Były tam tryremy, w których - odmiennie niż w dawnych tryremach - ławki znajdowały się na jednym poziomie. W każdym rzędzie, umieszczonym pod trochę ukośnym kątem w stosunku do boku okrętu, było miejsce dla trzech wioślarzy; każdy z nich miał pojedyncze krótkie wiosło na oddzielnej dulce, ale wszystkie trzy wystawały przez jeden otwór. Statek zanurzał się głęboko w wodzie i miał dwa maszty, przy czym żagli używano, kiedy był pomyślny wiatr. Były też biremy, trochę mniejsze statki o jednym maszcie, na których wioślarze siedzieli parami z każdego boku. Były także *fustae*, czyli długie łodzie, lżejsze niż biremy i szybsze, z pojedynczymi wioślarzami przy każdym boku przed masztem i z parami za masztem. Były również galery - termin, którego często używano nieściśle na oznaczenie każdego wielkiego okrętu, czy to tryremy, czy biremy, czy też żaglowca bez wioślarzy, ale który technicznie oznaczał duży statek wystający wyżej ponad wodą, z jedną ławką z długimi wiosłami. Były ponadto *parandaria*, ciężkie barki żaglowe używane do przewozów.

Rozmiary armady sułtana podawane bywają rozmaicie. Cyfry wysuwane przez historyków bizantyńskich są bardzo przesadzone; ze

świadczenia jednak włoskich żeglarzy obecnych w Konstantynopolu wynikałoby, że flota składała się z 6 tryrem, 10 birem, około 15 galer z wiosłami, około 75 *fustae* i 20 *parandaria* oraz z pewnej liczby małych żaglowców i kutrów, używanych głównie do przekazywania wiadomości. Gubernator Gallipoli, renegat pochodzenia bułgarskiego, Sulejman Baltoglu, został wyznaczony na dowódcę. Wśród wioślarzy i marynarzy było trochę jeńców lub niewolników, jednak znajdowało się tam również wielu ochotników zniechęconych szczodrą zapłatą. Sułtan interesował się osobiście mianowaniem oficerów, uważając swoją flotę za ważniejszą nawet od armii.

Pod koniec marca owa armada wypłynęła w górę Dardaneli na Morze Marmara, ku przerażeniu chrześcijan, zarówno Greków, jak i Włochów. Aż do tej chwili nie zdawano sobie sprawy z potęgi sił morskich sułtana.

Kiedy flota krążyła po Morzu Marmara, armia turecka gromadziła się w Tracji. Podobnie jak było z marynarką, sam sułtan doglądał jej wyposażenia. W ciągu zimy płatnerze we wszystkich posiadłościach sułtańskich pracowali wyrabiając tarcze, hełmy, pancerze, kopie, miecze i strzały, a inżynierowie budowali balisty i tarany. Mobilizacja była szybka, lecz całkowita. Ściągnięto pułki z każdej prowincji oraz odwołano wszystkich żołnierzy przebywających na urlopach w swych lennach wojskowych. Zwerbowano wielotysięczne formacje nieregularne. Jedyne garnizony potrzebne do ochrony granic i służby policyjne w prowincjach pozostały na tyłach, a także oddziały, które Turahan utrzymywał w Grecji. Liczebność armii budziła grozę. Grecy głosili, że 300 000 albo 400 000 ludzi zgromadzono w obozie sułtana; nawet trzeźwiejsi Wenecjanie mówili o 150 000. Prawdopodobnie - sądząc z tureckich źródeł - wojska regularne liczyły około 80 000, nie uwzględniając formacji nieregularnych, baszybuzuków, liczących około 20 000, oraz oddziałów pomocniczych, których musiało być kilka tysięcy. Prym wiodły pułki janczarów. Od czasu ich reorganizacji przez sułtana Murada II, przed jakimś dwudziestu laty, liczyły one 12 000, z czego niewielką liczbę stanowili technicy lub służba cywilna oraz szczerwacy i sokolnicy, których dodał sam Mehmed. Każdy janczar był podówczas z pochodzenia chrześcijaninem; od dzieciństwa wychowywano go jednak tak, aby był gorliwym muzułmaninem, uważał swój pułk za swoją rodzinę, a sułtana za swojego doradcę i ojca. Nieliczni janczarzy pamiętali zapewne swoje rodziny i od czasu do czasu mogli wyświadczyć im dobrodziejstwa; jednak ich fanatyzm religijny był niezaprzeczalny, a dyscyplina wspaniała. W przeszłości nie bardzo sprzyjali Mehmedowi, ale powitali z entuzjazmem wyprawę przeciw niewiernym.

Już sama potęga armii była wstrząsająca. Jeszcze większy niepokój budziły nowo wprowadzone maszyny, w jakie ją zaopatrzone. Decyzję Mehmeda zaatakowania Konstantynopola wiosną 1453 roku zawdzięczać należy głównie ostatnim triumfom jego ludwisarzy. Armat używano w Europie Zachodniej od ponad stu lat, odkąd zakonnik niemiecki nazwiskiem Schwartz zbudował strzelbę, z której kule były wyrzucane przez wybuch prochu strzelniczego. Szybko uświadomiono sobie wartość armaty w wojnie oblężniczej; jednak doświadczenia Niemców przy

oblężeniu Cividale w północnych Włoszech w 1321 roku i Anglików pod Calais w 1347 roku nie były bardzo udane. Armaty nie miały dość siły, aby uszkodzić solidną kamieniarkę. Przez następne stulecia nowej broni używano głównie do rozpraszania nieprzyjacielskich oddziałów w polu lub do rozbijania lekkich barykad. Wenecjanie próbowali zastosować działo w wojnie morskiej przeciwko Genuńczykom w 1377 roku. Jednak ówczesne okręty nie mogły wytrzymać wagi ciężkich machin; kule zaś armatnie, wystrzeliwane przez działa morskie tych czasów, rzadko miały wystarczającą siłę, aby zatopić okręt, chociaż zdołały nieraz wyrządzić mu poważną szkodę. Sułtan Mehmed, którego zainteresowanie naukami ścisłymi pobudzał jego lekarz, włoski Żyd Jakub z Gaety, doceniał znaczenie artylerii. Już we wczesnym okresie swego panowania rozkazał odlewniom prowadzić doświadczenia nad budową większego działa.

Latem 1452 roku pewien inżynier węgierski imieniem Urban przybył do Konstantynopola i zaofiarował cesarzowi swe usługi jako konstruktor artylerii. Konstantyn jednak nie mógł płacić wynagrodzenia, jakie tamten uważał za odpowiednie, nie mógł też dostarczyć mu odpowiedniego surowca. Wobec tego Urban opuścił miasto i zwrócił się do sułtana. Od razu uzyskał audiencję i został wzięty w krzyżowy ogień pytań. Kiedy oświadczył, że potrafił skonstruować działo, które by zburzyło mury samego Babilonu, otrzymał wynagrodzenie czterokrotnie większe od tego, jakie gotów był przyjąć, oraz dostarczono mu wszelkiej potrzebnej pomocy technicznej. W ciągu trzech miesięcy skonstruował ogromne działo, które sułtan umieścił na murach swego zamku w Rumeli Hisar i które zatopilo wenecki statek usiłujący przerwać blokadę. Wtedy Mehmed kazał mu zbudować działo dwukrotnie większe od pierwszego. Odlewano je w Adrianopolu i ukończono w styczniu. Długość lufy tego działa oceniano na 40 piędzi, to jest na 8 metrów. Grubość brązu okrywającego lufę wynosiła jedna piędź, a więc około 20 cm, a kaliber lufy w jej tylnej części, tam gdzie wkładano proch, 4 piędzi, natomiast w przedniej połowie, gdzie umieszczano kule - 12 piędzi. Jak mówiono, kule ważyły 12 cetnarów. Skoro tylko działo było gotowe, oddział 700 ludzi, któremu powierzono pieczę nad nim, umieścił działo na wozie ciągnionym przez 15 par wołów. Dowlokły je one z pewną trudnością aż w sąsiedztwo pałacu Mehmeda, gdzie miano wypróbować jego możliwości. Ostrzeżono obywateli Adrianopola, że nastąpi straszliwy huk, ale nie powinni poddawać się panice. Rzeczywiście, kiedy zapalono lont i wystrzelono pierwszą kulę, huk było słycać na 100 stadiów, a kula przeleciała w powietrzu ponad kilometr i zaryła się w ziemię na 2 metry. Mehmed był zachwycony. Posłano 200 ludzi, aby wyrównali drogę wiodącą do Konstantynopola i wzmocnili mosty; w marcu zaś działo ciągnięte przez 60 wołów wyruszyło w drogę; 200 ludzi maszerowało obok niego, aby utrzymać wóz w równowadze. Tymczasem pod kierunkiem Urbana odlewnie wyprodukowały dalsze działa, chociaż żadne z nich nie było tak olbrzymie i tak sławne jak ów potwór.

W ciągu marca wielka armia sułtana posuwała się oddziałami przez Trację w kierunku Bosforu. Niełatwo było zaopatrzyć taką chmarę ludzi w potrzebne rzeczy; wszystko jednak starannie zaplanowano. Dyscyplina była

wzorowa, a morale wojska bardzo wysokie. Każdy muzułmanin wierzył, e sam Prorok przyzna specjalne miejsce w raju pierwszemu żołnierzowi, który wdrze się do starożytnej stolicy chrześcijan. "Zdobędą oni Qostantijnija" - głosiło podanie. "Chwała księżęciu i wojsku, które tego dokona." Inny przekaz, dostosowany przez kaznodziejów do sytuacji, mówił o Proroku pytającym swych uczniów: "Czyście słyszeli o mieście, z którego jednej strony jest ląd, a z dwóch innych morze? Godzina Sądu nie zabrzmi, dopóki siedemdziesiąt tysięcy synów Izaaka go nie zdobędzie." W entuzjazm sułtana nie ma co wątpić. Wiele razy słyszano, jak podawał powszechnie do wiadomości swe niezłomne postanowienie, że będzie księciem, który osiągnie ów najwyższy triumf dla islamu. Sam opuścił Adrianopol 23 marca, a 5 kwietnia przybył wraz z ostatnimi oddziałami pod mury miasta.

W mieście panowała zupełnie odmienna atmosfera. Widok olbrzymiej floty tureckiej krążącej po Morzu Marmara oraz ogromnych dział z potworem Urbana na czele, posuwających się ku okopom, mówił obywatelom, czego mają oczekiwać. Zdarzyły się jedno lub dwa lekkie trzęsienia ziemi i kilka ulewnych deszczy; wszystko to tłumaczono jako złe wróżby, a mężczyźni i kobiety przypominali sobie wszelkie prorocтва, jakie przepowiadały koniec Cesarstwa i nadejście antychrysta. Jednak pomimo uczucia rozpaczony brak było odwagi. Nawet ci myśliciele, którzy się zastanawiali, czy w końcu wchłonięcie Bizancjum przez cesarstwo tureckie nie mogłoby się okazać mniej szkodliwe dla narodu greckiego niż obecny stan podziału, ubóstwa i niemocy, przyłączyli się szczerze do przygotowań obronnych. W ciągu miesięcy zimowych można było widzieć zachęcanych przez cesarza mężczyzn, a także kobiety, jak naprawiają mury i oczyszczają fosy. Całą broń znajdującą się w mieście zgromadzono razem, aby porozdzielać ją tam, gdzie będzie najpotrzebniejsza. Powstał specjalny fundusz, do którego przyczyniło się nie tylko państwo, ale też kościoły, klasztory i prywatne osoby, na pokrywanie wydatków. Istniały jeszcze w mieście poważne bogactwa i niektórym Włochom zdawało się, że pewni Grecy mogliby dać więcej. Ale w istocie nie tyle pieniądze były potrzebne, ile wojsko, uzbrojenie i żywność; nie można ich jednak było teraz kupić nawet za pieniądze.

Cesarz uczynił wszystko, co mógł. Wysyłano ambasadorów do Włoch jesienią 1452 roku z błaganem o szybką pomoc. Odpowiedź była praktycznie żadna. Nowych posłów skierowano do Wenecji, senat odpowiedział 16 listopada, że naprawdę jest głęboko strapiony wiadomościami ze Wschodu i jeżeli papież i inne państwa zamierzają podjąć akcję, to Wenecja z ochotą będzie współdziałała. Wenecjanie nie słyszeli jeszcze, jaki los spotkał w poprzednim tygodniu galerę Rizza, ale nawet ta wiadomość i naglące wieści od weneckiej kolonii w Konstantynopolu nie zdołały ich skłonić do poczynienia stanowczych kroków. Wysłany w tym samym miesiącu poseł do Genui otrzymał obietnicę jednego okrętu, a rząd tamtejszy zaofiarował się zwrócić z apelem o dalszą pomoc do króla Francji i Republiki Florenckiej. Obietnice króla Alfonsa Aragońskiego były jeszcze bardziej niewyraźne; udzielił jednak bizantyńskim ambasadorom zezwolenia na zbieranie zboża i innych

artykułów żywnościowych na Sycylii celem przekazania ich do Konstantynopola. Byli oni zajęci tym zadaniem, kiedy zaczęło się oblężenie, i nigdy już nie ujrzeni swej ojczyźnej ziemi. Papież Mikołaj bardzo pragnął pomóc, ale nie chciał angażować się zbyt daleko, dopóki nie upewni się, że unia Kościołów rzeczywiście została dokonana; zresztą niewiele mógł zdziałać bez Wenecjan. Ponadto jego uwagę zaprzętnął bunt w Rzymie w styczniu 1453 roku. Dopóki miasto nie było spacyfikowane, nie mógł rozważać akcji za granicą.

Listy, jakie kursowały między Rzymem i Wenecją, stanowią żałosną lekturę. Wenecjanie nie mogli zapomnieć, że papieństwo wciąż jeszcze było im winne za najem galer w 1444 roku, papież zaś nie miał zaufania do dobrej woli Wenecjan. Dopiero 19 lutego 1453 roku senat wenecki, otrzymawszy najświeższe nowiny ze Wschodu, uchwalił wysłanie od razu do Konstantynopola dwóch transportowców, każdy z 400 ludźmi na pokładzie, oraz nakazał, aby 15 galer, będących w stadium przezbierania, udało się w ślad za nimi, jak tylko będą gotowe. W pięć dni później senat uchwalił dekret nakładający specjalne podatki na kupców zaangażowanych w handlu lewantyńskim celem opłacenia kosztów tej floty. Postanowiono oddać ją pod komendę Alvisa Longo, ale pod najwyższą władzą naczelnego kapitana morskiego, Giacoma Loredana. Po tygodniu uchwalono w senacie nową rezolucję, przynaglającą do najwyższego pośpiechu. Ale dni mijały, a nic nie było zrobione. W początkach kwietnia otrzymano wreszcie listy z Rzymu mówiące o zamiarze papieża wysłania pięciu galer na Wschód. Odpowiedź z Wenecji, datowana 10 kwietnia, gratulowała kardynałom tej decyzji, lecz przypominała im, że poprzedni papież zaniedbał pokrycia swych długów. Dodawała też, że według ostatniej wiadomości z Konstantynopola artykuły żywnościowe były tam teraz dużo potrzebniejsze niż ludzie, i przypominała Rzymowi, raczej poniewczasie, że okręty powinny dotrzeć do Dardaneli przed 31 marca, jako że po tej dacie przeważający wiatr północny utrudnia przepłynięcie cieśnin. Odjazd floty weneckiej był ostatecznie wyznaczony na 17 kwietnia, nastąpiły jednak dalsze odroczenia. Kiedy nareszcie statki wypłynęły z Wenecji, Konstantynopol oblężony był od dwóch tygodni.

Papieża Mikołaja szczerze martwiły te opóźnienia. Zakupił już na własny koszt ładunek broni i żywności i wysłał do Konstantynopola na trzech statkach geneueńskich, które odpłynęły pod koniec marca.

Żaden inny rząd nie zwrócił uwagi na apel cesarza. W nadziei na skuszenie kupców geneueńskich, żeby przywozili żywność do miasta, cesarz ogłosił, iż import będzie wolny od opłat. Nie było na to jednak żadnej odpowiedzi. Władze geneueńskie prowadziły jak zwykle politykę wymijającej neutralności. Żywiono nadzieję, że ów wielki wojownik chrześcijański, Jan Hunyadi, regent Węgier, wykorzysta moment, kiedy Turcy niemal ogołocili z wojsk granice naddunajską. Ale Węgrzy byli sparaliżowani wskutek klęsk zadanych im pod koniec panowania Murada; sam zaś Hunyadi znajdował się w trudnej sytuacji, gdyż jego pupil, król Władysław V, osiągnął pełnoletność 14 lutego i gniewał się na jego opiekę. Żaden z książąt prawosławnych nie mógł udzielić pomocy. Wielki książę moskiewski był za daleko i miał własne kłopoty; na próżno kierowano do

niego apele. Poza tym Ruś głęboko oburzyło ogłoszenie unii Kościołów. Książęta Mołdawii, Piotr III i Aleksander II, kłócili się ze sobą. Książę Wołoszczyzny Władysław II był wasalem sułtana i na pewno nie ruszyłyby się przeciwko niemu bez pomocy Węgier. Jerzy, despotes Serbii, był jeszcze sumienniejszym wasalem i nawet wysłał oddział żołnierzy, aby dołączył się do armii Mehmeda. Walczyli oni mężnie za swego władcę pomimo sympatii, jaką czuli dla swoich współwyznawców w Konstantynopolu. W Albanii Skanderberg był ciągle cierniem w boku sułtana. Znajdował się jednak w złych stosunkach z Wenecjanami, Turcy zaś podburzali przeciw niemu współzawodniczących z nim wodzów. Władcy Egei i joannici na Rodos nie byli w stanie interweniować, chyba jako członkowie jakiejś wielkiej koalicji. Despotesów Morei trzymały w szachu siły Turahana Beja. Król Gruzji i cesarz Trebizondy - każdy z nich był w kłopotach, jak bronić swych granic. Anatolijscy emirowie, jakkolwiek obrażeni na sułtana, zbyt niedawno zaznali gorzkiego smaku jego potęgi, aby tak prędko ruszyć znów przeciwko niemu.

A jednak, choć rządy zawiodły, istnieli ludzie gotowi walczyć za chrześcijaństwo i Konstantynopol. Wenecka kolonia w mieście zaofiarowała swe nieograniczone poparcie cesarzowi. Na zebraniu, które odbyło się z udziałem Konstantyna, jego Rady i kardynała Izydora, wenecki burmistrz Girolamo Minotto podjął się pełnego udziału w obronie i dopilnowania, żeby żaden wenecki statek nie opuścił portu bez pozwolenia. Zagwarantował również, że zostanie wysłana flotylla z Wenecji, i napisał tam nagłą, domagając się niezwłocznej pomocy. Dwaj weneccy kapitanowie statków handlowych, Gabriele Trevisano i Alviso Diedo, których okręty stały na kotwicy w Złotym Rogu w drodze powrotnej z Morza Czarnego, przyrzekli pozostać, aby przyłączyć się do walki. W sumie sześć statków weneckich oraz trzy z weneckiej kolonii na Krecie zatrzymano w porcie za zgodą ich dowódców i przekształcono w okręty wojenne "dla honoru Boga i dla honoru całego chrześcijaństwa", jak dumnie rzekł Trevisano cesarzowi. Wśród Wenecjan ślubujących bronić wielkiego miasta, które przed dwustu pięćdziesięciu laty złupili ich przodkowie, znajdujemy wielu noszących najślawniejsze nazwiska Republiki: Cornaro, Mocenigo, Contarini i Venier. Wszyscy mieli figurować na honorowej liście spisanej przez ich ziomka, chirurga okrętowego Niccolo Barbaro, którego nie upiększony diariusz podaje chyba najrzetelniejszą relację oblężenia.

Owi Wenecjanie zaofiarowali swe usługi, ponieważ znaleźli się w Konstantynopolu, kiedy zaczęła się wojna, i byli zbyt uczciwi i dumni, aby chronić się ucieczką. Ale byli też i Genueńczycy zawstydzeni bojaźliwością swego rządu, którzy z własnej woli przybyli z Włoch, aby walczyć za chrześcijaństwo. Wśród nich znajdowali się: Maurizio Cattaneo, dwaj bracia Geromino i Leonardo di Langasco oraz trzej bracia Bocchiardo, Paolo, Antonio i Troilo, którzy wystawili i przywieźli na własny koszt małą kompanię żołnierzy. 29 stycznia 1453 roku miastu dodała otuchy wiadomość o przyjeździe sławnego genueńskiego żołnierza, Giovanniego Giustiniani Longo, młodzieńca należącego do jednej z najznacniejszych rodzin Republiki i spokrewnionego z możnym rodem Doria. Przyprowadził on ze

sobą 700 dobrze uzbrojonych żołnierzy, z których 400 zwerbował w Genui, a 300 na wyspach Chios i Rodos. Cesarz przyjął go z radością, ofiarując mu władztwo Lemnos, jeśli Turcy zostaną wypędzeni. Giustiniani cieszył się reputacją biegłego w obronie ufortyfikowanych miast; toteż od razu wyznaczony został do objęcia komendy nad całym obszarem umocnień lądowych. Nie tracąc czasu, zabrał się do swych obowiązków, starannie badając i dopilnowując umocnień, gdziekolwiek wydało się to konieczne. Chociaż trudno było namówić Wenecjan, aby pracowali z Genuńczykiem, jednak był on taką indywidualnością, że zaczęli z nim współpracować. Na jego prośbę Trevisano otworzył na nowo i oczyścił fosę, która biegła od Złotego Rogu przed murami Blachernos aż do miejsca, gdzie grunt zaczyna się podnosić. Wielu obywateli z Pery przyłączyło się do obrony sądząc, jak to później napisał ich podesta, że upadek Konstantynopola oznaczałby koniec ich kolonii.

Część żołnierzy pochodziła z krajów bardziej odległych. Kolonia katalońska w mieście zorganizowała się pod wodzą swego konsula, Péré Julia; przyłączyła się też do nich pewna liczba katalońskich żeglarzy. Z Kastylii przybył rycerski szlachcic, Don Francisco de Toledo, który przypisywał sobie pochodzenie od cesarskiego rodu Komnenów i dlatego nazywał cesarza kuzynem. W kompanii Giustinianiego znajdował się pewien inżynier nazwiskiem Johannes Grant, opisywany jako Niemiec, ale który mógł być szkockim awanturnikiem udającym się przez Niemcy na Lewant. Otomański pretendent, Orchan, żyjący od dzieciństwa w Konstantynopolu, ofiarował służby swoje i swych domowników cesarzowi.

Nie wszyscy Włosi w mieście wykazali odwagę Minotta lub Giustinianiego. Noc 26 lutego 7 statków, 6 z Krety i 1 z Wenecji, wymknęło się ze Złotego Rogu z 700 Włochami na pokładzie. Ucieczka ich stanowiła poważny cios dla obrony. Nikt inny, Grek czy Włoch, nie poszedł za ich przykładem.

Kiedy rozpoczęło się oblężenie, przystosowano do walki w Złotym Rogu 26 okrętów, oprócz małych jednostek i handlowych statków Genuńczyków z Pery, zakotwiczonych poniżej murów ich kolonii. Pięć okrętów było weneckich, 5 genueńskich, 3 kreteńskie, 1 z Ankony, 1 z Katalonii i 1 z Prowansji, a 10 należało do cesarza. Prawie wszystkie miały wysokie pokłady, bez wiosła, i zależne były od swych żagli. Była to mała flota w porównaniu z turecką armadą. Stan liczebny sił lądowych wykazywał jeszcze większą różnicę.

W końcu marca, kiedy armia turecka posuwała się przez Trację, Konstantyn posłał po swego sekretarza Phrantzesa i kazał mu sporządzić spis ludności, mianowicie wszystkich mężczyzn w mieście, wraz z mnichami, zdolnych do noszenia broni. Gdy Phrantzes podsumował wykazy, przekonał się, że było tylko 4983 zdolnych do walki Greków i nieco poniżej 2000 cudzoziemców. Konstantyn przeraził się tą liczbą i polecił Phrantzesowi jej nie ogłaszać. Jednak włoscy świadkowie doszli do podobnego wyniku. Przeciwno armii sułtana, składającej się z około 80 000 ludzi i hord formacji nieregularnych, wielkie miasto, otoczone ponad dwudziestokilometrowymi murami, mogło wystawić do walki niespełna 7000 ludzi.





Rozdział 6

POCZĄTEK OBŁĘŻENIA

Wielkanoc jest wielką uroczystością Kościoła prawosławnego, w czasie której każdy chrześcijanin cieszy się świadomością Zmartwychwstania Zbawiciela. Ale niewiele radości było w sercach ludu konstantynopolitańskiego w Niedzielę Wielkanocną 1453 roku. Przypadała ona 1 kwietnia. Po burzliwej zimie nadchodziła do Bosforu wiosna. W sadach miejskich drzewa owocowe okrywały się kwieciami. Powracały słowiki, by śpiewać w gajach, i bociany, aby budować gniazda na szczytach dachów. Niebo rysowały długie klucze przelotnych ptaków podążających do swych letnich siedzib daleko na północy. Ale Tracja dudniła dźwiękami wielkiej armii w pochodzie, ludzi, koni, wołów ciągnących skrzypiące furgony.

Przez wiele ostatnich dni obywatele modlili się, aby przynajmniej dano im możliwość odprawienia w spokoju obrządków wielkotygodniowych. Tyle im udzielono. Dopiero w poniedziałek, 2 kwietnia, ukazał się pierwszy oddział nieprzyjacielski. Mała kompania obrońców zrobiła przeciw nim wycieczkę, zabiła trochę ludzi i zraniła wielu innych. Skoro jednak pojawiało się coraz więcej wojsk tureckich, kompania wycofywała się do miasta, cesarz zaś rozkazał zniszczyć mosty na fosie i zamknąć bramy miasta. Tego samego dnia wydał on również polecenie, aby założyć wielką zapórę rozciągającą się u wejścia portu na Złotym Rogu. Był to łańcuch przymocowany z jednej strony do Wieży Eugeniusza, poniżej Akropolu, z drugiej - do wieży w nadbrzeżnych murach Pery; podtrzymywały go drewniane tratwy. Genueński inżynier, Bartolomeo Soligo, był odpowiedzialny za ulokowanie zapory na miejscu.

W czwartek 5 kwietnia cała turecka armia przybyła pod mury z samym sułtanem na czele. Chwilowo rozbił on obóz w odległości dwu i pół kilometra. Następnego dnia podsunął swe wojska bliżej, na ich pozycje ostateczne. Podobnie i obrońcy zajęli swe wyznaczone stanowiska.

Miasto Konstantynopol zajmuje półwysep o kształcie mniej więcej trójkątnym, z bokami lekko wygiętymi. Mury na lądzie biegły od dzielnicy Blachernos nad Złotym Rogiem aż do dzielnicy Studion nad Morzem Marmara w łagodnie wypukłej krzywiźnie; miały jakieś sześć i pół kilometra i biegły wklęsłym łukiem na Blachernos do cypla Akropolis, obecnie znanego zazwyczaj jako cypel Seraglio; cypel ten zwrócony jest ku północy na Bosfor. Od cypla Akropolis do dzielnicy Studion odległość wynosiła około dziewięciu kilometrów; mury okrężały tępy wierzchołek półwyspu na wprost wejścia do Bosforu, a następnie lekko wklęsłym łukiem ciągnęły się wzdłuż wybrzeża Morza Marmara. Mury wzdłuż Złotego Rogu i Morza Marmara były pojedyncze. Nad Morzem Marmara

wyrastały wprost z morza. Jedenaście bram otwierało się w nich na wodę; znajdowały się tam dwie małe ufortyfikowane przystanie, aby mogły się tu zatrzymać pomniejszych statki, które płynąc pod północny wiatr nie mogły okrążyć cypla i wpłynąć na Złoty Róg. Wzdłuż brzegu Złotego Rogu wynurzyło się w toku stuleci przybrzeże, teraz pokryte magazynami. Do niego wiodło szesnaście bram. Na zachodnim krańcu, aby ochronić podatną na ciosy dzielnicę Blachernos, Jan Kantakuzen przekopał przez muł fosę, biegnącą bezpośrednio pod murem. Owe mury nadmorskie znajdowały się w dość dobrym stanie. Nie wydało się prawdopodobne, żeby je ostro atakowano. Choć Frankowie i Wenecjanie wdarli się do miasta w 1204 roku ze Złotego Rogu, jednak taki atak był możliwy tylko wtedy, gdyby nieprzyjaciół panował w pełni nad portem. Wokół naroża miasta prąd był zbyt szybki, aby statki chcące przybić do lądu mogły łatwo dotrzeć do podstawy murów, a jednocześnie mielizny i rafy dawały dodatkową ochronę murom od strony Morza Marmara.

Toteż głównego natarcia należało się spodziewać wzdłuż murów lądowych. Na północnym krańcu dzielnica Blachernos wybiegała poza główną linię. Była ona pierwotnie przedmieściem, lecz została otoczona w VII wieku pojedynczym murem. Naprawiono go w IX i XII wieku oraz wzmocniono fortyfikacjami pałacu cesarskiego, które wznosił naprzeciwko niej Manuel I. W dolnej części chroniła ją fosa Jana Kantakuzena, która, jak się zdaje, biegła wokół węgła, gdzie mur dochodził do Złotego Rogu, aż do miejsca, gdzie zaczynało się strome wzniesienie, po którym wspinał się mur, dopóki nie zakręcał pod kątem prostym, aby spotkać się z główną linią murów. Wchodziło się przezeń dwiema bramami: Bramą Kaligaryjską i Bramą Blacherneńską, i przez małą furtkę, zwykle zamkniętą, zwana Kerkoporta, w kącie, gdzie mur łączył się ze starym Murem Teodozjusza. Mur Teodozjusza, wzniesiony przez prefekta Anthemiusa za panowania Teodozjusza II, biegł od tego punktu w nieprzerwanej linii aż do Morza Marmara. Był to mur potrójny. Na zewnątrz miał głęboki rów, fosę szeroką na jakieś 18 metrów, której odcinki mogły być w razie konieczności zalane. Wewnątrz rowu wznosił się parapet z blankami, w których było przejście szerokie na około 12 do 15 metrów, ciągnące się na całą długość murów i znane jako Peribolos. Dalej wznosił się mur, zwykle określany jako mur zewnętrzny, dochodzący do około 7,5 metra, z kwadratowymi wieżami umieszczonymi wzdłuż niego w odstępach od 45 do 90 metrów. Za nim ciągnął się inny odstęp znany jako Parateichion, szeroki na 12 do 18 metrów. Następnie wznosił się mur wewnętrzny wysoki na mniej więcej 12 metrów, z wieżami - bądź kwadratowymi, bądź ośmiobocznymi - wznoszącymi się na wysokości około 18 metrów, tak rozstawionymi, aby pokrywać odstępy między wieżami w murze zewnętrznym. Owa linia murów miała pewną liczbę bram; niektóre z nich używane były przez ludność cywilną, inne - zarezerwowane dla wojska. Na wybrzeżu Morza Marmara była mała furtka. Z kolei, idąc ku północy, spotykało się Złotą Bramę, zaliczaną jako Pierwszą Bramę Wojskową, tradycyjnie używane przez cesarza, kiedy dokonywał ceremonialnego wjazdu do miasta. Następna była Druga Brama Wojskowa, potem Cywilna Brama Pege, znana teraz jako Brama Silivria. Blisko niej znajdowała się Trzecia Brama

Wojskowa. Teraz teren się wznosił aż do Bramy Rhegium i Czwartej Bramy Wojskowej znajdującej się za nią. Brama Św. Romana, obecnie Top Kapusi, mieściła się w najwyższym punkcie wzniesienia. Dalej grunt obniżał się o około 30 metrów do doliny małej rzeki Lykos, która płynęła kanałem pod murami, 180 metrów na południe od Piątej Bramy Wojskowej. Brama ta, znajdująca się w ten sposób na dnie doliny, znana była Bizantyńczykom jako Brama Św. Kyriaka od nazwy pobliskiego kościoła. Zdaje się jednak, że zwano ją popularnie Wojskową Bramą Św. Romana; pisarze zaś, opisujący oblężenie, stale ją mylą z Cywilną Bramą Św. Romana. Od tego miejsca grunt wznosił się znowu aż do innego grzbietu, na szczycie którego była Brama Charyzjusza, dzisiejsza Brama Adrianopolska. Odcinek murów przechodzący nad doliną Lykos zwano Mesoteichion i zawsze uważano za najsłabsze miejsce. Bramę Charyzjusza nazywano czasem Polyandrion; odcinek zaś murów biegnący wzdłuż grzbietu od Bramy Xylokerkon, tuż przed połączeniem z murem Blachernos, znany był jako Myriandrion.

Kiedy sułtan Murad atakował miasto w 1422 roku, Bizantyńczycy skupili swoją obronę na murze zewnętrznym, którego Turcy nie zdołali przełamać. Giustiniani i cesarz zgodzili się ze względu na nieliczność wojska, które mieli do swej dyspozycji, że będzie to znów właściwa strategia. Muru wewnętrznego nie można było tak dobrze obsadzić, chociaż cięższe pociski dałoby się wystrzelać z jego wież. Szkody wyrządzone w zewnętrznym murze w 1422 roku naprawiono przeważnie w latach następnych, a Giustiniani zajął się dopilnowaniem, aby reperacje były uzupełnione. Arcybiskup Leonard, który wyobrażał sobie, że jest strategiem, oświadczył później, iż wojskowi stratedzy byli całkowicie w błędzie; powinni byli bronić wewnętrznego muru. Lecz ten - dodaje on z typową złośliwością w stosunku do Greków - źle naprawiono, ponieważ pieniądze na ten cel zostały sprzeniewierzone przez dwóch Greków, Jagarusa i mnicha Neofitusa. Było to potworne oszczerstwo. Jagarus - jego rzeczywiste nazwisko brzmiało Manuel Paleolog Iagrus - był krewnym cesarza i godnym szacunku politykiem, którego nazwisko pojawia się faktycznie w kilku napisach w punktach, gdzie mury starannie wyreperowano. Żył też podówczas znany mnich Neofitus, przyjaciel cesarza, ale wróg unii. Przebywał teraz spokojnie i pobożnie w klasztorze Charsianites i nie brał udziału w sprawach publicznych. Trudno dostrzec, w jaki sposób mógłby przechwycić kontrakt na budowę. Ale arcybiskup wierzył, że nie ma potworności, do jakiej nie byliby zdolni schizmatycy duchowni.

5 kwietnia obrońcy zajęli pozycje wyznaczone im przez cesarza. Sam cesarz ze swymi najlepszymi greckimi wojskami zajął stanowisko na Mesoteichion, gdzie mury biegły przez dolinę Lykos, mając Giustinianiego po prawej stronie przy Bramie Charyzjusza i na Myriandrionie; kiedy jednak stało się jasne, że sułtan zamierza skoncentrować atak na Mesoteichion, Giustiniani i jego Genueńczycy przesunęli się tam do cesarza, Myriandrion zaś przejęli bracia Bocchiardo ze swoimi ludźmi. Wenecki burmistrz Minotto wraz ze swym sztabem zajął kwatery w pałacu cesarskim w Blachernos i był odpowiedzialny za jego obronę, przy czym

pierwsze jego zadanie polegało na oczyszczeniu i napełnieniu fosy. Jego starszy ziomek Teodoro Caristo pilnował odcinka murów pomiędzy Bramą Kaligaryjską i Murem Teodozjusza. Bracia Langasco wraz z arcybiskupem Leonardem stacjonowali za fosą wpadającą do Złotego Rogu. Na lewo od cesarza był Cattaneo ze swymi genueńskimi wojskami, a za nim krewniak cesarza Teofil Paleolog z oddziałami greckimi, strzegącymi Bramy Pege. Wenecjanin Filippo Contarini miał pieczę od Bramy Pege do Złotej Bramy, której bronił Genueńczyk imieniem Manuel. Od niego na lewo, nad morzem, był Demetriusz Kantakuzen.

Mury nadmorskie obsadzono słabiej. Iacopo Contarini był odpowiedzialny za Studion. Dalej za nim, wzdłuż odcinka, którego zaatakowanie wydawało się nieprawdopodobne, murów strzegli greccy mnisi, zapewne w celu pełnienia straży i wezwania rezerw, jeżeli zaszłaby nagła potrzeba. Blisko nich, przy przystani Eleutherius, znajdował się książę Orchan i jego Turcy. Na wschodnim krańcu Morza Marmara, pod Hipodromem i Starym Świętym Pałacem, znajdowali się Katalończycy pod wodzą Péré Julia. Kardynał Izydor stacjonował z 200 ludźmi na cyplu Akropolu. Brzegów Złotego Rogu strzegli weneccy i genueńscy żeglarze pod komendą Gabriela Trevisano, podczas gdy jego ziomek, Alviso Diedo, został dowódcą okrętów w porcie. Dwa oddziały rezerwowe trzymano w mieście; jeden, pod dowództwem megaduksa, Łukasza Notarasa, stacjonował w dzielnicy Petra, tuż za murami od strony lądu, i zaopatrzony był w ruchome działa; drugi, pod komendą Nicefora Paleologa, objął stanowisko w pobliżu kościoła Św. Apostołów, na centralnym grzbiecie wzgórz. Dziesięć statków odłączono od floty do służby przy zaporze; 5 z nich było genueńskich, 3 kreteńskie, 1 z Ankony i 1 grecki. Komendę tutaj oddano Genueńczykowi, przypuszczalnie Soligo, który umocował zaporę. Istotne było mieć tu kogoś, kto byłby w dobrych stosunkach z Genueńczykami z Pery, gdy łańcuch przytwierdzony był jednym końcem do jej murów. Na ogół cesarz, jak się zdaje, próbował przemieszać swoje wojska greckie, weneckie i genueńskie, tak aby uświadamiał sobie swą współzależność i unikały narodowościowych swarów.

Obrona była dostatecznie zaopatrzona w oszczepy i strzały oraz trochę kolubryn i w katapulty do miotania kamieni. Było też w mieście kilka dział, lecz okazały się one prawie bez wartości. Brakowało do nich saletry; przekonano się także, że kiedy strzelano z nich z murów i wież, co było niezbędne, aby ich pociski mogły dosięgnąć linii nieprzyjacielskich, wstrząs uszkadzał fortyfikacje. Zdaje się, że pojedynczy żołnierze mieli dobre, pełne zbroje, lepsze niż zbroje większości wojsk tureckich.

Rankiem 6 kwietnia żołnierze zajęli swe stanowiska, a garnizony na murach mogły obserwować armię turecką zajmującą swoje pozycje. Sułtan odkomenderował już znaczną część armii pod dowództwem Zaganosa Paszy na północny brzeg Złotego Rogu, gdzie rozciągnęła się ona na wzgórzach aż do Bosforu, izolując w ten sposób Perę i pilnując każdego ruchu, jaki tam mogli podjąć Genueńczycy. Wybudowano drogę na bagnistym gruncie przy końcu Złotego Rogu, tak że Zaganos mógł się szybko komunikować z głównymi siłami. Naprzeciwko murów Konstantynopola, poczynając od Złotego Rogu w grę wzgórz aż do Bramy

Charyzjusza, umieszczono regularne europejskie oddziały armii pod komendą Karadza Paszy, który miał do dyspozycji sporą liczbę ciężkich dział dla ich użycia przeciwko pojedynczemu murowi Blachernos, a w szczególności przeciwko słabemu narożnikowi, gdzie mur ten łączył się z Murem Teodozjusza. Od południowych zboczy doliny Lykos w dół aż po Morze Marmara stały regularne oddziały anatolijskie pod Iszak Paszą, wspartym - niewątpliwie dlatego, że sułtan niezupełnie mu dowierzał - przez Mahmuda Paszę, na poły greckiego, a na poły słowiańskiego renegata, pochodzącego ze starej cesarskiej rodziny Angelos, który stał się najbardziej zaufanym przyjacielem i doradcą sułtana. Sam sułtan objął dowództwo odcinka w dolinie Lykos, na wprost Mesoteichion. Rozbił swój czerwono-złoty namiot około 400 metrów od murów. Przed nim znajdowali się jego janczarzy i inne doborowe pułki wraz z najlepszymi działami, włączając w to i wielkie arcydzieło Urbana. Baszybuzuki obozowali różnymi grupami tuż za główną linią, gotowi do przerwania, gdziekolwiek mogliby być potrzebni. Przed frontem swoich pozycji, przez całą długość murów, Turcy wykopali rów z parapetem ziemnym, na którego szczycie wzniesli niską palisadę z drzewa, rozmieszczając w niej wiele furtek.

Flota pod dowództwem Baltoglu otrzymał rozkaz dopilnowania, żeby żadne zaopatrzenie nie mogło dotrzeć do miasta drogą morską. Patrolowano ciągle brzeg Morza Marmara, tak że żadna łódź nie była w stanie zbliżyć się do tamtejszych małych przystani. Jednak zasadnicze zadanie Baltoglu polegało na przedarciu się przez zapórę broniącą Złotego Rogu. Założył on swą główną kwaterę na Bosforze opodal nadbrzeża znanego jako Podwójne Kolumny, gdzie obecnie stoi pałac Dolma Bahçe. Tam przyłączyła się doń w dziesięć dni po rozpoczęciu oblężenia pewna liczba dużych okrętów z portów północnej Anatolii, wyposażonych w ciężkie działa.

Skoro tylko cesarz zobaczył, że wojska tureckie zebrały się pod murami, podsunął myśl Trevisanowi, żeby jego marynarze, ubrani w swoje charakterystyczne stroje, przedefilowali w liczbie tysiąca wzdłuż całej długości murów, iżby sułtan był całkiem pewny, że również i Wenecjanie byli wśród jego nieprzyjaciół. Wenecjanie z ochotą na to przystali. Ze swej strony sułtan stosownie do przepisów islamu wysłał ostatnie poselstwo pod białą flagą do miasta. Jak każe prawo - mówił on - oszczędzi obywateli, nie czyniąc krzywdy ani ich rodzinom, ani ich imieniu, jeżeli dobrowolnie mu się poddadzą. W przeciwnym razie nie okaże im żadnej litości. Ale obywatele mało pokładali wiary w jego obietnice i nie opuściliby teraz cesarza.

Po tej formalności, kiedy działa stanęły na pozycjach. Turcy rozpoczęli walkę bombardowaniem murów. O zmierzchu tego dnia, 6 kwietnia, część muru blisko Bramy Charyzjusza była poważnie uszkodzona, a ciągle bombardowanie następnego dnia doprowadziło ją do ruiny. Jednak po zapadnięciu nocy obrońcom udało się dokonać dostatecznych napraw. Mehmed postanowił wtedy poczekać, aż będzie mógł sprowadzić więcej dział, kierując je na słabsze partie murów. Tymczasem zaś kazał swym żołnierzom zabrać się do pracy nad wypełnieniem wielkiej fosy, tak aby

mogli od razu posunąć się naprzód w celu zajęcia każdego wyłomu, jaki zdoła uczynić artyleria. Rozkazał również podjąć operacje minerskie przeciwko tym częściom muru, gdzie teren wydawał się odpowiedni. Jednocześnie Baltoglu otrzymał rozkaz wypróbowania obrony zapory. Prawdopodobnie 9 kwietnia okręty jego przypuściły tam swój pierwszy atak. Nie osiągnęły powodzenia i Baltoglu zdecydował, aby oczekiwać na przybycie eskadry z Morza Czarnego.

Podczas tego okresu oczekiwania sułtan wziął część swych najlepszych wojsk i artylerii, żeby zaatakować dwa małe zamki leżące poza murami, które były jeszcze wierne cesarzowi. Jeden znajdował się w Terapii, na wzgórzu ponad Bosforem, drugi we wsi Studius blisko wybrzeża Morza Marmara. Zamek w Terapii opierał się przez dwa dni, aż jego mury zniszczył ogień z dział i większość garnizonu zginęła. Pozostali przy życiu żołnierze w liczbie 40 poddali się wtedy bez żadnych warunków. Wszystkich skazano na śmierć przez wbicie na pal. Zrobiono to blisko murów, aby obywatele mogli zobaczyć, co przydarza się tym, którzy przeciwstawiają się sułtanowi. W tym czasie wysłano Baltoglu, żeby zająć Wyspy Książęce na Morzu Marmara. Tylko na największej z wysp, Prikipo, doszło do jakiejś próby oporu. Tam, na szczycie pagórka obok głównego klasztoru wyspy, stała solidna wieża, zbudowana przez mnichów jako schronienie przed piratami prawdopodobnie w czasach, kiedy Kompania Katalońska najeżdżała Cesarstwo. Jej mały garnizon składający się z 30 ludzi odmówił teraz poddania się. Baltoglu przywiódł z sobą jakieś działo, ale kule armatnie nie robiły żadnego wyłomu w grubym murze z kamienia. Wobec tego, skoro tylko zawiał pomyślny wiatr, zgromadził on chrust, umieścił go tuż przy murach i zapalił dodawszy do ognia siarki i smoły. Płomienie ogarnęły wkrótce budowlę. Niektórzy obrońcy zginęli w obrębie murów; ci zaś, którzy się wymknęli przez płomienie, zostali ujęci i zabici. Następnie Baltoglu spędził cywilnych mieszkańców wyspy i wszystkich sprzedał w niewolę, aby ich ukarać, że pozwolili na opór na swej własnej ziemi.

11 kwietnia sułtan był znowu w swym namiocie pod murami i wszystkie jego wielkie działa umieszczono w wyznaczonych przez niego miejscach. Następnego dnia zaczęło się bombardowanie mające trwać z nieustanną monotonią przeszło sześć tygodni. Działa były nieporęczne. Trudność sprawiało utrzymanie ich w pozycji na platformach z desek i gruzu. Ciągłe ześlizgiwały się w błoto spowodowane kwietniowymi deszczami. Największe z nich, między innymi potwór Urbana, wymagały tyle zabiegów, że można było z nich strzelać zaledwie siedem razy dziennie. Ale każdy z tych siedmiu strzałów wyrządzał ogromną szkodę. Kule armatnie, nadlatując tuż zza fosy w chmurze czarnego dymu i z ogłuszającym hukiem, rozrywały się na tysiące kawałków przy uderzeniu w mury i kamieniarka nie mogła im stawić czoła. Obrońcy usiłowali osłabić wstrząs, zawieszając warstwy skór i bele wełny na murach, z małym jednak skutkiem. W ciągu niecałego tygodnia zewnętrzny mur przecinający dolinę Lykos został kompletnie zburzony w wielu miejscach, a fosa przed nim w znacznej części zasypana, tak że naprawa była wielce utrudniona. Niemniej jednak Giustiniani i jego pomocnicy zdołali wznieść

palisadę. Mężczyźni, a także kobiety z miasta przychodzili co noc po zapadnięciu ciemności z deskami, beczkami i workami ziemi. Palisada była zrobiona głównie z drzewa, mając na szczycie baryłki napełnione ziemią, które służyły jako blanki. Co prawda cała się chwiała, ale stwarzała przynajmniej pewną ochronę dla obrońców.

Przy zaporze do portu sprawy przedstawiały się lepiej. 12 kwietnia, skoro tylko przybyły posiłki od strony Morza Czarnego, Baltoglu podsunął swe większe okręty ku łańcuchowi. Kiedy się zbliżył, jego łucznicy zasypali gradem strzał statki stojące na kotwicy i strzegące zapory, a działa jego wystrzeliły pociski armatnie. Następnie, gdy doszło do zwania, jego marynarze miotali płonące żagwie na chrześcijańskie okręty, podczas gdy inni próbowali przeciąć ich liny kotwiczne, a jeszcze inni zahaczyć statki za pomoc bosaków i drabin. Niewielki jednak osiągnęli sukces. Kule armatnie nie mogły uzyskać wystarczającego kąta podniesienia, aby uszkodzić wysokie galery chrześcijańskie. Megaduksa Łukasza Notarasa posłano z rezerwami na pomoc obroni. Była ona dobrze zorganizowana. Wiadra z wodą przekazywane przez sznur ludzi gasiły ogień. Chrześcijańskie strzały i oszczepy, wyrzucane z dużej wysokości z pokładów i bocianich gniazd, były bardziej skuteczne niż tureckie, a ich maszyny miotające kamienie wyrządzały wielkie szkody. Flota chrześcijańska, uradowana swym powodzeniem i wspomagana przez żeglarzy biegleszych od nieprzyjacielskich, zaczęła się posuwać, aby otoczyć okręty tureckie znajdujące się najbliżej zapory. Aby je uratować, Baltoglu odwołał atak i pożegłował z powrotem na miejsce zakotwiczenia u Podwójnych Kolumn.

Porażka upokorzyła sułtana. Jego czynny umysł dostrzegł od razu, że jeśli działa nie mogą celować wyżej, nie na wiele się przydadzą przeciwko wysokim okrętom chrześcijan. Rozkazał więc swoim odlewniom udoskonalić projekty. Trudno było wykalkulować niezbędny tor pocisku, ale po kilku dniach dokonano ulepszeń, które zadowolili sułtana. Działo o wyższej trajektorii umieszczono tuż za Bramą Galaty i zaczęto strzelać do statków zakotwiczonych wzdłuż zapory. Pierwszy strzał chybił, lecz drugi trafił w sam środek galery i zatopił ją, powodując duże straty w ludziach. Chrześcijańskie okręty zostały zmuszone do pozostawania za zaporą, gdzie mury Pery dawały ochronę.

Jednak Mehmed wiązał swoje największe nadzieje z działaniami lądowymi. Obliczył, że szkody wyrządzone murom lądowym umożliwiają mu wzięcie miasta bez konieczności przerywania zapory. 18 kwietnia, w dwie godziny po zachodzie słońca, zarządził natarcie na Mesoteichion. Przy świetle rakiet, z biciem w bębny i przy dźwięku cymbałów, wydając swe okrzyki bojowe, oddziały ciężkozbrojnej piechoty, miotacze oszczepów, łucznicy i piechota z gwardii janczarskiej ruszyli przez zasypaną fosę do palisady. Nieśli pochodnie, aby podłożyć ogień pod drewniane deski, z których była zrobiona, mieli też przymocowane haki do końca swoich kopii, aby ściągnąć nimi na dół baryłki z ziemią wieńczące palisadę. Niektórzy nieśli drabiny dla oparcia ich o te części muru, które jeszcze stały. Bój był chaotyczny. Na wąskim terenie, gdzie przeprowadzano natarcie, przewaga liczebna Turków nie miała znaczenia, a

jednocześnie broje noszone przez chrześcijan były lepsze i umożliwiały im bardziej ryzykowną walkę. Dowodził Giustiniani i wykazał swą wartość jako dowódca. Jego energia i odwaga natchnęły zarówno Greków, jak i Włochów, którzy lojalnie go popierali. Sam cesarz nie był obecny. Obawiał się, że będzie to natarcie wzdłuż całej linii murów, i czynił śpieszny objazd inspekcyjny, pilnując, by każdy był przygotowany.

Walka trwała cztery godziny. Potem Turcy wycofali się na swoje linie. Wenecki pamiętnikarz Barbaro wyrachował, że stracili oni około 200 ludzi. Z chrześcijan nikt nie poległ.

Niepowodzenie tego pierwszego ataku na mury, które przyszło tak prędko po nieudanym natarciu na zaporę, natchnęło obrońców nową ufnością. Choć bombardowanie nieustannie trwało nadal, zabrali się do naprawy murów ze świeżym entuzjazmem. Gdyby tylko wkrótce nadeszła pomoc z zewnątrz, miasto mogło jeszcze być uratowane.

W dwa dni później ich nadzieje wzrosły.





Rozdział 7

UTRATA ŻŁOTEGO ROGU

W ciągu pierwszych dwóch tygodni kwietnia dął silnie wiatr z północy. Trzy galery genueńskie, które papież wynajął i zaopatrzył w broń i prowiant, zostały przez burzę unieruchomione przez Chios. 15 kwietnia wiatr zmienił się nagle na południowy i statki od razu odpłynęły ku Dardanelom. Kiedy zbliżyły się do cieśniny, przyłączył się do nich duży transport cesarski, naładowany zbożem zakupionym przez posłów cesarza na Sycylii i dowodzony przez doświadczonego żeglarza nazwiskiem Flatanelas. Dardanele nie był strzeżone, ponieważ cała flota turecka znajdowała się teraz pod Konstantynopolem. Okręty szybko pożeglowały na Morze Marmara. Rankiem w piątek, 20 kwietnia, obserwatorzy na murach od strony morza dostrzegli, jak zbliżają się one do miasta. Widzieli je także tureccy wartownicy, którzy pośpieszyli zawiadomić sułtana. Dosiadł on konia i przegalopował przez wzgórza, aby wydać rozkazy Baltoglu. Poleciał admirałowi pojmać okręty, jeśli to możliwe, a jeżeli nie - zatopić je. Pod żadnym pozorem nie można im pozwolić na dotarcie do miasta. Jeżeli nie zdoła wykonać tego zadania, nie ma po co wracać żywy.

Baltoglu od razu przygotował swoje okręty. Postanowił nie używać statków zależnych wyłącznie od żagli, gdyż nie mogły one żeglować pod ostry południowy wiatr; pozostała flota miała do niego dołączyć. Sułtan przyprowadził z sobą część swych najlepszych żołnierzy. Załadowano ich na większe transportowce. Niektóre ze statków były zaopatrzone w działa. Inne chroniły ustawione tarcze i puklerze. W ciągu dwóch lub trzech godzin wielka armada wyruszyła pędzona tysiącami wiosł, aby pojmać bezładne ofiary. Posuwali się naprzód, pewni zwycięstwa, z biciem w bębny i przy dźwięku trąbek. W mieście wszyscy obywatele niepotrzebni przy obronie murów tłoczyli się na zboczu Akropolu albo na szczycie zrujnowanego olbrzymiego Hipodromu, z niespokojnym wzrokiem utkwionym w chrześcijańskie okręty, gdy tymczasem sułtan wraz ze sztabem obserwował je z wybrzeży Bosforu, tuż za murami Pery.

Wczesnym popołudniem, kiedy Turcy dochodzili do statków chrześcijańskich, znajdowały się one już opodal południowo-wschodniego naroża miasta. Baltoglu z czołowej tryremy zażądał opuszczenia żagli. Odmówiono i trzymano się nadal swego kursu. Wtedy przednie okręty tureckie otoczyły je. Morze było teraz wzburzone, a wiatr wiał przeciw prądowi na Bosforze. Trudno było manewrować tryremami i biremami przy takiej pogodzie. Ponadto okręty chrześcijańskie miały przewagę w wysokości i były dobrze uzbrojone. Ze swych pokładów, wysokich ruf i dziobów oraz z bocianich gniazd żeglarze mogli zasypywać strzałami, oszczepami i kamieniami tureckie okręty; Turcy zaś potrafili zdziałać

bardzo niewiele, poza próbami zahaczania statków i podkładania ognia pod ich kadłuby. Prawie przez godzinę statki chrześcijańskie posuwały się naprzód, zwalczając przeszkody ze strony tureckich, ale wciąż się od nich odrywając. Wtem nagle, właśnie kiedy miały okrążyć cypel poniżej Akropolu, wiatr ustał i żagle ich zwisły beczynn timer. Tutaj odgałęzienie prądu, który płynie na południe w dół Bosforu, trafia w cypel i skręca ku północy w stronę brzegu Pery; nurt zaś jego jest szczególnie silny po południowym wietrze. Schwycił on chrześcijańskie okręty. Dotknawszy niemal miasta, zaczęły z wolna dryfować w kierunku tego właśnie miejsca, z którego sułtan obserwował walkę.

Zdawało się obecnie, że Baltoglu z łatwością złowi swą zdobycz. Wziął pod uwagę szkodę, jaką ogień chrześcijan może wyrządzić jego statkom, jeśli podejda zbyt blisko. Wobec tego podsunął większe okręty, aby okrążyły nieprzyjaciela na bliską odległość i wystrzeliły na niego kule armatnie i pociski zapalające, zamierzając znowu okrążyć statki chrześcijan, skoro zostaną osłabione. Wysiłki te spełzły na niczym. Jego lekkie działo nie miało niezbędnego kąta podniesienia, a każdy zaproszony ogień szybko gasił dobrze wyćwiczone załogi chrześcijańskie. Zawołał więc do swych ludzi, by posunęli się naprzód i zaczepili statki. Sam za swój cel wziął transportowiec cesarski. Był to największy z chrześcijańskich okrętów i najgorzej uzbrojony. Baltoglu skierował dziób swojej tryremy w jego rufę, gdy tymczasem inne jego statki podpłynęły i próbowały się doń przytwierdzić za pomocą bosaków lub też haków zarzuconych na łańcuchy kotwiczne. Spośród statków genueńskich jeden, jak było widać, otoczyło 5 tryrem, drugi - 30 *fustae*, a trzeci - 40 *parandaria*, wypełnionych żołnierzami; jednak w chaosie nikt z odległości nie mógł powiedzieć, co się dzieje. Dyscyplina na chrześcijańskich okrętach była wspaniała. Genueńczycy nosili dobrą zbroję i zaopatrzyli się w obszerne kadzie z wodą do gaszenia ognia oraz w siekiery używane do obcinania głów i rak wdrapującym się żołnierzom. Transportowiec cesarski, choć mniej dostosowany do wojny morskiej, wiozł beczki napelnione łatwopalnym płynem, znanym jako grecki ogień, orężem, który uratował Konstantynopol w wielu bitwach na morzu w ciągu ostatnich ośmiuset lat. Użyto go z piorunującym efektem. Turkom zaś przeszkadzały własne wiosła. Wiosła jednego statku plątały się z wiosłami innego; wiele zaś połamał grad pocisków wyrzucanych z góry. Ale ilekroć jakiś okręt turecki unieszkodliwiono, zawsze był inny, który zajmował jego miejsce.

Najzacieklejszy bój toczył się wokół okrętu cesarskiego. Baltoglu nie chciał go wypuścić. Gromada za gromadą jego ludzi usiłowała dostać się na statek po to tylko, ażeby Flatanelas i jego załoga ja wyparli. Ale odczuwali oni brak broni. Genueńscy kapitanowie pomimo własnych trudności zauważyli ciężką sytuację. W jakiś sposób udało im się podciągnąć swe statki w pobliże okrętu cesarskiego i wkrótce cztery statki zostały razem związane. Dla widzów na wybrzeżu przedstawiały się one jak wielka forteca o czterech wieżach, wznosząca się spośród chaosu tureckiej floty.

Przez całe popołudnie obserwowali z rosnącym niepokojem obserwowali obywatele walkę ze swoich murów i wież. Podniecony sułtan

również patrzył na nią z brzegu, czasem wykrzykując słowa zachęty, czasem przekleństwa, a czasami wskazówki, Baltoglu zaś udawał, że ich nie słyszy, bo Jego Sułtańska Mość przy całym zrozumieniu dla sił morskich nie miał pojęcia o sztuce żeglarskiej. W zapamiętaniu Mehmed wpędzał swego wierzchowca do morza, wjeżdżając w płytką wodę, aż jego szaty wlokły się po niej, jak gdyby sam pragnął brać udział w boju.

Kiedy wieczór się zbliżał, zdawało się, że chrześcijańskie okręty nie utrzymają się już dłużej. Zadały one wielkie straty nieprzyjacielowi, ale wciąż przybywały nowe tureckie statki przystępujące do ataku. Nagle, gdy słońce zaczęło zachodzić, zerwał się ponownie porywisty wiatr z północy. Wielkie żagle chrześcijańskich okrętów znów się wypełniły i statki zdołały się przebić przez flotę turecką ku bezpiecznemu schronieniu przy zaporze. W zapadających ciemnościach Baltoglu nie mógł uporządkować swej floty. Chociaż sułtan wciąż zarzucał go rozkazami i pomstami, zarządził wycofanie i zakotwiczenie koło Podwójnych Kolumn. Kiedy noc zapadła, otwarto zaporę i trzy galery weneckie pod komendą Trevisana wypłynęły z donośnym głosem trąbek, iżby Turcy uwierzyli, że będą atakowani przez całą flotę chrześcijańską i będą zmuszeni pozostać w defensywie. Zwycięskie okręty przeprowadzono następnie na miejsca zakotwiczenia w bezpiecznym schronieniu Złotego Rogu.

Było to wielkie i podnoszące na duchu zwycięstwo. Uradowani chrześcijanie głosili, że zginęło 10 000 - 12 000 Turków, a ani jeden chrześcijanin, chociaż dwóch czy trzech marynarzy zmarło od ran w kilka lat później. Według trzeźwiejszej oceny straty tureckie oszacowano na trochę ponad 100 zabitych i powyżej 300 rannych, chrześcijańskie zaś straty na 23 zabitych i prawie połowę marynarzy cierpiących od takich czy innych ran. Niemniej jednak okręty przywiozły ze sobą nowe posiłki wojska oraz cenne zapasy uzbrojenia i żywności. Wykazały one także wyższość chrześcijańskiej sztuki żeglarskiej.

Sułtan był wściekły. Jakkolwiek jego straty materialne nie były wielkie, upokorzenie i straty moralne Turków były poważne. List napisany doń zaraz przez szejka Ak Szemseddina - jednego z poważniejszych autorytetów religijnych w obozie - mówił mu, że ludzie obwiniają go o błędną ocenę sytuacji i brak władzy, i surowo nakazywał ukaranie odpowiedzialnych winowajców, aby podobne katastrofy nie zdarzały się również wśród sił lądowych. Następnego dnia Mehmed wezwał przed siebie Baltoglu, publicznie skarcił go jako zdrajcę, tchórza i głupca i rozkazał ściąć mu głowę. Nieszczęsnego admirała, poważnie rannego w oko kamieniem wyrzuconym z jednego z jego własnych okrętów, uratowało od śmierci jedynie świadectwo wydane przez jego oficerów, którzy opowiedzieli o jego wytrwałości i odwadze. Został skazany na pozbawienie nie tylko urzędów admirała i gubernatora Gallipoli, które nadano jednemu z zaufanych sułtana, Hamza Bejowi, ale na konfiskatę wszystkich prywatnych posiadłości, które rozdzielono pomiędzy janczarów. Następnie wymierzono mu bastonadę i uwolniono po to, by spędził resztę życia w ubóstwie i zapomnieniu.

Już od chwili pierwszego niepowodzenia okrętów przy forsowaniu zapory Mehmed przemyślał, jak zdobyć panowanie nad Złotym Rogiem.

Ostatnia gorzka klęska skłoniła go do natychmiastowego działania. W czasie szalejącej bitwy morskiej, 20 kwietnia, ani na chwilę nie ustawało bombardowanie murów. Dwudziestego pierwszego rozpoczęło się znowu bardziej bezlitośnie niż kiedy indziej. W ciągu dnia z wielkiej wieży blisko doliny Lykos, znanej jako Baktatinian, zostały tylko gruzy i duży odcinek zewnętrznego muru poniżej wieży uległ zniszczeniu. Gdyby Turcy zarządzili wtedy ogólne natarcie, zdaniem obrońców nie można ich było powstrzymać. Ale sułtana nie było tego dnia przy murach i rozkazu ataku nie wydano. Po zmierzchu naprawiono wyłom belkami, ziemią i gruzem.

Mehmed spędził dzień u Podwójnych Kolumn. Jego pełen inwencji umysł pracował nad odpowiedzią na problem, jaki przed nim stanął. Prawdopodobnie Włoch przebywający w jego służbie poddał mu myśl, że statki można przetransportować lądem. Wenecjanie w jednej ze swych ostatnich kampanii w Lombardii triumfalnie przewieźli całą flotyllę platformami na kołach z rzeki Pad na jezioro Garda. Tam jednak teren był płaski. Przewiezenie okrętów z Bosforu na Złoty Róg, przez grzbiet, który nigdzie nie wznosił się poniżej 60 metrów nad poziom morza, stanowiło trudniejsze zadanie. Ale sułtanowi nie brakowało ani ludzi, ani materiałów. We wczesnym okresie oblężenia jego inżynierowie budowali drogę, która, jak się zdaje, biegła od Tofane w górę stromej doliny prowadzącej do obecnego placu Taksim, następnie skręcała trochę w lewo i szła w dół doliną zwana przez Bizantyńczyków Doliną Źródeł, teraz zaś znaną jako Kasimpasa. Jeżeli żeglarze na Złotym Rogu albo obywatele Pery zauważyli budowę drogi, niewątpliwie przypuszczali, że sułtan chciał jedynie mieć łatwiejszy dojazd do swej bazy morskiej przy Podwójnych Kolumnach. Tam nagromadzono drzewo do sporządzenia kołysek na kołach dla statków, coś w rodzaju tramwaju; odlano metalowe koła i zebrano zaprzęgi wołów. Jednocześnie umieszczono w Dolinie Źródeł pewną liczbę dział.

Dwudziestego pierwszego kwietnia przyspieszono roboty. Kiedy tysiące rzemieślników i robotników czyniło ostatnie przygotowania, sułtan rozkazał, aby z armat umieszczonych na tyłach Pery bezustannie strzelano do zapory; w ten sposób chciano oderwać uwagę stojących tam okrętów, a czarny dym zaciemniać miał widok w górę Bosforu i zasłaniać tamtejsze działania. Przez rozmyślny błąd kilka kul armatnich padło na mury samej Pery, ażeby trzymać obywateli z dala od nich, tak by nie mogli podpatrywać.

Wraz z pierwszym brzaskiem rannym w niedzielę 22 kwietnia rozpoczęła się osobliwa procesja statków. Kołyski zanurzono w wodę i tam przywiązano do nich okręty; następnie za pomocą bloków wyciągnięto je na brzeg; do każdej z nich zaprzęgnięto woły, a towarzyszyły im zespoły ludzi, by pomagać na bardziej stromych i trudnych odcinkach drogi. Na każdym statku wiosłarze siedzieli na swych miejscach, poruszając wiosłami w powietrzu, a oficerowie chodzili tam i z powrotem nadając takt. Powiewały flagi, bito w bębny, grano na piszczałkach i trąbkach, a jeden statek po drugim wciągano na wzgórze, jak gdyby to był jakiś fantastyczny pochód karnawałowy. Mała fusta prowadziła pochód. Skoro uporała się pomyślnie z pierwszym stromym zboczem, jakieś 70 tryrem, birem, *fustae* i *parandaria* szybko podążyło za nią.

Na długo przed południem chrześcijańscy żeglarze na Złotym Rogu i wartownicy na murach nad portem zobaczyli z przerażeniem ów niezwykle ruch okrętów w dół wzgórza, wprost do wód Rogu przy Dolinie Źródeł. W mieście zapanowała konsternacja. Zanim jeszcze ostatni statek ześliznął się do portu, burmistrz wenecki naradził się z cesarzem i Giustinianim i za ich poradą wezwał weneckich kapitanów okrętów na poufałą rozmowę, na której miał być obecny Giustiniani jako jedyna osoba z zewnątrz. Wysunięto rozmaite sugestie. Jedna propozycja polegała na tym, aby nakłonić Genuńczyków z Pery do przyłączenia się do generalnego ataku na flotę turecką w porcie. Z pomocą ich statków, które dotychczas nie brały żadnego udziału w wojnie, można było z łatwością pobić Turków w otwartej walce. Jednak Pera prawdopodobnie nie zechce porzucić swej neutralności, a w każdym razie niezbędne pertraktacje spowodują stratę czasu. Według innych propozycji można by wylądować na przeciwległym brzegu, zniszczyć tam tureckie działa w Dolinie Źródeł, a następnie próbować spalić ich okręty. Ale w mieście nie było dość ludzi pod bronią, aby odważyć się na tak ryzykowną operację. Ostatecznie Giacomo Cocco, kapitan galery przybyłej z Trebizondy, wysunął wniosek, że należy dokonać niezwłocznej próby spalenia okrętów nocą, i sam zaoferował się poprowadzić ekspedycję. Rada przyjęła jego ofertę, postanawiając działać bez zawiadomienia o tym Genuńczyków w mieście. Dochowanie tajemnicy miało istotne znaczenie, a Wenecjanie gotowi byli dostarczyć niezbędnych statków.

Plan Cocco zasadzał się na wysłaniu naprzód dwóch wielkich transportowców z burtami zabezpieczonymi przed kulami armatnimi za pomocą bel płótna i wełny. Za nimi miały pójść dwie duże galery, aby nie dopuścić do jakiegoś przeciwdziałania. Ukryte poza tymi wielkimi okrętami dwie małe *fustae*, poruszane wiosłami, wkradłyby się niezauważone w środek statków tureckich, przecinając ich liny kotwiczne i rzucając na nie łatwopalne materiały. Ku rozczarowaniu Cocco z podjęciem próby postanowiono poczekać, aż do nocy 24 kwietnia, ażeby móc przygotować weneckie okręty. Niestety, tajemnicy nie dochowano; w jakiś sposób Genuńczycy w mieście dowiedzieli się o tym planie i byli oburzeni, że ich wykluczono, podejrzewając, iż Wenecjanie pragnęli przywłaszczyć sobie chwałę zwycięstwa. Ażeby ich ułagodzić, zgodzono się, że dostarczą oni jeden z okrętów. Nie mieli jednak żadnego w gotowości, domagali się więc dalszej zwłoki, aż do 28 kwietnia. Była to fatalna decyzja. Turcy przez cały czas powiększali liczbę swych dział w Dolinie Źródeł; niemożliwe też było, by nie zauważyli wszystkich przygotowań. Wiadomość doszła do Pery i do pewnego Genuńczyka pozostającego tam na żołądzie sułtana.

W sobotę 28 kwietnia, na dwie godziny przed świtem, dwa wielkie transportowce, jeden wenecki i jeden genuński, dobrze obite belami, wysunęły się spod ochrony murów Pery w towarzystwie dwóch weneckich galer, każda z 40 wiosłarzami, pod komendą samego Trevisano i jego zastępcy Zaccaria Grioniego. Za nimi posuwały się 3 lekkie *fustae*, każda z 72 wiosłarzami i z Cocco w prowadzącej łodzi, w asyście kilku małych łodzi wiozących łatwopalne materiały. Kiedy wyruszyli, marynarze

spostrzegli jaskrawe światło błyszczące z jednej z wież Pery. Zastanawiali się, czy nie jest to sygnał dla Turków, ale kiedy podpłynęli bliżej do floty tureckiej, wszystko wydawało się być w porządku. Ciężkie transportowce i galery posuwały się z wolna po cichych wodach, a Cocco się niecierpliwił. Wiedział, że jego łódź może ich wyprzedzić, toteż żądny działania i sławy przeprowadził *fustae* przez linię i skierował się wprost na Turków. Nagle odezwał się grzmot dział; to tureckie armaty otworzyły ogień z wybrzeża. A więc Turków ostrzeżono. Łódź Cocco została trafiona jednym z pierwszych strzałów. W kilka minut później została ugodzona w śródokręcie i zatona. Niewielu marynarzy było zdolnych do brzegu, a większość ich wraz z samym Cocco zginęła. Inne *fustae*, jak również małe łodzie ciągnące dokoła nich, podpłynęły, działa tureckie utrzymywały bezustanny ogień, mierząc do celu według światła na statkach i własnych błysków. Dwa transportowce płynące na przedzie zostały wielokrotnie trafione. Owe bele uratowały je od poważnej szkody, ale ich marynarze byli zbyt zajęci gaszeniem tłących się ogni spowodowanych wystrzałami, aby uczynić cokolwiek dla małych łodzi, z których wiele zatonało. Turcy skupili główną uwagę na galerze Trevisana. Dwa pociski wystrzelone ze zbocza wzgórza trafiły ją z taką siłą, że zaczęła nabierać wody. Trevisana wraz z załogą musiał wsiąść na łodzie i porzucić galere. Po tym sukcesie, w słabym blasku świtu tureckie statki wyruszyły do natarcia. Ale chrześcijanie potrafili się wywikłać. Po półtoragodzinnej walce obie eskadry powróciły na swe miejsce zakotwiczenia.

Czterdziestu marynarzy dopłynęło do brzegu, na którym znajdowały się tureckie pozycje. Później za dnia zmasakrowano ich na oczach miasta. W odwecie 260 jeńców, znajdujących się w mieście, przyprowadzono na mury i ścięto na oczach Turków.

Bitwa raz jeszcze wykazała, że chrześcijanie przewyższali Turków, jeśli chodzi o jakość okrętów i umiejętności sztuki żeglarskiej. Niemniej jednak ponieśli ciężką porażkę. Stracili galere, fustę oraz około 90 najlepszych marynarzy. Zniszczono tylko jeden statek turecki. W mieście panowało głębokie przygnębienie. Jasną było rzeczą, że Turków nie będzie można teraz usunąć ze Złotego Rogu. Nie opanowali go oni całkowicie; flota chrześcijańska wciąż jeszcze pływała. Ale port nie był już bezpieczny, a długa linia murów na wprost niego była zagrożona tureckimi atakami. Dla Greków, którzy pamiętali, że właśnie przez te mury krzyżowcy przedarli się do miasta w 1204 roku, wydawało się to specjalnie groźne; zrozpaczeni cesarz i Giustiniani nie wiedzieli, jak obecnie będą mogli obsadzić ludźmi wszystkie umocnienia.

Przeniósłszy połowę swej floty na Złoty Róg i udaremniwszy próbę chrześcijan wyparcia najemników, Mehmed odniósł wielkie zwycięstwo. Zdaje się, że wciąż jeszcze wierzył, iż zdobędzie miasto, przełamując mury obronne na lądzie; teraz jednak mógł stale zagrażać murom portowym, jednocześnie trzymając dość okrętów poza zaporą dla blokady miasta. Ponadto, gdyby nawet nadpłynęła flota z odsieczą i udało się jej przerwać blokadę, nie znalazłaby spokoju w porcie. Nowa sytuacja pozwalała mu również roztoczyć ściślejszą kontrolę na Perą. Rola, jaką odgrywali tamtejsi Genujczycy, była haniebnie dwuznaczna. Rząd Genui pozostawił

władzom miejscowym wolną rękę, prawdopodobnie doradzając im prowadzenie polityki neutralności. Oficjalnie to czynili. Ogólne sympatie kolonii skłaniały się ku jej towarzyszom chrześcijańskim po drugiej stronie Bosforu. Kilku obywateli przyłączyło się do Giustinianiego. Kupcy z kolonii w dalszym ciągu handlowali z miastem, posyłając towary, jakie mogli im odstąpić. Wprawdzie inni handlowali też z Turkami, ale liczni z nich działali jako szpiegzy przekazując Giustinianiemu informacje zebrane w tureckim obozie. Władze tak dalece naraziły na szwank swoją neutralność, że pozwoliły na przymocowanie zapory portowej jednym końcem do swoich murów; i choć okręty ich nie brały udziału w walce, zdaje się, że żeglarze zwykli byli oddawać drobne usługi statkom przy zaporze. Ale trudno było Genueńczykowi lubić Greka, a jeszcze trudniej Wenecjanina. Kilku bohaterskich żołnierzy, jak Giustiniani albo bracia Bocchiardo, mogło rzucić się z całym sercem w wir bitwy; lecz w Perze, gdzie przeciętny mieszkaniec nie uważał, żeby groziło mu bezpośrednie niebezpieczeństwo, takie bohaterstwo wydawało się trochę przesadne.

Grecy i Wenecjanie odwzajemniali ową niechęć. Chociaż szczerze podziwiali Giustinianiego i gotowi byli słuchać jego rozkazów, i choć nie szczędzili licznych pochwał innym dzielnym Genueńczykom, jednak Pera była w ich oczach gniazdem zdrajców chrześcijaństwa. Sułtan miał tam na pewno swoich szpiegów, jak wykazała historia ostatniej bitwy. Myślano też, że z pewnością ktoś w Perze musiał zdawać sobie sprawę z przygotowań sułtana do przesunięcia jego statków wzdłuż drogi, tak blisko miasta. Jeśli nawet niewątpliwie nie można było temu przeszkodzić, to przynajmniej można było przesłać jakieś ostrzeżenie o tej operacji do portu za Złotym Rogiem. Arcybiskup Leonard, sam będąc Genueńczykiem, pisał z pewnym zakłopotaniem o postępowaniu swych ziomków.

Ale jeżeli chrześcijanie w Konstantynopolu byli niezadowoleni z obywateli Pery, to równie niezadowolony był i sułtan. Nie mógł on co prawda próbować zajęcia kolonii, mając na głowie oblężenie samego Konstantynopola. Szturm na Perę wymagałby użycia większej liczby ludzi i machin, niż miał na razie na zbyciu; każdy zaś krok, jaki uczyniłby przeciw niej, prawdopodobnie sprowadziłby na Lewant genueńską flotę, a on straciłby swe panowanie nad morzem. Teraz jednak, kiedy jego okręty znalazły się w Złotym Rogu, okrążył Perę. Jej kupcy nie mogli już łatwo przewozić towarów przez Bosfor do Konstantynopola, dostarczając zarazem ostatnich wiadomości o tureckim obozie. Jeśli Pera nie była gotowa złamać swej neutralności, niewiele mogła uczynić, żeby pomóc chrześcijańskiej sprawie; sułtan zaś, jak się zdaje, był zadowolony z informacji agentów, których tam utrzymywał, że władze nie zamierzały podjąć takiego ryzyka.

Ponadto sułtan mógł teraz polepszyć swą łączność z armią Zaganosa na wzgórzach poza Perą i z dowództwem sił morskich na Bosforze. Dotychczas jedyna droga przebiegała długim objazdem dokoła bagnistego końca Złotego Rogu, jakkolwiek istniał skrót przez niewygodny bród w jego górnej części. Obecnie, mając swe statki na Rogu jako ochronę, sułtan mógł zbudować most przez Złoty Róg, tuż powyżej murów miasta. Był to ponton, wybudowany z około stu beczek od wina, związanych mocno

parami oraz połączonych ze sobą w taki sposób, aby uformować szerokość przejścia; między każdą parą beczek były niewielkie odstępy. Na beczkach leżały belki, a na nich deski. Pięciu ludzi mogło iść po nich ramię przy ramieniu; mogły one też utrzymać ciężkie wozy. Do pontonu przywiązane były pływające pomosty, każdy z nich wystarczająco mocny, aby wytrzymać ciężar działa. W ten sposób można było szybko przerzucać wojsko z wybrzeża Pery pod mury miasta pod osłoną armat, a jednocześnie działa mogły pod nowym kątem bić w mury dzielnicy Blachernos.

Chrześcijanie wciąż utrzymywali większość swych okrętów u zapory, aby zapobiec połączeniu się dwóch flot tureckich i aby powitać każdą flotyllę przybywającą z odsieczą, która mogłaby się pojawić; Turcy zaś nie ryzykowali ataku na te okręty przez kilka dni. Ale obecność ich tam nie mogła zmienić faktu, że obrona utraciła kontrolę nad Złotym Rogiem.





Rozdział 8

GASNĄCA NADZIEJA

Sułtan nie wykorzystał swego zwycięstwa i nie podjął próby jakiegos szturmu na miasto. Wolał na razie nękać i wyczerpywać obronę. Bombardowanie murów na lądzie nie ustawało ani na chwilę. Co noc oddziały obywateli musiały przychodzić i dokonywać napraw, jakie tylko były możliwe. Działa z pomostów nowego pontonu były w dzielnicę Blachernos. Od czasu do czasu statki tureckie wypływały z miejsca zakotwiczenia po drugiej stronie Złotego Rogu i udawały, że będą atakować mury nad portem. Greckie i weneckie okręty musiały być w pogotowiu, aby je odciąć. Przez cały tydzień nie było prawie żadnych walk wręcz ani strat w ludziach. Jednak miasto stanęło przed innymi problemami. Brak było żywności. Mężczyźni, którzy powinni byli trwać na swych stanowiskach na murach, ustawicznie prosili o pozwolenie powrotu do miasta, aby znaleźć pożywienie dla żon i dzieci. W pierwszych dniach maja brak ten był tak dotkliwy, że cesarz przeprowadził nową zbiórkę funduszków od kościołów i osób prywatnych i za te pieniądze kupił z żywności, co się dało; ustanowił też komitet, który miał pilnować, by została ona równo podzielona. Komitet dobrze wykonał swe zadanie. Chociaż przydziały były małe, każda rodzina otrzymała swą część; nie było żadnych poważnych skarg. Ale sady w mieście niewiele dawały ó tej porze roku, a łodzie rybackie nie mogły już wyruszać bezpiecznie na morze, nawet na Złotym Rogu. Liczba bydła, owiec i świń w obrębie murów miejskich nigdy nie była duża i szybko się zmniejszała, jak również zapasy zboża. Jeśli żywności, bardziej nawet niż ludzi, nie przyśle się prędko z zewnątrz, żołnierze i obywatele zostaną zmuszeni głodem do kapitulacji.

Mając to na względzie cesarz wezwał znaczniejszych Wenecjan, jak również swych własnych dostojników, i zaproponował wysłanie szybkiego statku z portu ku Dardanelom w poszukiwaniu floty, którą według obietnicy Minotta miała wysłać Wenecja. Już 26 stycznia Minotto pisał do Wenecji błagając o to; nic jednak nie usłyszano w odpowiedzi. W Konstantynopolu nikt nie wiedział o opóźnieniach, jakie zaszły w Wenecji, gdzie – choć list Minotta znalazł się w rękach senatu około 19 lutego – minęły akurat dwa miesiące, zanim flota z odsieczą wyruszyła w drogę. Cesarz pokładał wielką ufność w naczelnym kapitanie, Loredanie, który według jego rozeznania był odważnym chrześcijańskim dowódcą. Nie wiedział o instrukcjach udzielonych admirałowi Alviso Longo 13 kwietnia: a mianowicie, że powinien skierować swoją flotę jak najspieszniej do Tenedos, zatrzymując się tylko na jeden dzień w Modonie dla zaprowiantowania. W Tenedos miał pozostawać na kotwicy do 20 maja, zbierając informacje o sile i ruchach floty tureckiej. W tym terminie miał

się połączyć z nim naczelną kapitan ze swymi galerami i z galerami z Krety. Wtedy cała flota miała wypłynąć na Dardanele i przedrzeć się do obleżonego miasta. Nie wiadomo też w Konstantynopolu, że Loredan otrzymał rozkaz opuszczenia Wenecji dopiero 7 maja. Miał on popłynąć na Korfu, gdzie galera gubernatora powinna się z nim spotkać i zabrać go do Negropontu. Tam miały go spotkać dwie galery kreteńskie i razem pożeglować do Tenedos. Jeżeli Longo wyruszył już do Konstantynopola, miał pozostawić w tyle jedną galere, aby mu o tym doniosła i eskortowała go przez cieśniny. Jednak nie powinien prowokować żadnej akcji ze strony Turków, póki nie dotrze do Konstantynopola, gdzie odda się do dyspozycji cesarza, podkreślając wobec niego wielkie ofiary, jakie ponosi Wenecja, przybywając mu z pomocą. Jeżeli Konstantyn zawarł już pokój z Turkami, naczelną kapitan miał udać się na Moreę i użyć swoich sił do zmuszenia despotesa Tomasza, aby zwrócił kilka wsi, które bezprawnie zaanektował. Ósmego maja senat uchwalił rezolucje uzupełniające. Jeżeli Loredan w czasie podróży usłyszy, że cesarz nie zawarł pokoju, powinien dopilnować, żeby Negropont był doprowadzony do należytego stanu obronnego. Ponadto miał mu towarzyszyć ambasador, Bartolomeo Marcello, który miał się udać od razu na dwór sułtana i zapewnić Mehmeda o pokojowych intencjach republiki; naczelną kapitan i jego siły przybyły tu jedynie po to, aby eskortować z powrotem statki handlowe zaangażowane w handlu lewantyńskim oraz by dopilnować prawnie uzasadnionych interesów Wenecji. Należało nakłaniać sułtana do zawarcia pokoju

z cesarzem, a cesarza do przyjęcia wszelkich rozsądnych warunków. Jeżeli jednak Mehmed byłby zdecydowany kontynuować swe zadanie, ambasador nie powinien był nalegać, lecz zgłosić się z powrotem do senatu.

Instrukcje senatu były starannie przemyślane i mogłyby poskutkować, gdy nie ograniczenie w czasie. Ale nikt w Wenecji nie znał dotychczas nieustępliwości charakteru sułtana ani wielkich walorów jego maszyny wojennej. Zagrożenie Konstantynopola było znane, lecz każdy wierzył, że jakoś wielkie miasto–twierdza może się utrzymywać bez końca. z

Papież pomimo swych obaw był jeszcze bardziej opieszalszy. Dopiero 5 czerwca, w tydzień po tym, kiedy już było po wszystkim, jego przedstawiciel, arcybiskup Raguzy, zawiadomił senat o propozycji jego świątobliwości, żeby Wenecjanie wypożyczyli mu pięć galeri celem ratowania miasta. Zapłaciłby 14 000 dukatów, co powinno pokryć żołd załóg za cztery miesiące. Arcybiskupowi powiedziano, że to nie wystarczy. Powrócił do Rzymu z żądaniem, że papież musi również zapłacić za część uzbrojenia; w tym czasie jednak galery miały zostać przygotowane do podróży.

Nie wiedząc o wielokrotnej zwłoce i spodziewając się wkrótce nawiązania kontaktu z wenecką flotą, brygantyna wenecka z flotylli na Złotym Rogu z dwunastoma ochotnikami na pokładzie, przy czym wszyscy zostali przebrani za Turków, została przyholowana do zapory wieczorem 3 maja. O północy odsunięto łańcuch, by ją przepuścić. Z podniesioną flagą turecką przepłynęła nie zaczepiona pod północnym wiatrem morze Marmara i dalej na Morze Egejskie.

W samym mieście przemoczenie zaczęło oddziaływać na nerwy obrońców. Wzajemna niechęć Wenecjan i Genuńczyków doszła do głosu w ostrych kłótniach. Wenecjanie obwiniali Genuńczyków o klęskę z 28 kwietnia. Genuńczycy odparowywali argumentem, że wszystko to było winą nieostrożności Cocco. Dalej zaś oskarżali Wenecjan, że wysyłają statki w bezpieczne miejsce, ilekroć nadarzy się okazja. Wenecjanie zaznaczyli, że wymontowali stery z wielu swych galer i zmagazynowali je wraz z żaglami w mieście. Dlaczego Genuńczycy nie uczynili tego samego? Na to Genuńczycy odpowiadali, iż nie mieli zamiaru osłabiać sprawności swoich statków, zwłaszcza że wielu z nich musiało mieć na uwadze swoje żony i dzieci w Perze. Kiedy Wenecjanie ponadto ganili Genuńczyków, że utrzymują kontakt z obozem sułtana, ci odpowiadali, iż wszelkie pertraktacje, jakie tam wiedli, prowadzone były z całkowitą wiedzą cesarza, którego interesy pokrywały się z ich własnymi. Rekryminacje odbywały się publicznie, aż zrozpaczony cesarz wezwał przywódców obu stron i błagał ich o zachowanie spokoju. „Wojna za naszymi bramami wystarczy nam – zawołał. – Na litość boską, nie rozpoczynajcie wojny między sobą.” Słowa jego wywarły pewien skutek. Pozornie przywrócono współpracę, ale wrogość pozostała.

Prawdopodobnie podczas tych właśnie dni cesarz próbował pertraktować z sułtanem. Zdaje się, że Genuńczycy z Pery przeprowadzali próbne wywiady na jego prośbę. Jednak warunki sułtana nie zmieniły się. Miasto musi mu się poddać bezwarunkowo, a wtedy on osobiście gwarantuje obywatelom ich życie i majątek osobisty. Cesarz, jeśli chce, może usunąć się do Morei. Warunki te były nie do przyjęcia. Nikt w mieście, niezależnie od poglądów politycznych, nie brał pod uwagę upokorzenia kapitulacji; nikt też nie wierzył zbyt w łaskawość sułtana. Jednak wśród doradców cesarza było kilku, którzy uważali, że powinien on ująć z miasta. Byłby w stanie lepiej zorganizować kampanię przeciw Turkom z zewnątrz niż będąc w mieście. Jego bracia i liczni sympatycy z całych Bałkanów z pewnością zgromadzą się tłumnie pod jego sztandarem, wliczając w to, być może, i samego Skanderbega, a cesarz będzie mógł zagrozić Europę Zachodnią do wypełnienia jej obowiązku. Ale Konstantyn spokojnie i stanowczo odmówił słuchania tych doradców. Obawiał się, że gdyby opuścił miasto, obrona jego rozpadłaby się; jeżeli miasto ma zginąć, on zginie wraz z nim.

Genuńczycy z Pery mieli słuszne powody, pragnąc pokoju. Piątego maja działa tureckie zaczęły ostrzeliwać ponad miastem chrześcijańskie okręty przy zaporze. Turcy celowali specjalnie do statków weneckich, jednak kula o wadze około 90 kg trafiła w genuński statek handlowy z cennym ładunkiem jedwabiu i zatopiła go. Należał on do kupca z Pery i był zakotwiczony tuż pod murami. Zarząd miasta posłał niezwłocznie do sułtana delegację ze skargą, podkreślając, jak użyteczna była dla niego neutralność Pery. Ministrowie sułtana przyjęli misję wrogo. Kanonierzy tureccy mogli nie wiedzieć, ich zdaniem, że okręt nie był statkiem nieprzyjacielskim, „pirat” przybyłym na pomoc wrogom. Jeśli jednak właściciel będzie w stanie udowodnić swe pretensje sułtanowi, to skoro tylko zdobędzie on Konstantynopol, wejrzy w tę sprawę i da mu pełne

odszkodowanie.'

W ciągu pierwszych dni maja wielkie działo Urbana było uszkodzone. Szóstego maja zostało już naprawione i bombardowanie murów lądowych ponowiono ze wzmożoną energią, gdy tymczasem tureckie okręty jawnie szykowały do walki. Obrona słusznie podejrzewała, że natarcie nastąpi następnego dnia, i dokonała własnych przygotowań. Kiedy jednak rozpoczął się szturm, w cztery godziny po zachodzie słońca 7 maja, był on skierowany tylko przeciw jednemu odcinkowi murów lądowych – Mesoteichion. Ogromna liczba Turków, uzbrojonych jak zwykle w drabiny obłęznicze i haki przymocowane do pik, parła przez wypełnioną fosę. Gorący bój trwał około trzech godzin, jednak Turcy nie zdołali sforsować przejścia przez zrujnowane mury i palisadę. Cuda odwagi przypisywano pewnemu greckiemu żołnierzowi, nazwiskiem Rhangabe, o którym mówiono, że przeciął na pół chorążego sułtana, Amir Beja, choć wkrótce sam został otoczony i zabity.

Jakkolwiek flota turecka nie atakowała tej nocy, sytuacja w Złotym Rogu wydawała się tak niepewna, że następnego dnia Wenecjanie postanowili wyładować cały materiał wojenny trzymany na swych okrętach i zmagazynować go w cesarskim arsenale. Dziewiątego maja zdecydowali ponadto, że wszystkie ich statki, z wyjątkiem potrzebnych do strzeżenia zapory, zostaną przesunięte do małej przystani, znanej jako Neorion albo Prosforianus, tuż wewnątrz zapory pod Akropolem, oraz że ich załogi należy przydzielić do pomocy w obronie dzielnicy Blachernos, gdzie mury zostały mocno uszkodzone przez ogień z dział umieszczonych na pontonie. Z początku niektórzy marynarze nie chcieli się na to zgodzić. Dopiero 13 maja ukończono tę akcję. Główne zadanie marynarzy polegało na zajęciu się naprawą muru chroniącego dzielnicę.

Przybyli oni niemal za późno. Poprzedniego wieczoru Turcy rozpoczęli nowy atak na wielką skalę, tym razem na wzniesionym terenie blisko połączenia murów Blachernos z Murem Teodozjusza. Prawie o północy zaczęło się natarcie. Zostało ono odparte i wkrótce odwołane; tutaj mury były jeszcze zbyt mocne.

14 maja sułtan, zadowolony z tego, że Wenecjanie przenieśli swe stanowiska – w tej sytuacji jego okręty na Złotym Rogu nie będą teraz atakowane – przesunął swe baterie ze wzgórz z tyłu Doliny Źródeł i przeciągnął je przez nowy most, ażeby bombardować mur Blachernos na odcinku, gdzie zaczynał on wspinać się po zboczu. Baterie wyrządziły tam niewielkie szkody, toteż w dzień lub dwa później znowu je przesunął, dołączając do głównych baterii w dolinie Lykos. Mógł dostrzec, że jest to najbardziej obiecujący odcinek do atakowania. Odtąd ostrzeliwanie innych odcinków murów odbywało się tylko sporadycznie, tam jednak przy powiększonej liczbie dział mogło być prowadzone bez przerwy.

Szesnastego i ponownie 17 maja główna flota turecka wypłynęła w dół spod Podwójnych Kolumn, aby demonstracyjnym manewrem zagrozić zaporze. Była ona jednak wciąż dobrze broniona i w obu wypadkach okręty wycofały się nie wypuściwszy ani jednej strzały lub pocisku. Podobnego manewru dokonano 21 maja.

Z biciem w bębny i przy dźwiękach trąb nadpłynęła cała flota turecka.

Wydawało się to tak groźne, że w mieście uderzono w dzwony, aby każdy stanął w pogotowiu. Raz jeszcze okręty przedelfilowały tam i z powrotem przed zaporą i powróciły spokojnie na swe miejsce zakotwiczenia. Był to ostatni przypadek, aby zaporą była zagrożona. Możliwe, że morale marynarzy, wśród których niewielu było pochodzenia tureckiego, nie było zbyt wysokie, a ani sułtan, ani jego admirał nie chcieli narażać się na upokorzenie przy nowej porażce.

Tymczasem operacje lądowe uzupełniano próbami zakładania min pod murami. Sułtan rozpoczął prace minerskie już podczas pierwszych dni oblężenia, lecz nie miał zbyt wielu doświadczonych minerów. Obecnie Zaganos Pasza przyprowadził spośród swych oddziałów sporo zawodowych minerów z kopalni srebra w Nowo Brodo w Serbii. Kazano im zakopać minę pod murami gdzieś w pobliżu Bramy Charyzjusza, gdzie, jak sądzono, jest odpowiedni grunt. Zaczęli oni swą pracę daleko na tyłach, nie chcąc skupiać na sobie uwagi; jednak zadanie podkopywania się pod fosę oraz pod mury okazało się zbyt trudne. Porzucono więc ten podkop. Zamiast tego minerzy zabrali się do podkopywania pod pojedynczy mur Blachernos, blisko Bramy Kaligaryjskiej. 16 maja obrona wykryła ich działalność. Megaduks Łukasz Notaras, do którego należało zajmowanie się takimi szczególnymi przypadkami, odwołał się do usług inżyniera Johannesesa Granta. Na jego życzenie Grant wkopał kontrminę i zdołał dotrzeć do tureckiego podkopu, gdzie spalił drewniane podpory. Spadł dach grzebiąc wielu minerów. Niepowodzenie to zniechęciło tureckich saperów na kilka dni; jednak 21 maja podkopywali się, zakładając miny w różnych częściach muru, głównie koncentrując się na odcinku w pobliżu Bramy Kaligaryjskiej. Greckie oddziały Notarasa pod kierunkiem Granta zakładały kontrminy. W pewnych przypadkach było możliwe wykurzanie dymem minerów nieprzyjacielskich z ich jam, w innych zalanie min z cystern przeznaczonych do nawadniania fosy.

Sułtan wprowadzał już w czyn inny pomysł. Rankiem 18 maja obronę przeraził widok wielkiej drewnianej wieży na kołach, stojącej na zewnątrz murów Mesoteichion. Turcy zmontowali ją w ciągu nocy. Składała się z drewnianego szkieletu, chronionego warstwami skór byczych i wielbłądzich, mając wewnątrz schody prowadzące na górną platformę, a wysokość jej dorównywała zewnętrznym murom miasta. Na platformie znajdowały się złożone drabiny oblężnicze, gotowe do użycia, kiedy wieżę uda się przysunąć do muru; główny jej cel polegał jednak na zapewnieniu ochrony robotnikom zajęтым wypełnianiem fosy. Doświadczenie zdobyte we wcześniejszych próbach szturmowania nauczyło sułtana, że fosa wciąż stanowiła przeszkodę i że należy zbudować przez nią solidne przejście. Cały dzień 18 maja jego ludzie pracowali przy budowie drogi nad fosą, a wieża stała nad nimi, na skraju rowu, na wprost wieży miasta, którą jego artyleria zburzyła. i z której mur spadł do rowu. Pomimo gwałtownego oporu zadanie o zmroku prawie ukończono. Część fosy wypełniono kawałkami muru, kamieniami, ziemią i faszyną, a wieżę przysunięto do tej grobli, aby wypróbować jej moc. Ale w nocy niektórzy obrońcy wymknęli się i wstawili beczki z prochem między materiał wypełniający fosę. Kiedy je zapalono, nastąpił wielki wybuch, a drewniana wieża zajęła się

plomieniem i runęła, zabijając znajdujących się na niej ludzi. Rankiem fosa znowu była już na wpół oczyszczona, a pobliski mur i palisada naprawione. Innym wieżom zbudowanym przez Turków równie się nie powiodło. Część ich została zniszczona, a resztę wycofano.

Takie sukcesy podtrzymywały na duchu chrześcijan. 23 maja przeżyli oni ostatnie dodające otuchy zdarzenie. Owego dnia, jak i w dniach poprzednich, Turcy usiłowali podłożyć minę pod mur Blachernos; ale w tym przypadku Grekom udało się otoczyć i pojmać pewną liczbę minerów, wśród nich starszego oficera. Na torturach wyjawił im, gdzie są umieszczone wszystkie tureckie miny. Grant mógł tedy zniszczyć je jedną po drugiej, tego i następnego dnia. Ostatnia z nich znajdowała się w podkopie, do którego wejście ukryto chytrze pod jedną z drewnianych wież sułtana; gdyby planów nie zdradzono, nigdy nie zostałaby wykryta. Od tego czasu Turcy zaprzestali działalności minerskiej.

W obozie tureckim uświadamiano sobie, że nieustanne napięcie towarzyszące garstce obrony działało na ich korzyść. Nadzwyczaj mało chrześcijan dotychczas padło, ale wielu było rannych, a wszyscy zmęczeni i głodni. Dostawy broni, szczególnie prochu, spadły bardzo nisko; żywności było mniej niż kiedykolwiek. A 23 maja, w dniu, kiedy miny przestały zagrażać, na chrześcijan spadł straszliwy cios. Tego popołudnia spostrzeżono łódź lawirującą w górę morza Marmara, ściganą przez statki tureckie. Początkowo myślano, że jest ona zwiastunem floty przybywającej z odsieczą. Była to jednak brygantyna, która wypłynęła przed dwudziestoma dniami na poszukiwanie Wenecjan. Krążyła tu i tam między wyspami na Morzu Egejskim, ale nie znalazła żadnych weneckich statków ani też nie usłyszała żadnych pogłosek o okrętach na pełnym morzu. Kiedy dalsze poszukiwania zdawały się bezcelowe, kapitan spytał marynarzy, jakie są ich życzenia. Jeden z nich rzekł, że nie ma sensu wracać do miasta, które prawdopodobnie jest już w rękach tureckich. Ale inni kazali mu milczeć. Jest ich obowiązkiem, oświadczyli, powrócić i zdać sprawę cesarzowi bez względu na to, czy wracają, by żyć, czy też, by umrzeć. Gdy stawili się przed cesarzem, ten zapłakał i podziękował im. Żadne mocarstwo europejskie nie przybywało, aby przyłączyć się do walki za chrześcijaństwo. Miasto, zdaniem cesarza, teraz może pokładać nadzieję jedynie w Chrystusie, Jego Matce i świętym Konstantynie, założycielu miasta.

Jednak i ta wiara miała być wystawiona na próbę. Pojawiały się znaki, że same niebiosy zwróciły się przeciwko miastu. Podczas tych dni każdy przypominał sobie prorocтва dotyczące kresu cesarstwa. Pierwszym chrześcijańskim cesarzem był Konstantyn, syn Heleny; ostatni będzie nazwany podobnie. Mężczyźni pamiętali również prorocтво, że miasto nigdy nie upadnie w czasie, gdy przybywa na niebie księżyc. Radowało to obrońców, kiedy stawiali czoło szturmowi w ciągu poprzedniego tygodnia. Ale 24 maja będzie pełnia księżycy, a wraz z ubywającym księżycem przyjdzie niebezpieczeństwo. W nocy pełni księżycy nastąpiło zaćmienie i trzy godziny ciemności. Prawdopodobnie nazajutrz, kiedy wszyscy obywatele wiedzieli już o wiadomości przekreślającej wszelkie nadzieje, a przyniesionej przez brygantynę i gdy zaćmienie jeszcze bardziej

osłabiło ich ducha, zanesiono ostatnie błaganie do Matki Boskiej. Jej najświętszą ikonę nieśli wierni na swych barkach przez ulice miasta i każdy, kto nie był niezbędny na murach, przyłączał się do procesji. Kiedy posuwano się z wolna i uroczyście, ikona nagle ześlizgnęła się z platformy, na której ją niesiono. Skoro mężczyźni rzucili się, aby ją podnieść, zdawało się, jak gdyby była zrobiona z ołowiu; tylko z największym wysiłkiem zdołano ją postawić na miejscu. Następnie, gdy procesja posuwała się dalej, rozszalała się nad miastem burza z piorunami. Stało się prawie niemożliwością wytrzymać pod lawiną gradu, a deszcz lał takimi strumieniami, że całe ulice były zalane i dzieci niemal porwane prądem. Trzeba było zrezygnować z procesji. Następnego dnia, jakby tych znaków nie było dosyć, całe miasto otuliła gęsta mgła, zjawisko nie znane na tych ziemiach w maju. Oblicze Boskie osłaniało się chmurą, ażeby ukryć swoje odejście z miasta.

Tejże nocy, kiedy mgła się podniosła, zauważono, iż dziwne światło połyskiwało wokół kopuły wielkiego kościoła. Mądrości Bożej. Widziano to na równi z obozu tureckiego, jak i przez obywateli; Turcy także byli zaniepokojeni. Nawet samego sułtana musieli uspokoić jego mędracy, którzy tłumaczyli znak jako wskazówkę, że światło prawdziwej wiary wkrótce oświetli świętą budowlę. Dla Greków i ich włoskich sprzymierzeńców taka pocieszająca interpretacja nie istniała.

Można było widzieć z murów również światła migocące w dalekiej okolicy poza obozem tureckim, gdzie nie powinno być żadnych świateł. Kilku pełnych nadziei wartowników twierdziło, że są to ogniska obozowe wojsk przybywających z Janem Hunyadim na ratunek oblężonym chrześcijanom. Ale żadna armia się nie pojawiała.. Dziwnych świateł nigdy nie wyjaśniono.

Teraz jeszcze raz ministrowie cesarza udali się do niego z błaganem, aby uchodził, póki to jeszcze możliwe, i zorganizował obronę chrześcijaństwa z jakiegoś bezpieczniejszego miejsca., gdzie mógłby znaleźć poparcie. Cesarz był tak znużony, że kiedy mówili do niego, zemdlał. Po odzyskaniu przytomności powiedział im raz jeszcze, że nie może porzucić swego ludu; umrze razem z nim.

Maj zbliżał się do końca; w ogrodach i żywopłotach róże obsypane były teraz kwieciami. Ale księżycyca ubywało, a mężczyźni i kobiety Bizancjum, starożytnego grodu, którego symbolem był księżyc, przygotowywali się na spotkanie klęski, jaka – a wszyscy o tym wiedzieli – wisiła nad nimi.





Rozdział 9

OSTATNIE DNI BIZANCJUM

Gasła nadzieja wśród chrześcijan. Ale również i w tureckim obozie panował pesymizm i powszechne uczucie zawodu. Oblężenie trwało już siedem tygodni, a jednak olbrzymia armia turecka ze swymi wspaniałymi machinami wojennymi osiągnęła bardzo mało. Obrona mogła być znużona i odczuwać brak ludzi i materiałów, a mury miasta były poważnie uszkodzone. Jednak ani jeden żołnierz jeszcze się przez nie nie przedostał. Wciąż istniało niebezpieczeństwo, że może nadejść pomoc z Zachodu. Agenci Mehmeda informowali go, że rozkazano flocie wypłynąć z Wenecji; były zaś pogłoski, iż dotarła ona nawet do Chios. Zawsze też istniała możliwość przekroczenia Dunaju przez Węgrów. We wczesnym okresie oblężenia przyjechało do obozu tureckiego poselstwo od Jana Hunyadiego i rzuciło myśl, że skoro Hunyadi przestał być regentem Węgier, to i rozejm, jaki podpisał na trzy lata z sułtanem, nie był dłużej wiążący. z Ponadto zaczął upadać duch wśród wojsk sułtana. Jego żeglarze ponieśli upokarzające porażki. Jego żołnierze dotąd nie odnieśli żadnych zwycięstw. Im dłużej miasto wymykało się z jego rąk, tym bardziej podupadał jego prestiż.

Na dworze stary wezyr Halil i jego przyjaciele wciąż odnosili się nieprzychylnie do całego przedsięwzięcia. Podejmując je, Mehmed poszedł wbrew ich radzie. Czy to możliwe, że mieli dane po temu? Częściowo, być może, po to, aby im pokazać, że nie jest nierozsądny, częściowo zaś, ażeby zaspokoić własne sumienie dobrego muzułmanina, który powinien uniknąć walki, chyba że niewierni uparcie odmawiają poddania, dość że sułtan uczynił ostatnią próbę nawiązania rokowań o pokój, choć byłby to pokój na jego własnych warunkach. W obozie sułtana był młody szlachcic imieniem Ismail, syn greckiego renegata, mianowanego wasalnym księciem Synopy. To był właśnie poseł, którego sułtan wysłał teraz do miasta. Ismail miał przyjaciół wśród Greków i zrobił, co można, aby im wyperswadować, że nie jest jeszcze za późno, aby się uratowali. Na jego nalegania wyznaczili oni wysłannika, który miał udać się wraz z nim do tureckiego obozu. Nazwiska tego człowieka nie zanotowano; wiemy jedynie, że nie zajmował wysokiego stanowiska i nie należał do jakiegoś znaczniejszego rodu. Traktowanie ambasadorów przez Mehmeda było, jak wiadomo, niepewne, toteż niewątpliwie uważano, że dla tak ryzykownej misji nie można poświęcać żadnego z dostojników. Mehmed przyjął jednak wysłannika dość uprzejmie; sułtan odesłał go ze zleceniem, iż odstąpi od oblężenia, jeżeli cesarz zobowiąże się płacić roczną daninę 100 000 złotych bezantów; albo – jeśli woli – obywatele mogą opuścić miasto z wszelkim majątkiem ruchomym i nikomu z nich nie wyrządzi się krzywdy. Kiedy ofertę przed-

łożono cesarskiej Radzie, jeden lub dwóch członków sądziło, że byłoby możliwe zyskanie na czasie, w zamian za obietnicę płacenia haraczu. Większość jednak wiedziała, że tak wielkiej daniny nigdy nie da się zebrać, a jeśli nie nadejdzie ona niezwłocznie, sułtan po prostu będzie nadal prowadził oblężenie; żaden zaś z członków Rady nie był skłonny teraz dopuścić do zajęcia przez Konstantynopol bez dalszych wysiłków. Możliwe, że – jak podają źródła tureckie – cesarz odpowiedział, ofiarując poddanie wszystkiego, co posiada, z wyjątkiem miasta, które faktycznie stanowiło jedyną jego pozostałą posiadłość. Na to sułtan odparł, że pozostał Grekom tylko wybór pomiędzy poddaniem miasta, śmiercią od miecza albo przejściem na islam.

Nieszczere pertraktacje odbyły się zapewne w piątek, 25 maja. W sobotę Mehmed zwołał swoją ściślejszą Radę. Wezyr Halil Pasza polegając na swej długiej i znakomitej służbie publicznej w przeszłości, powstał i zażądał, aby odstąpić od oblężenia. Nigdy nie pochwalał tej kampanii i wypadki pokazały, że miał rację. Turcy nie zrobili żadnych postępów; zamiast tego doznali upokarzających niepowodzeń. W każdej chwili księżęta Zachodu przyjdą na ratunek miasta. Wenecja już wysłała wielką flotę. Genua, jakkolwiek niechętnie, zmuszona będzie uczynić to samo. Niech sułtan zaofiaruje warunki, które byłyby do przyjęcia dla cesarza, i niech wycofa się, zanim nastąpią gorsze nieszczęścia. Czcigodny wezyr wzbudzał szacunek. Wielu jego słuchaczy, pamiętając, jak mało skuteczne okazały się tureckie okręty wojenne w walkach z chrześcijanami, musiało zdrzeć na samą myśl o wielkich flotach włoskich, rzucających się na nie. Ostatecznie sułtan jest tylko dwudziestojednoletnim chłopcem. Czy nie narażał na niebezpieczeństwo swego wielkiego dziedzictwa w porywczej brawurze młodości?

Następnie zabrał głos Zaganos Pasza. Nie lubił on Halila i wiedział, że sułtan podziela jego niechęć. Widząc we wzroku swego pana gniewną rozpacz, którą wywołała przemowa Halila, oświadczył, że nie daje wiary obawom wielkiego wezyra. Mocarstwa europejskie są zbyt zawzięcie skłócone między sobą, aby przedsięwziąć wspólną akcję przeciw Turkom; a nawet jeśli flota wenecka nadciąga, w co on nie wierzy, Turcy będą mieli przewagę liczebną nad nią w okrętach i ludziach. Mówił o wróżbach, które przepowiedziały zgubę chrześcijańskiego Cesarstwa. Mówił o Aleksandrze Wielkim, owym młodzieńcu, który z dużo mniejszą armią podbił pół świata. Należy przeć naprzód w ataku, nie myśląc o odwrocie. Wielu młodszych generałów wstało popierając Zaganosa; dowódca baszybuzuków szczególnie gwałtownie domagał się energiczniejszej akcji. Mehmed poweselał; to właśnie pragnął usłyszeć. Powiedział Zaganosowi, aby wyszedł pomiędzy wojska i zapytał, czego chcą. Zaganos wkrótce wrócił z upragnioną odpowiedzią. Każdy mąż, powiedział, obstawał przy tym, że należy przeprowadzić niezwłoczny atak. Wówczas sułtan ogłosił, że szturm odbędzie się natychmiast, gdy tylko można go będzie przygotować.

Od tej chwili Halil musiał wiedzieć, że dni jego są policzone. Był zawsze życzliwym przyjacielem chrześcijan, odznaczając się tolerancją pobożnego muzułmanina starszej szkoły, inaczej niż tacy parweniuszowscy renegaci, jak Zaganos i Mahmud. Czy rzeczywiście otrzymywał prezenty

od Greków, nie jest pewne. Ale jego wrogowie insynuowali obecnie, że tak było, a sułtan chętnie im wierzył.

Wiadomość o decyzji sułtana prędko dotarła do miasta. Chrześcijanie z jego obozu wypuszczali ponad murami strzały, w które owinięte były listy opisujące zebranie Rady.

Przez piątek i sobotę bombardowanie murów lądowych było cięższe niż kiedykolwiek. Wyrządzone szkody pomimo to szybko jednak naprawiono. Sobotniego wieczoru palisada była tak mocna, jak i przedtem. „Ale w ciągu nocy można było widzieć Turków w świetle ich ogni, jak przynoszą wszelkiego rodzaju materiały, aby solidnie wypełnić fosę, i jak wysuwają naprzód swe działa aż do platform, które wybudowali. W niedzielę bombardowanie skoncentrowało się na palisadzie w poprzek Mesoteichion. Trzy bezpośrednie strzały z wielkiego działa zwały jej część. Giustiniani, który nadzorował reperacje, został lekko ranny odłamkiem i wycofał się na parę godzin, kiedy opatrywano jego ranę. Wrócił na swój posterunek przed zapadnięciem nocy.

Tegoż dnia, 27 maja, sułtan objechał konno całą swą armię ogłaszając, że wielki szturm nastąpi bardzo prędko. Postępowali za nim heroldowie, zatrzymując się od czasu do czasu, aby obwieścić, że zgodnie z mahometańskim zwyczajem żołnierzom prawowiernym udzielone będą trzy dni, podczas których swobodnie będą mogli łupić miasto. Sułtan przysiągł na wiecznego Boga i jego Proroka, na cztery tysiące proroków i na duszę ojca i swych dzieci, że wszystkie skarby znalezione w mieście zostaną sprawiedliwie podzielone między wojsko. Obwieszczenie przyjęto okrzykami radości. Wewnątrz murów miejskich ludzie mogli usłyszeć, jak tłumy muzułmanów wołały w radosnym uniesieniu: „Nie ma Boga oprócz Boga, a Mohammed Jego Prorok.”

Tej nocy, podobnie jak sobotniej, ogniska i pochodnie oświetlały roje robotników sypiących coraz więcej materiału do fosy i gromadzących poza nią stosy broni. Owej nocy pracowali Turcy w najwyższym podnieceniu, krzycząc i śpiewając, a piszczałki i trąbki, fujarki i lutnie dodawały im animuszu. Płomienie były tak jaskrawe, że przez jeden pełen nadziei moment oblężeni sądzili, że obóz turecki zajął się ogniem, i pośpieszyli na mury, by zobaczyć pożogę. Kiedy uświadomili sobie, jaka jest prawdziwa przyczyna światła, mogli tylko uklęknąć i modlić się.

O północy, zupełnie nagle, praca ustała i wszystkie światła zgasły. Sułtan nakazał, że poniedziałek ma być dniem odpoczynku i pokuty, tak aby jego wojownicy mogli być przygotowani do ostatecznego szturmego wtorek. On sam spędził dzień na inspekcji wszystkich oddziałów i wydawaniu im rozkazów. Naprzód przejechał konno z wielką świtą przez most na Złotym Rogu i dalej aż do Podwójnych Kolumn, by zobaczyć się z admirałem Hamza Bejem. Hamzie kazano, by nazajutrz jego okręty rozciągnęły się wzdłuż zapory i dalej wokół całego miejskiego wybrzeża morza Marmara. Ludziom należy dać drabiny oblężnicze; powinni oni, gdziekolwiek to będzie możliwe – bądź z samych statków, bądź z małych łodzi – próbować wylądować i wdrzeć się na mury; albo też, jeśli to okaże się niewykonalne, przynajmniej tak symulować nieustanne ataki, ażeby nikt z obrony nie odważył się opuścić swego miejsca. Jadąc z powrotem

Mehmed wydał podobne rozkazy swym okrętom na Złotym Rogu, a następnie zatrzymał się na zewnątrz głównej bramy Pery i wezwał do siebie wyższych urzędników miasta. Kazał im surowo dopilnować, aby nikt z obywateli nie udzielał następnego dnia pomocy Konstantynopolowi. Jeśli nie posłuchają, ukarze ich natychmiast. Potem wrócił do swego namiotu, aby ukazać się znowu po południu, kiedy to konno przejechał wzdłuż całej długości murów na lądzie, rozmawiając z oficerami i wygłaszając mowy do ludzi rozrzuconych po całym obozie. 9 Kiedy zobaczył, że wszystko przebiega zgodnie z jego życzeniem, zwołał do swojego namiotu ministrów i dowódców armii i przemówił do nich.

Przemówienie to podaje nam historyk Kritobulos, który jak wszyscy wykształceni Bizantyńczycy żywo interesował się Tukidydesem i z tego względu wkładał w usta swych bohaterów mowy, jakie według niego wygłosili lub powinni byli wygłosić. Lecz chociaż słowa należą do historyka, oddają nam sens tego, co sułtan musiał powiedzieć. Przypomniał on zebranym o bogactwach, jakie jeszcze miasto w sobie mieściło, i o zdobyczy, jaka wkrótce do nich będzie należała. Przypomniał też, że zdobycie chrześcijańskiej stolicy stanowiło przez całe wieki święty obowiązek wierzącego mahometanina oraz że tradycje obiecywały powodzenie. Miasto nie jest nie do zdobycia, powiedział. Nieprzyjaciel jest nieliczny, wyczerpany i odczuwa brak broni i żywności; wrogowie kłócą się między sobą; Włosi na pewno nie chcieliby umierać za kraj, który nie jest ich krajem. Jutro, oświadczył, będzie wysyłał falami swoich ludzi do ataku, aż ze zmęczenia i rozpaczy obrońcy ustąpią. Zalecał oficerom, by wykazali męstwo i utrzymywali karność. Później kazał im pójść do swoich namiotów, aby odpoczęli i byli gotowi, kiedy nadejdzie sygnał ataku. Główni dowódcy zostali z nim, aby otrzymać ostatnie instrukcje. Admirał Hamza znał już przydzielone mu zadanie. Zaganos po dostarczeniu ludzi dla wsparcia marynarzy, którzy mieli uderzać na mury wzdłuż Złotego Rogu, miał resztę swej armii przeprowadzić przez most do szturm na Blachernos. Karadza Pasza znalazłby się wtedy od niego na prawo aż do Bramy Charyzjusza. Iszak i Mahmud z oddziałami azjatyckimi mieli atakować odcinek od Bramy Cywilnej Św. Romana aż do morza Marmara, skupiając się na obszarze wokół Trzeciej Bramy Wojskowej. Sam Sułtan z Halilem i Sarudżą poprowadzi główne natarcie, które pójdzie doliną Lykos. Wydawszy swe polecenia dowódcom, wyszedł, by zjeść wieczerzę i zażyć snu.

Przez cały dzień panowała dziwna cisza na zewnątrz murów. Nawet wielkie armaty milczały. Byli w mieście tacy, którzy twierdzili, że Turcy szykują się do odejścia, ale ich optymizm był tylko daremną próbą podniesienia samych siebie na duchu. Każdy wiedział, że w rzeczywistości nadszedł moment krytyczny. W ciągu kilku ostatnich dni wyczerpanie nerwowe obrońców ujawniło się w sprzeczkach i wzajemnych oskarżeniach pomiędzy Grekami, Wenecjanami i Genueńczykami. Zarówno Wenecjanom, jak i Grekom neutralność Pery podsuwała myśl, że żadnemu Genueńczykowi nie należy wierzyć. Buta Wenecjan obrażała i Genueńczyków, i Greków. Wenecjanie wyrabiali drewniane tarcze i okrycia w warsztatach swej własnej dzielnicy; Minotto kazał greckim

rzemieślnikom zanieść je na linie obronne przy Blachernos. Rzemieślnicy odmówili, dopóki nie zostaną zapłacony, nie z powodu chciwości, jak woleli myśleć Wenecjanie, ale ponieważ czuli się dotknięci takimi doraźnymi rozkazami od Włocha oraz dlatego, że naprawdę potrzebowali pieniędzy lub wolnego czasu, jeśli mieli znaleźć pożywienie dla swych głodnych rodzin. Niewielu Wenecjan miało swoje rodziny ze sobą, a kobiety i dzieci Genuńczyków żyły w dobrobycie w Perze. Włosi nigdy nie zdawali sobie sprawy z napięcia, które odczuwali Grecy na skutek pewności, iż żony ich i dzieci będą dzieliły ich los. Czasami bywały spory co do strategii. Skoro tylko stało się jasne, że nadchodzi wielki atak, Giustiniani zażądał od megaduksa Łukasza Notarasa, żeby przesunął znajdujące się pod jego komendą armaty do Mesoteichion, gdzie będzie potrzebne każde działo. Notaras odmówił. Uważał on, nie bez racji, że mury portu także będą atakowane, a już teraz nie były one należycie bronione. Padły gniewne słowa i zmęczony cesarz musiał interweniować. Giustiniani, zdaje się, postawił na swoim. Arcybiskup Leonard w swej nienawiści do prawosławnych twierdził, iż Grecy obawiali się, żeby zasługa obrony nie przypadła Łacinnikom, i że do tej pory byli markotni i nie wykazywali entuzjazmu. Wolał zapomnieć, że było tyluż Greków co i Włochów walczących w dolinie Lykos; jak również, że – jak sam przyznał – żaden Grek nie okazał braku zapłać, kiedy bój się rozpoczął.

Tego poniedziałku, zdając sobie w pełni sprawę, że wisi nad nimi kryzys, żołnierze i obywatele zapomnieli o swych urazach. Kiedy ludzie przy murach pracowali, naprawiając potrzaskane umocnienia, utworzyła się wielka procesja. W przeciwieństwie do ciszy w obozie tureckim, w mieście biły dzwony kościołów i rozbrzmiewały drewniane kołatki, gdy wnoszono na ramionach wiernych ikony i relikwie i obnoszono je po ulicach i wzdłuż całych murów, zatrzymując się, by pobłogosławić ich świętą obecnością te miejsca, gdzie szkody były największe i niebezpieczeństwo najgroźniejsze; postępujący zaś za nimi tłum – Grecy i Włosi, prawosławni i katolicy – śpiewał hymny i powtarzał *Kyrie Elejson*. Sam cesarz wyszedł, aby przyłączyć się do procesji, kiedy zaś się skończyła, zebrał swych dostojników i dowódców, greckich i włoskich, i przemówił do nich. Mowę jego zanotowali dwaj obecni, jego sekretarz Phrantzes i arcybiskup Mityleny. Każdy z nich zapisywał mowę cesarza na swój własny sposób, dodając pedantyczne aluzje i pobożne aforyzmy, aby nadać jej formę retoryczną, której według wszelkiego prawdopodobieństwa jej brakowało. Jednak ich relacje są dla nas dostatecznie zgodne, by poznać jej zasadniczą treść. Konstantyn powiedział słuchaczom, że wielki szturm ma się właśnie zacząć. Swym greckim poddanym rzekł, że człowiek powinien zawsze być gotów umrzeć albo za wiarę, albo za ojczyznę, albo za swą rodzinę, albo za swego władcę. Teraz jego naród musi być przygotowany na śmierć za wszystkie cztery sprawy. Mówił o sławie i wzniosłych tradycjach wielkiego cesarskiego miasta. Mówił o wiarołomności niewiernego sułtana, który sprowokował wojnę, ażeby zniszczyć prawdziwą wiarę i postawić swego fałszywego proroka w siedzibie Chrystusa. Przekonywał ich, by pamiętali, że są potomkami bohaterów starożytnej Grecji i starożytnego Rzymu, i aby byli godni swoich przodków. Ze swej strony,

powiedział, gotów jest umrzeć za wiarę, swoje miasto i swój naród. Następnie zwrócił się do Włochów, dziękując im za wielkie usługi, jakie oddali, i mówiąc o swym do nich zaufaniu w walce, która ma się toczyć. Błagał ich wszystkich, na równi Greków i Włochów, aby nie bali się ogromnych mas nieprzyjaciela i barbarzyńskich pomysłów z ogniami i hałasem, mających ich zatrwożyć. Niech duch ich będzie silny; niechaj będą mężni i nieugięci. Z Bożą pomocą będą zwycięscy.

Wszyscy obecni powstali i zapewnili cesarza, że są gotowi poświęcić za niego życie i ogniska domowe. Potem z wolna cesarz obszedł komnatę, prosząc każdego o przebaczenie, jeżeli mu kiedykolwiek wyrządził przykrość. Oni zaś poszli za jego przykładem, biorąc się wzajemnie w objęcia, jak to czynią ludzie oczekujący śmierci.

Dzień się prawie kończył. Tłumy posuwały się już w kierunku wielkiego kościoła Mądrości Bożej. Od pięciu miesięcy żaden pobożny Grek nie przekroczył jego portali, by nie słyszeć świętej liturgii sprofanowanej przez Łacinników i renegatów. Tego jednak wieczoru zawziętość się skończyła. Prawie każdy obywatel – z wyjątkiem żołnierzy na murach – przybył na to błagalne nabożeństwo. Kapłani, uważający unię z Rzymem za grzech śmiertelny, teraz przychodzili do ołtarza, aby odprawiać msze ze swymi unickimi braćmi. Był tam kardynał, a obok niego biskupi, którzy nigdy by nie uznali jego władzy; zewsząd przychodzili ludzie wyspowiadać się i przyjąć komunię, nie przywiązując wagi, czy udziela jej prawosławny, czy katolik. Włosi i Katalończycy mieszały się tam z Grekami. Złote mozaiki, usiane wizerunkami Chrystusa i jego świętych oraz cesarzy i cesarzowych Bizancjum, jaśniały w świetle tysiąca lamp i świec, a pod nimi po raz ostatni kapłani w swoich wspaniałych szatach poruszali się w uroczystym rytmie liturgii. W tej chwili istniała jedność w Kościele Konstantynopola.

Kiedy Rada cesarska została zwolniona, ministrowie i dowódcy przejechali przez miasto, by przyłączyć się do nabożeństwa. Po spowiedzi i komunii każdy udał się na swe stanowisko, zdecydowany zwyciężyć lub umrzeć.

Gdy Giustiniani i jego greccy i włoscy towarzysze przybyli na swe wyznaczone miejsca i przeszli przez mur wewnętrzny do zewnętrznego muru i palisady, wydano rozkazy, aby zamknięto za nimi bramy wewnętrznego muru, tak aby nie było żadnego odwrotu.

Później wieczorem sam cesarz podjechał na swej arabskiej kłaczce do wielkiego kościoła Mądrości Bożej i pojednał się z Bogiem. Potem wrócił ciemnymi ulicami do pałacu w Blachernos i zebrał swoich domowników. Ich także, podobnie jak to uczynił z ministrami, prosił o przebaczenie za wszelkie przykrości, jakie ich spotkały z jego strony, oraz pożegnał się z nimi. Dochodziła już prawie północ, gdy znowu dosiadł konia i przejechał w towarzystwie wiernego Phrantzesa wzdłuż murów, aby dopilnować, czy wszystko jest w porządku i czy bramy w wewnętrznym murze są pozamykane. W powrotnej drodze do Blachernos cesarz zsiadł z konia koło Bramy Kaligaryjskiej i zabrał ze sobą Phrantzesa na wieżę w najwyższym kącie muru Blachernos, skąd mogli rozejrzeć się mimo ciemności w obie strony; na lewo na Mesoteichion, a na prawo w dół na Złoty Róg. Poniżej

mogli słyszeć zgiełk: to nieprzyjaciel przeciągał swe działa po wypełnionej fosie. Jak powiedzieli im wartownicy, ożywienie trwało od zachodu słońca. W oddali można było dostrzec migocące światła: to tureckie okręty posuwały się przez Złoty Róg. Phrantzes pozostawał ze swym panem przez jakąś godzinę. Następnie Konstantyn pożegnał go i nigdy już się nie spotkali. Bój się zaczynał.





Rozdział 10

UPADEK KONSTANTYNOPOLA

Popołudnie w poniedziałek, 28 maja, było jasne i bezchmurne. Kiedy słońce zaczęło się zniżać do zachodniego horyzontu, świeciło wprost w twarze obrońców murów, prawie ich oślepiając. Właśnie wtedy obóz turecki poderwał się do działania. Ludzie tysiącami wysuwali się naprzód, by skończyć zasypywanie fosy, a tymczasem inni windowali w górę działa i maszyny wojenne. Niebo zachmurzyło się wkrótce po zachodzie słońca i przeszła krótkotrwała ulewa; ale praca trwała bez przerwy i chrześcijanie nie mogli nic zrobić, aby temu przeszkodzić. Około pół do drugiej nad ranem sułtan osądził, że wszystko jest gotowe, i wydał rozkaz natarcia.

Raptowny hałas był przerażający. Wzdłuż całej linii murów Turcy rzucili się do ataku, wrzeszcząc swe hasła bojowe, popędzani dźwiękiem bębnow, trąb i piszczałek. Wojska chrześcijańskie czekały w milczeniu, ale kiedy wartownicy na wieżach podnieśli alarm, kościoły w pobliżu murów zaczęły bić w dzwony i jeden kościół po drugim w całym mieście przejmował ostrzegawczy dźwięk, aż wreszcie rozbrzmiewała każda dzwonnica. Pięć kilometrów dalej, w kościele Mądrości Bożej, wierni wiedzieli, że bój się rozpoczął. Każdy mężczyzna zdolny do walki powrócił na swój posterunek; kobiety zaś, między nimi mniszki, pośpieszyły do murów, aby pomóc w noszeniu kamieni i belek do wzmacniania fortyfikacji oraz wiader z wodą dla pokrzepienia obrońców. Starcy i dzieci wyszli ze swych domów i tłoczyli się do kościołów, ufni, że święci i aniołowie ich ochronią. Niektórzy szli do swego kościoła parafialnego, inni do wysokiego kościoła Św. Teodozji nad Złotym Rogiem. We wtorek przypadało jej święto; budowla była przybrana różami zerwanymi z ogrodów i żywopłotów. Z pewnością nie opuści ona swych czcicieli. Inni wrócili do kościoła Mądrości Bożej, pamiętając stare proroctwo, które głosiło, że chociaż niewierni mogą przedrzeć się przez miasto wprost do świętego gmachu, ukaze się tam Anioł Pański i swym błyszczącym mieczem odpędzi ich na wieczne potępienie. przez całe godziny ciemności przed świtem wierni czekali i modlili się.

Na murach nie było czasu na modlitwę. Sułtan ułożył swoje plany starannie. Wbrew butnym jego słowom wypowiedzianym do armii, doświadczenie nauczyło go mieć respekt dla wroga. Najpierw chciał wyczerpać przeciwników, zanim zaangażuje w bitwie swe najlepsze wojska. Toteż właśnie formacje nieregularne, baszybuzuki, zostały przezeń pierwsze pchnięte naprzód. Było ich wiele tysięcy, awanturników z każdego kraju i różnych ras, dużo Turków, ale znacznie więcej z ziem chrześcijańskich, Słowian, Węgrów, Niemców, Włochów, a nawet Greków, wszystkich gotowych walczyć przeciwko swym chrześcijańskim

współwyznawcom, mając□ na uwadze żołąd, jaki im sułtan płacił, i łup, który im obiecał. Większość ich była zaopatrzona we własną broń, stanowiącą osobliwy zbiór bułatów i proc, łuków i trochę arkebuz, ale rozdzielono między nich wielką liczbę drabin oblężniczych. Na oddziałach tych nie można było polegać; znakomite w swym pierwszym porywie, łatwo zniechęcały się, jeżeli od razu nie uzyskały powodzenia. Znając tę ich słabość, Mehmed ulokował za nimi linie żandarmerii, zbrojnej w pasy i maczugi, która miała rozkaz popędzania ich oraz tłuczenia i chłostania każdego, kto zdradzał oznaki wahania. Za żandarmerią posuwali się przybocznicy janczarzy sułtana. Jeśli jakiś przestraszony baszybuzuk utorował sobie drogę przez żandarmów, janczarzy mieli go ściąć swymi krzywymi szablami.

Natarcie baszybuzuków prowadzono wzdłuż całej linii, ale silnie napierano tylko w dolinie Lykos. Gdzie indziej mury były jeszcze zbyt mocne; atakowano je głównie w celu odciągnięcia obrońców od przyjscia z pomocą kolegom na decydującym odcinku. Tam walka była zażarta. Baszybuzuki stawali tu przeciw żołnierzom dużo lepiej uzbrojonym i wyćwiczonym od nich samych, a poza tym przeszkodą była ich wielka liczba. Ciągłe jeden tłoczył się na drugiego. Miotane na nich kamienie mogły zabijać lub unieszkodliwiać wielu za jednym zamachem. Chociaż nieliczni usiłowali się cofnąć, większość trzymała się przyczepiając drabiny do murów i do palisady i wspinając się po nich po to tylko, aby ich wycięto, zanim dosięgli szczytu. Giustinianiego, jego Greków i Włochów zaopatrzone we wszystkie muszkiety i kolubryny, jakie można było znaleźć w mieście. Sam cesarz przyszedł, aby im dodać odwagi. Po dwóch prawie godzinach wielki Mehmed rozkazał baszybuzukom wycofać się. Zostali oni zatrzymani i odparci, ale osiągnęli swój cel polegający na zmęczeniu nieprzyjaciela.

Niektórzy z chrześcijan mieli nadzieję, że mógł to być tylko odosobniony atak nocny, zaplanowany dla wypróbowania ich sił, i wszyscy spodziewali się chwili wytchnienia. Nie była im ona dana. Zaledwie zdążyli przeformować linie i ułożyć z powrotem belki i beczki z ziemią na palisadzie, rozpoczął się drugi atak. Pułki Turków anatolijskich z armii Iszaka, łatwe do rozpoznania po specjalnych mundurach i napierśnikach, wysypały się masą w dół wzgórza spoza Bramy Cywilnej Św. Romana do doliny i obróciły się nagle w stronę palisady. I znowu dzwony kościołów w pobliżu murów zaczęły bić na alarm. Ale głos ich tonął w huku wielkiej armaty Urbana i jej towarzyszek, skoro rozpoczęły one na nowo walić w mury. W ciągu kilku minut Anatolijczycy ruszyli do szturm. W przeciwieństwie do oddziałów nieregularnych byli dobrze uzbrojeni i zdyscyplinowani; sami pobożni muzułmanie, żądni wstawienia się tym, że pierwsi wkroczą do chrześcijańskiego miasta. Przy dzikiej muzyce trębaczy i kobziarzy, dodającej im odwagi, rzucili się na palisadę, wspinając się jeden na ramiona drugiego i usiłując w ten sposób umocować drabiny do bariery i przerąbać się nad szczytem. W słabym świetle płomieni, przy chmurach wciąż zasłaniających księżyc, trudno było dojrzeć, co się dzieje. Anatolijczycy, podobnie jak przed nimi oddziały nieregularne, znajdowali się w niekorzystnym położeniu na tak wąskim froncie z powodu swych

wielkich mas. Zdyscyplinowanie i nieustępliwość pomnażały jedynie ich straty, kiedy obrońcy rzucali na nich z góry kamienie, spychali ich drabiny albo walczyli z nimi wręcz. Około godziny przed świtaniem, gdy ów drugi atak zaczynał się chwiać, kula z armaty Urbana padła wprost na palisadę, rozwalając ją na wielometrowym odcinku. Podniosła się chmura kurzu, skoro gruz i ziemia wyleciały w powietrze, a czarny dym od prochu oślepił obronę. Grupa trzystu Anatolijczyków rzuciła się naprzód przez utworzoną wyrwę krzycząc, że miasto należy do nich. Ale chrześcijanie, mając na czele cesarza, otoczyli ich i wybili większą część, resztę zaś zepchnęli w tył fosy. Opór zbił z tropu Anatolijczyków. Natarcie odwołano i wycofali się na swoje linie. Z okrzykami triumfu obrona raz jeszcze zabrała się do naprawiania palisady.

Nie mieli Turcy większego powodzenia i na innych odcinkach. Wzdłuż południowej części murów lądowych Iszak był w stanie wywierać dostateczny nacisk, by przeszkodzić obrońcom w przerzucaniu ludzi do doliny Lykos, ale skoro jego najlepsze oddziały odeszły, aby tam właśnie walczyć, nie mógł przypuścić poważnego ataku. Przy morzu Marmara Hamza Bej miał trudności w przesunięciu swych statków w pobliże brzegu. Kilka oddziałów desantowych, które zdołał wysłać, zostało z łatwością odpartych przez mnichów – im bowiem powierzono tam obronę – albo przez księcia Orchana i jego świtę. Manewrowano dla zmylenia przeciwnika wzdłuż całej linii Złotego Rogu, ale nie dokonywano prawdziwej próby natarcia. Dokoła dzielnicy Blachernos walka była bardziej zagorzała. Na niskim terenie przy przystani oddziały, które Zaganos przyprowadził przez most, wciąż atakowały, podobnie jak ludzie Karadza Paszy wyżej na zboczu. Jednak Minotto i jego Wenecjanie byli zdolni utrzymać swój odcinek przeciw Zaganosowi, a bracia Bocchiardo przeciw Karadży.

Mówiono, że sułtan oburzony był na niepowodzenie Anatolijczyków. Prawdopodobnie jednak jego plan taktyczny polegał na tym, aby oddziały Anatolijczyków, podobnie jak przedtem nieregularni, raczej wyczerpały nieprzyjaciela, niż same weszły do miasta. Obiecał wielką nagrodę pierwszemu żołnierzowi, który przedrze się z powodzeniem przez palisadę, i życzył sobie, aby ten zaszczyt przypadł w udziale jednemu z członków jego ulubionego pułku janczarów. Teraz nadszedł czas, ażeby oni wkroczyli do walki. Sułtan był niespokojny, albowiem jeżeli oni go zawiodą, prowadzenie nadal oblężenia może się okazać niemożliwe. Szybko wydał rozkazy. Zanim chrześcijanie mieli czas na pokrzepienie się i dokonanie zaledwie kilku pobieżnych napraw palisady, spadł na nich deszcz pocisków, strzał, oszczepów, kamieni i kul; pod tą osłoną janczarzy posuwali się naprzód, nie rzucając się dziko, jak to czynili baszybuzuki i Anatolijczycy, lecz utrzymując szeregi w doskonałym ordynku, nie rozbitym przez pociski nieprzyjaciela. Muzyka wojskowa, która ich popędzała, brzmiała tak głośno, że słyszeć ją było można wśród huku dział po drugiej stronie Bosforu. Sam Mehmed doprowadził ich aż do fosy i stał tam wykrzykując słowa zachęty, kiedy go mijali. Fala po fali tych świeżych, wspaniałych i mocno opancerzonych ludzi pędziła w górę do palisady, aby rozrywać wieńczące ją beczki z ziemią, rąbać belki, które ją podpierały, i

opierać o nią drabiny tam, gdzie nie można było jej zwalić. Każda fala bez paniki torowała drogę następnej. Chrześcijanie byli wyczerpani. Walczyli, z kilkuminutowym zaledwie wytchnieniem, przeszło cztery godziny, ale walczyli rozpaczliwie, wiedząc, że jeżeli ustąpią, będzie to koniec. Poza nimi w mieście dzwony kościelne znowu rozbrzmiewały, a głośny szmer modlitwy wznosił się ku niebu.

Bój wzdłuż palisady był teraz walką wręcz. Przez jakąś godzinę janczarzy nie mogli posunąć się naprzód. Chrześcijanie zaczęli myśleć, że napór trochę słabnie, lecz fatum sprzysięgło się przeciwko nim. W rogu muru Blachernos, tuż przed połączeniem się jego z podwójnym Murem Teodozjusza, znajdowała się na wpół ukryta przez wieżę mała brama wypadowa, znana jako Kerkoporta. Była, ona zamknięta od wielu lat; jednak starzy ludzie pamiętali o niej. Przed samym rozpoczęciem oblężenia otwarto ją na nowo, aby umożliwić wypadu na skrzydło nieprzyjaciela. Podczas walki Bocchiardowie i ich ludzie używali jej skutecznie przeciwko wojskom Karadża Paszy. Ale teraz ktoś powracający z wypadu zapomniał zaryglować za sobą małą bramę. Niektórzy Turcy zauważyli otwór i pośpieszyli przez niego na znajdujący się za nim dziedziniec, po czym zaczęli wspinać się po schodach prowadzących na szczyt muru. Chrześcijanie skupieni tuż za bramą spostrzegli, co się dzieje, i tłumnie cofnęli się, by z powrotem ją opanować i nie pozwolić innym Turkom iść za tamtymi. W zamieszeniu około 150 Turków pozostało wewnątrz muru, gdzie można było ich otoczyć i zniszczyć, gdyby w tejże chwili nie wydarzyło się gorsze nieszczęście.

Tuż przed wschodem słońca pocisk wystrzelony z bliska z kolubryny trafił Giustinianiego i przebił jego pancerz. Krwawiąc obficie i wyraźnie cierpiąc błagał swoich ludzi, by go zabrali z pola bitwy. Jeden z nich poszedł do cesarza, który walczył w pobliżu, z prośbą o klucz do małej bramy, prowadzącej przez wewnętrzny mur. Konstantyn pośpieszył do niego, aby prosić go, by nie opuszczał swej placówki. Lecz Giustiniani załamał się nerwowo i nalegał na ucieczkę. Otwarto bramę i jego straż przyboczna przeniosła go do miasta, ulicami do portu, gdzie umieszczono go na genueńskim okręcie. Oddziały zauważyły odejście Giustinianiego. Niektórzy z obrońców genueńskich mogli sądzić, że wycofał się, ażeby bronić muru wewnętrznego, jednak większość doszła do wniosku, że bitwa jest przegrana. Ktoś krzyknął w przerażeniu, że Turcy przeszli mur. Zanim zdążono zamknąć bramę na nowo, Genueńczycy przebiegli przez nią na oślep. Cesarz i jego Grecy pozostali sami na placu boju.

Spoza fosy sułtan dostrzegł panikę. Wołając: „Miasto jest nasze” – kazał janczarom znowu szarżować i skinął na kompanię prowadzoną przez olbrzyma imieniem Hasan. Hasan przerabiał się po szczycie połamanej palisady i uważano, że to on zdobył przyrzeczoną nagrodę. Ze trzydziestu Turków szło za nim. Grecy ich odpierali. Hasana powalił na kolana cios kamieniem i został zabity; siedemnastu jego kolegów zginęło wraz z nim. Reszta jednak utrzymała swe pozycje na palisadzie, a następni janczarzy tłoczyli się, aby się do nich przyłączyć. Grecy opierali się wytrwale. Liczebniejsze siły nieprzyjaciela zmusiły ich jednak do cofania się w kierunku muru wewnętrznego. Przed nim znajdował się drugi rów,

miejscami pogłębiony skutek wybierania ziemi do umacniania palisady. Liczni Grecy zmuszeni byli cofnąć się właśnie w te wgłębienia i nie mogli łatwo wygramolić się z nich, mając za sobą wznoszący się wielki mur wewnętrzny. Turcy, którzy teraz znajdowali się na szczycie palisady, strzelali do nich i masakrowali ich. Niebawem wielu janczarów dotarło do wewnętrznego muru i wspięło się nań nie napotykając oporu. Nagle ktoś spojrział w górę i zobaczył tureckie chorągwie powiewające na wieży nad Kerkopoportą. Podniósł się krzyk: „Miasto wzięte.”

Kiedy cesarz przekonywał Giustinianiego, zameldowano mu o wejściu Turków przez Kerkopoportę. Od razu tam pojechał, lecz przybył za późno. Panika rozszerzyła się wśród niektórych Genuńczyków. W zamieszaniu nie można było zamknąć bramy. Turcy wlewali się przez nią, a ludzi Bocchiardów było teraz za mało, by ich wyprzeć. Konstantyn zawrócił konia i pogalopował z powrotem do doliny Lykos i wyłomów w palisadzie. Był z nim rycerski Hiszpan, uważający się za jego kuzyna, Don Francisco z Toledo, oraz prawdziwy kuzyn Teofil Paleolog i wierny towarzysz broni Jan Dalmata. Razem próbowali zebrać koło siebie Greków – na próżno; masakra była zbyt wielka. Zsiedli więc z koni i przez kilka minut we czwórkę bronili przystępu do bramy, przez którą wyniesiono Giustinianiego. Ale obrona była już obecnie złamana. W bramie tłoczyli się chrześcijańscy żołnierze, próbujący ująć, gdy coraz więcej janczarów wpadało na nich. Teofil zawołał, że umrze raczej, niżby miał żyć, i zniknął w nadciągających hordach. Sam Konstantyn wiedział teraz, że Cesarstwo jest stracone, i nie pragnął go przeżyć. Zrzucił z siebie swe cesarskie insygnia i – wciąż z Don Francisco i Janem Dalmatą u boku – ruszył za Teofilem. Nigdy go więcej nie widziano.

Okrzyk, że miasto jest stracone, rozlegał się echem przez ulice. Ze Złotego Rogu i jego brzegów chrześcijanie na równi z Turkami mogli widzieć tureckie flagi powiewające na wysokich wieżach Blachernos, gdzie zaledwie przed kilkoma minutami powiewał orzeł cesarski i lew św. Marka. Tu i tam bitwa trwała nadal przez chwilę. Na murach koło Kerkopoorty bracia Bocchiardo ze swymi ludźmi walczyli jeszcze, ale wkrótce zdali sobie sprawę, że nic więcej nie da się zrobić. Wobec tego przerabali się przez nieprzyjaciela w dół do Złotego Rogu. Paolo został pojmany i zabity, natomiast Antonio i Troilo dotarli do genueńskiej łodzi, która ich przewiozła, nie zauważona z tureckich okrętów, na drugą stronę w bezpieczne miejsce w Perze. Na ich skrzydle, w pałacu Blachernos, Minotto i jego Wenecjanie zostali otoczeni. Wielu zabito; sam burmistrz i jego czołowi dostojnicy dostali się do niewoli.

Sygnaly obwieszczające wejście przez mury rozbrły wśród całej tureckiej armii. Statki tureckie na Złotym Rogu pośpiesznie wysadzały na przybrzeżu na ląd swoich ludzi, którzy atakowali mury portowe. Napotkali oni niewielki opór z wyjątkiem pozycji przy Bramie Horaia, blisko dzisiejszego Ajwan Seraju. Tam kompanie z dwóch okrętów kreteńskich zatarasowały się w trzech wieżach i odmówiły poddania. Gdzie indziej Grecy uciekali do swych domów w nadziei uchronienia rodzin, Wenecjanie zaś uciekli na swoje okręty. Niedługo trwało, by kompania Turków przebiła się przez Bramę Plataea u stóp doliny, nad którą wciąż górował

wielki Akwedukt Walensa. Inna kompania przeszła przez Bramę Horaia. Gdziekolwiek wkroczyli Turcy, wysyłano oddziały wzdłuż i wewnątrz murów, by otwierały inne bramy dla kolegów, którzy czekali na zewnątrz. W sąsiedztwie, miejscowi rybacy widząc, że wszystko stracone, sami otworzyli bramy dzielnicy Petriion, otrzymawszy obietnicę, że ich domy zostaną oszczędzone.

Wzdłuż odcinka murów na lądzie na południe od doliny Lykos chrześcijanie odparli wszystkie tureckie ataki. Teraz jednak pułk po pułku wkraczał przez wyłomy w palisadzie i rozwijał się w obie strony, by otworzyć wszystkie bramy. Żołnierze na murach przekonali się, że są okrążeni. Wielu zabito, gdy próbowali wymknąć się z pułapki, ale większość dowódców, między nimi Filippo Contarini i Demetrios Kantakuzen, została pojmana żywcem.

Opodal brzegu morza Marmara okręty Hamza Beja również dostrzegły sygnały i wysłały desanty na mury. W Studion i Psamathii, jak się zdaje, nie spotkały żadnego oporu. Obrońcy poddali się od razu w nadziei, że ich domy i kościoły unikną rabunku. Na lewo od nich książe Orchan i jego Turcy wciąż walczyli, wiedząc, jaki los ich czeka, jeśli wpadną w ręce sułtana, a Katalończycy, zajmujący stanowiska poniżej Starego Pałacu Cesarskiego, opierali się, dopóki ich wszystkich nie pojmano lub zabito. Na Akropolu kardynał Izydor osądził, iż roztropnie będzie opuścić swój posterunek. Przebrał się i usiłował się wymknąć.

Sułtan trzymał przy sobie niektóre ze swych pułków, aby działały jako jego eskorta i jako żandarmeria wojskowa. Jednak większość jego wojsk miała już ochotę na rozpoczęcie grabieży. Marynarze byli szczególnie niecierpliwi bojąc się, że ubiegną ich żołnierze. Spodziewali się, że zaporą przeszkodzi chrześcijańskim okrętom wyrwać się z portu i że będą mogli zdobyć je w dowolnym czasie, wobec czego opuścili swe statki, aby wdrapać się na wybrzeże. Chciwość ich ocaliła życie wielu chrześcijan. O ile pewna liczba greckich i włoskich żeglarzy, między innymi sam Trevisano, została wzięta do niewoli, zanim zdążyła wycofać się z murów, inni zdołali dołączyć do części załóg, pozostawionej na ich okrętach, bez przeszkód ze strony Turków, i przygotować okręty do bitwy, jeśli zajdzie potrzeba. Jeszcze innym udało się wdrapać na okręty, zanim odpłynęły, albo dopłynąć do nich, jak to uczynił Florentyńczyk Tetaldi. Gdy Alvisio Diedo, dowódca floty, zobaczył, że miasto padło, popłynął małą łodzią do Pery, aby zapytać tamtejsze władze genueńskie, czy zamierzają one doradzać swym genueńskim ziomkom pozostanie w porcie i walkę, czy też wypłynięcie na pełne morze. Jego weneckie okręty, jak obiecał, będą współdziałały i podporządkują się każdej decyzji, jaką władze te powezmą. Podesta Pery zalecał, by słać do sułtana poselstwo z zapytaniem, czy wypuści on wolno wszystkie okręty, czy też zaryzykuje wojnę z Genuą i Wenecją. Rada nie była chyba wykonalna w takiej chwili; tymczasem jednak podesta zamknął bramy Pery i Diedo, z którym był pamiętnikarz Barbaro, nie mógł przedostać się do swych okrętów. Ale genueńscy żeglarze znajdujący się na okrętach zakotwiczonych pod murami Pery przekazali wiadomość, że zamierzają odpłynąć i pragną mieć poparcie Wenecjan. Na ich naleganie Diedo dostał pozwolenie odjazdu swą łodzią.

Popłynął wprost do zapory, wciąż jeszcze zamkniętej. Dwaj jego marynarze przerabali siekierami pasy, które przytwierdzały zaporę do murów Pery, i zapora zdryfowała na swych pływakach. Dając znaki statkom w porcie, aby szły w ślad za nim, Diedo przeżegłował przez wyrwę. Siedem genueńskich statków z Pery popłynęło tuż za nim, a wkrótce potem dołączyła do nich większość weneckich okrętów wojennych, cztery lub pięć cesarskich galer i jeden albo dwa wojenne okręty genueńskie. Wszystkie czekały tak długo, jak tylko było to możliwe, aby wyławiać płynących do nich uchodźców, a kiedy przeszły przez zaporę, cała flotylla pozostała przez jakąś godzinę u wejścia do Bosforu, żeby stwierdzić, czy i innym statkom nie uda się wymknąć. Następnie wykorzystano wiejący silny wiatr północny, by pożegłować morzem Marmara i przez Dardanele na wolność.

Statki Hamza Beja opuściło tylu marynarzy gorączkowo spieszących na rabunek, że był on bezsilny, jeśli chodzi o zablokowanie ucieczki floty Diedo. Z tymi statkami, które miały jeszcze załogę, wpłynął przez przerwana zaporę na Złoty Róg. Tam w porcie złapał w potrzask statki, które pozostały: dalsze cztery lub pięć cesarskich galer, dwie albo trzy galery genueńskie oraz wszystkie nieuzbrojone weneckie statki handlowe. Większość z nich była zatłoczona przez uchodźców tak dalece ponad swą wytrzymałość, że nie byłyby nigdy zdolne wypłynąć na otwarte morze. Trochę małych łodzi potrafiło jednak prześliznąć się do Pery. Ale w pełnym świetle dziennym już nie było łatwo wymknąć się Turkom. Około południa cały port i wszystko, co się w nim znajdowało, było w rękach zdobywców.

Pozostawało jedno małe gniazdo oporu w mieście. Kreteńscy żeglarze na trzech wieżach w pobliżu wejścia do Złotego Rogu wciąż się trzymali i nie można ich było wyprzeć. Wczesnym popołudniem widząc, że są całkowicie izolowani, niechętnie poddali się oficerom sułtana pod warunkiem, że ich życie i mienie pozostaną nietknięte. Dwa ich okręty były wyciągnięte na brzeg poniżej wież. Pozostawieni w spokoju przez Turków, których zdobyli podziw, spuścili statki na wodę i odpłynęli na Kretę.

Już od wielu godzin sułtan Mehmed wiedział, że wielkie miasto jest jego. Przecież o świcie jego ludzie przedarli się przez palisadę, a wkrótce potem, kiedy ubywający księżyc stał jeszcze wysoko na niebie, on sam przyszedł obejrzeć wyłom, przez który się wdarli. Ale czekał aż do popołudnia. Kiedy minęły już chwile pierwszych okrucieństw rzezi i rabunku oraz przywrócono jaki taki porządek, triumfalnie wkroczył do miasta. Najpierw udał się do namiotu, gdzie przyjął delegację przestraszonych obywateli i podestę Pery, który stawił się osobiście. Sułtan pragnął także stwierdzić, jaki jest los cesarza. To jednak nigdy nie było bezspornie wiadome. Później wśród włoskich kolonii lewantyńskich krążyła opowieść, że dwaj tureccy żołnierze przypisujący sobie, iż zabili Konstantyna, przynieśli sułtanowi głowę, którą obecni przy tym wzięci do niewoli dworzanie poznali jako głowę swego pana. Mehmed na razie ustawił ją na kolumnie na Forum Augusta, następnie wypchał ją i wysłał w celu wystawienia na czołowych dworach świata islamu. Pisarze obecni przy upadku miasta opowiadali inne historie. Barbaro informował, że

pewni ludzie utrzymywali, iż widzieli ciało cesarza wśród stosu zabitych, ale inni twierdzili, że nigdy nie było ono odnalezione. Florentyńczyk Tetaldi pisał podobnie, że niektórzy mówili, iż głowa jego była odcięta, a inni, że skonał przy bramie po powaleniu na ziemię. Dodaje, że oba opowiadania mogą być prawdziwe, albowiem cesarz na pewno skonał w ciżbie, a Turcy ścinali głowy większości trupów. Oddany przyjaciel cesarza Phrantzes próbował zdobyć więcej szczegółów, ale dowiedział się jedynie, że kiedy sułtan nakazał poszukiwanie ciała, pewną liczbę trupów i głów umyto w nadziei zidentyfikowania go. W końcu znaleziono ciało z orłem wyhaftowanym na skarpetach i wytłoczonym na nagolennikach. Przyjęto je za jego ciało; sułtan zaś dał je Grekom, by je pogrzebali. Sam Phrantzes nie widział go i trochę wątpił, czy rzeczywiście było to ciało jego pana; nie mógł też odnaleźć miejsca, gdzie zostało pogrzebane. W późniejszych stuleciach pokazywano pobożnym bezimienny grób w dzielnicy Vefa jako miejsce spoczynku cesarza. Jego autentyczności nigdy nie dowiedziono i obecnie jest on zaniedbany i zapomniany.

Jakiekolwiek mogły być szczegóły, sułtan Mehmed był zadowolony, że cesarz nie żyje. Teraz był on nie tylko sułtanem, ale też dziedzicem i władcą starożytnego imperium rzymskiego.





Rozdział 11

LOS ZWYCIĘŻONYCH

Od czasów kalifa Omara i pierwszych wielkich podbojów za wiarę tradycja mahometańska nakazywała właściwe traktowanie podbitych narodów. Jeżeli jakieś miasto lub okręg poddaje się dobrowolnie zdobywcy, nie ma być złupione, chociaż może być zmuszone do zapłacenia odszkodowania, a jego chrześcijańscy i żydowscy mieszkańcy mogą zatrzymać swe świątynie podlegające pewnym przepisom dotyczącym samych budynków. Nawet jeśli kapitulacja spowodowana jest skrajną koniecznością, gdyż obrona nie może utrzymać się dłużej, regułę uważa się jednak za wiążącą, jakkolwiek zdobywca ma teraz prawo domagać się surowszych warunków, wymuszając cięższe grzywny i żądając ukarania swych bardziej nieubłaganych wrogów. Ale kiedy miasto wzięte jest szturmem, jego mieszkańcy nie mają żadnych praw. Zdobywczej armii wolno przez trzy dni grabić bez ograniczenia, a dawniejsze świątynie oraz wszelkie inne budynki stają się własnością zwycięskiego wodza; może nimi rozporządzać, jak mu się podoba.

Sułtan Mehmed zezwolił żołnierzom na trzydniowy rabunek, do którego byli uprawnieni. Tłumnie napływali do miasta. Kiedy pierwsze oddziały przedarły się przez mury, sułtan domagał się pewnej dyscypliny. Pułki wkraczały jeden po drugim przy dźwięku muzyki i z rozwiniętymi sztandarami. Ale skoro tylko żołnierze znaleźli się w mieście, wszyscy połączyli się w dzikiej pogoni za łupem. Z początku nie mogli uwierzyć, że miasto przestało się bronić. Zabijali każdego, kogo spotkali na ulicach, bez różnicy mężczyzn, kobiety i dzieci. Krew płynęła strumieniami w dół stromych ulic od wzniesienia Petry ku Złotemu Rogowi. Niebawem jednak żądza mordu została zaspokojona. Żołnierze uświadomili sobie, że jeńcy i cenne przedmioty przyniosą im większą korzyść.

Spośród żołnierzy, którzy przeszli przez palisadę albo przez Kerkoportę, wielu zmieniło kierunek, aby splądrować cesarski pałac w Blachernos. Pokonali oni tamtejszy wenecki garnizon i zaczęli rabować wszelkie skarby pałacu, pałac księgi i ikony, skoro tylko udało im się oderwać od nich ozdobione klejnotami oprawy i ramy, i rąbiąc mozaiki i marmury na ścianach. Inni udali się do małych, lecz wspaniałych kościołów pod murami – Św. Jerzego przy Bramie Charyzjusza, Św. Jana w Petra i ślicznego klasztornego kościoła Zbawiciela w Chora, ażeby ograbić je z ich zasobów drogocennych naczyń i szat liturgicznych oraz wszystkiego, co się dało zedrzeć. W kościele w Chora pozostawili nie uszkodzone mozaiki i freski, ale zniszczyli ikonę Matki Boskiej, Hodigitria, najświętszy obraz w całym Bizancjum, malowany – jak mówiono, – przez samego św. Łukasza. Obraz ten przeniesiono tam na

początku oblężenia z jego własnego kościoła przy pałacu, tak iżby z jego dobroczynnej obecności tuż obok obrońcy mogli czerpać natchnienie. Wyrwano go z oprawy i przecięto na czworo. Potem żołnierze popędzili naprzód, jedni, by wpaść do pobliskich domów, inni w stronę bazarów i wielkich budynków we wschodniej części miasta.

Marynarze ze statków na Złotym Rogu wkroczyli już przez Bramę Plataea i opróżniali magazyny leżące wzdłuż murów. Wkrótce niektórzy z nich napotkali patetyczną procesję kobiet posuwających się w kierunku kościoła Św. Teodozji, aby modlić się o jej opiekę w tym dniu jej święta. Kobiety zostały okrażone i rozdzielone między zdobywców, którzy z kolei ruszyli dalej, aby złupić obsypany różami kościół i zabrać stamtąd wiernych. Inni wspięli się na wzgórze i wraz z żołnierzami z murów plądrowali potrójny kościół Pantokratora i budowle klasztorne z nim związane oraz sąsiedni kościół Pantopoptos. Jeszcze inni, którzy weszli przez Bramę Horaia, zatrzymywali się, by obrabować dzielnicę bazarów, zanim wspięli się w górę w stronę Hipodromu i Akropolu. Marynarze z okrętów na morzu Marmara przedostali się tymczasem przez Stary Święty Pałac. Sale jego były opuszczone i na wpół zrujnowane ale istniały tam jeszcze wspaniałe kościoły, takie jak Nowa Bazylika, którą Bazyli I zbudował prawie przed pięcioma wiekami. Wszystkie zostały doszczętnie ograbione. A potem marynarze obu flot i niektórzy żołnierze z murów na lądzie podążyli do największego kościoła, w całym Bizancjum, do kościoła Mądrości Bożej.

Kościół był jeszcze zatłoczony wiernymi. Nabożeństwo skończyło się i śpiewano jutrznię. Na dźwięk wrzawy na zewnątrz zamknięto olbrzymie brązowe wrota budynku. Wewnątrz wierni modlili się o cud, który jedynie mógł ich uratować. □Modlili się na próżno. W niedługim czasie rozwalono drzwi. Wierni znaleźli się w pułapce. Część starców i kalek zabito natychmiast, większość jednak związano razem łańcuchami. Zrywano z kobiet welony i szarfy, by służyły za sznury. Co ładniejsze dziewczęta i chłopców oraz licznych bardziej bogato ubranych patrycjuszki rozszarpano niemal na śmierć, kiedy ich zdobywcy kłócili się o nich. Niebawem długą procesję przypadkowo dobranych małych grup mężczyzn i kobiet, ciasno z sobą powiązanych, zaciągnięto do żołnierskich biwaków, gdzie znów wrzała o nich bójka. Kapłani' w dalszym ciągu śpiewali u ołtarza, aż i ich także zabrano. Jednak w ostatniej chwili, jak wierzyli wierni, kilku z nich chwyciło najświętsze naczynia i przeszło przez południową ścianę sanktuarium. Otworzyła się ona i zamknęła za nimi; i tam pozostaną, dopóki święta budowla nie stanie się na nowo kościołem.

Grabież ciągnęła się cały dzień. Wkraczano do klasztorów i konwentów i okrażano ich mieszkańców. Niektóre z młodszych mniszek wołały męczeństwo niż hańbę i rzucały się do studni, gdzie znajdowały śmierć, ale zakonnicy i starsze mniszki – posłuszni teraz starej tradycji bierności Kościoła prawosławnego – nie stawiali oporu. Prywatne domy łupiono systematycznie; każda plądrująca grupa pozostawiała u wejścia małą chorągiewkę, by wskazać, że dany dom został doszczętnie opróżniony. Mieszkańców zabierano razem z ich dobytkiem. Kto się załamał wskutek słabości, był mordowany razem z pewną liczbą niemowląt, które uważano

za bezwartościowe; lecz na ogół życie obecnie darowywano. Istniały jeszcze w mieście wielkie biblioteki, niektóre świeckie, dużo więcej jednak klasztornych. Większość ksiąg spalono; jednak niektórzy Turcy byli dość bystrzy, by uznać je za przedmioty możliwe do zbycia; ci ocalili pewną ich liczbę i później sprzedawali je za kilka groszy każdemu, kto mógł się nimi zainteresować. W kościołach dochodziło do gorszących scen. Wynoszono wiele wysadzanych klejnotami krucyfiksów, nakładając na nie na bakier tureckie turbany. Liczne budynki uszkodzono tak, że nie można było ich naprawić.

Pod wieczór niewiele pozostało do splądrowania i nikt nie protestował, kiedy sułtan ogłosił, że grabież ma teraz ustać. Żołnierze mieli dość zajęcia w ciągu dni następnych: dzielenie łupów i obliczanie jeńców. Mówiono, że było ich około 50 000, w tym tylko 500 żołnierzy. Reszta armii chrześcijańskiej zginęła oprócz niewielu ludzi, którzy umknęli morzem. Liczba zabitych, włączając w to cywilne ofiary masakry, dochodziła – jak mówiono – do 4000.

Sam sułtan wjechał do miasta późnym popołudniem. W otoczeniu swej najlepszej gwardii janczarów, mając za sobą ministrów, jechał stępą przez ulice do kościoła Mądrości Bożej. Przed jego wrotami zsiadł z konia i schylił się, by wziąć garść ziemi, którą posypał swój turban jako akt pokory wobec swego Boga. Wszedł do kościoła i przez chwilę stał w milczeniu. Następnie, idąc w stronę ołtarza, zauważył tureckiego żołnierza próbującego wyrąbać kawał marmurowej posadzki. Z gniewem zwrócił się do niego mówiąc, że pozwolenie na rabunek nie obejmuje niszczenia budynków, które zarezerwował dla siebie. Było jeszcze trochę Greków skulonych po kątach: Turcy nie zdążyli ich powiązać i zabrać. Sułtan rozkazał, by wolno im było wrócić w spokoju do swoich domów. Z kolei kilku kapłanów wyszło z tajnych przejść za ołtarzem i błagało go o litość. Tych również odesłał pod swoją opiekę. Uparł się jednak, by kościół został od razu przekształcony w meczet. Jeden z jego ulemów wspiał się na ambonę i ogłosił, że nie ma Boga prócz Allacha. Potem sam sułtan wszedł na płytę ołtarza i złożył głęboki pokłon swemu zwycięskiemu Bogu.

Opuściwszy kościół sułtan przejechał przez plac do Starego Świętego Pałacu. Powiadano, że chodząc po jego na wpół zrujnowanych salach i galeriach mówił półgłosem słowa perskiego poety: „Pająk przedzie zasłony w pałacu cesarów; sowa z krzykiem stróżuje na wieżach Afrasiaba.”

W miarę posuwania się sułtana przez miasto przywracano porządek. Armia była syta zdobyczy i żandarmeria pilnowała, żeby ludzie wrócili do swych biwaków. Sułtan pojechał z powrotem do swojego obozu przez spokojne ulice.

Nazajutrz rozkazał, by cała nagromadzona zdobycz została mu przedstawiona, i wybrał z niej część, do której jako wódz miał prawo; przypilnował też, aby sprawiedliwą część łupu przydzielono tym jego oddziałom, którym obowiązki nie pozwoliły na uczestniczenie w rabunku. Dla siebie zatrzymał wszystkich wziętych do niewoli członków wielkich rodzin bizantyńskich oraz tych wysokich urzędników, którzy przeżyli masakrę. Zwolnił od razu większość dam z arystokracji, dając im pieniądze, aby mogły wykupić swoje rodziny, jednak zatrzymał ich

najpiękniejszych młodych synów i córki dla własnego seraju. Wielu innym młodzieńcom zaofiarował wolność i szarże oficerskie w swojej armii pod warunkiem, że wyrzekną się swej religii. Kilku z nich odstąpiło od wiary; większość jednak wołała przyjąć sankcje karne za wierność Chrystusowi. Wśród greckich jeńców odkrył on Łukasza Notarasa, megaduksa, oraz jakichś dziewięciu innych spośród cesarskich ministrów. On sam wykupił ich z rąk tych, którzy ich pojмали, i przyjął łaskawie, uwalniając megaduksa i dwóch lub trzech innych. Jednak wielu jeszcze urzędników Konstantyna, między innymi Phrantzes, nie zostało zidentyfikowanych i pozostało w niewoli.

Nie okazano takiej litości jeńcom włoskim. Minotto, wenecki burmistrz, został zabity wraz z jednym z synów i siedmioma jego wybitnymi ziomkami. Wśród nich znajdował się Catarino Contarini, którego już wykupiono od oddziałów Zaganosa Paszy, ale ponownie wzięto do niewoli i zażądano 7000 sztuk złota za jego wypuszczenie. Była to suma, jakiej żaden z jego przyjaciół nie mógł zapłacić. Konsula katalońskiego, Péré Julia, również stracono z pięcioma lub sześcioma jego katalońskimi rodakami. Arcybiskup Leonard dostał się do niewoli, ale go nie poznano, i wkrótce wykupili go kupcy z Pery, którzy pośpieszyli do tureckiego obozu, by ratować genueńskich ziomków. Kardynał Izydor miał jeszcze więcej szczęścia. Pozbył się swych szat kapłańskich, dając je jakiemuś żebrakowi i włożył zamiast nich żebracze łachmany. Żebraka pojmano i zabito, a jego głowę okazywano jako głowę kardynała, gdy tymczasem Izydor został sprzedany po prostu za grosze pewnemu kupcowi z Pery, który go poznał. Turecki książę Orchan także próbował uciec w przebraniu; pożyczzył habit greckiego mnicha, żywiąc nadzieję, że doskonała znajomość greckiego ocali go przed podejrzeniem. Został jednak ujęty i wydany przez współjeńca; natychmiast też go ścięto.

Genueńska galera, dokąd zanesiono ранego Giustinianiego, należała do tych, którym udało się ująć ze Złotego Rogu. Wysadzono go na ląd w Chios i tam zmarł w dzień lub dwa później. Dla własnych rodaków pozostał bohaterem, ale Grecy i Wenecjanie, chociaż wielce podziwiali jego energię, dzielność i dowodzenie w ciągu oblężenia, uważali, że w końcu okazał się dezertorem. Powinien był mieć odwagę stawić czoło bólowi i śmierci raczej, niż narażać obronę na całkowite załamanie się przez swą ucieczkę. Nawet wielu Genueńczyków odczuwało wstyd za niego. Arcybiskup Leonard z goryczą potępiał go za jego niewczesny paniczny strach.

Los jeńców greckich był rozmaity. Po trzech dniach, kiedy skończył się urzędowy okres plądrowania, sułtan ogłosił, że Grecy, którzy uniknęli niewoli albo zostali z niej wykupieni, mają wrócić do swoich domów, gdzie ich życiu i mieniu nie będą groziły żadne zakłócenia. Ale Greków tych było niezbyt wielu, przy tym nieliczne domy nadawały się do zamieszkania. Mówiono też, że sam Mehmed posłał czterysta greckich dzieci w darze każdemu z trzech ówczesnych muzułmańskich potentatów: sułtanowi Egiptu, królowi Tunisu i królowi Grenady. Dużo greckich rodzin nigdy nie miało się z sobą połączyć. Mateusz Kamariotes w swym lamencie nad miastem opowiada o rozpaczliwym poszukiwaniu, jakie czynili on i jego

przyjaciele, żeby znaleźć swych krewnych. O niektórych dowiedział się później, że zostali zabici, inni po prostu zaginęli, i ze wstydem odkrył, że jego bratanek przeżył wyparłszy się swej wiary.

Życzliwość, jaką Mehmed okazał żyjącym ministrom cesarza, była krótkotrwała. Wspominał nawet o mianowaniu Łukasza Notarasa gubernatorem zdobytego miasta. Jeżeli był to jego prawdziwy zamiar, to wkrótce zmienił zdanie. Jego wspaniałomyślność zawsze była pomniejszana podejrzliwością; doradcy zaś ostrzegali go, by nie ufał megaduksowi. Wystawił więc jego lojalność na próbę. W pięć dni po upadku miasta wydał bankiet. W czasie bankietu, kiedy sobie dobrze podpił wina, ktoś szepnął mu, że czternastoletni syn Notarasa jest chłopcem wyjątkowej urody. Sułtan niezwłocznie posłał eunucha do domu megaduksa z żądaniem, aby chłopca przysłano mu dla jego rozkoszy. Notaras, którego dwaj starsi synowie polegli w boju, odmówił poświęcenia chłopca takiemu losowi. Posłano wtedy policję, aby sprowadziła Notarasa z synem i z młodym zięciem, synem wielkiego marszałka dworu, Andronika Kantakuzena, przed oblicze sułtana. Kiedy Notaras wciąż opierał się sułtanowi, wydano rozkazy, aby jego i dwóch chłopców natychmiast ścięto. Notaras prosił jednie o ścięcie chłopców przed nim, ażeby widok jego śmierci nie wpłynął na ich postawę. Gdy zginęli obaj, obnażył szyję przed oprawcą. Następnego dnia dziewięciu innych dostojników greckich aresztowano i posłano na szafot. Mówiono później, że sułtan żałował ich śmierci i ukarał doradców, którzy wzbudzili jego podejrzenia. Prawdopodobnie jednak jego żal był rozmyślnie spóźniony. Postanowił usunąć czołowych świeckich urzędników dawnego Cesarstwa.

Ich kobiety odesłano z powrotem do niewoli i weszły one w skład długiej procesji jeńców, która towarzyszyła dworowi w czasie jego powrotu do Adrianopola. Wdowa po Notarasie zmarła w drodze we wsi Messene. Była ona krwi cesarskiej i największą damą w Bizancjum po śmierci cesarzowej matki, głęboko szanowaną nawet przez przeciwników męża za jej pełną godności postawę i miłosierdzie. Jedna z jej córek, Anna, uszła już do Włoch z częścią rodzinnych skarbów.

Phrantzes, którego nienawiści do megaduksa nie uśmierzyły nawet obopólne zmartwienia i który podał wielce niezyczliwą i kłamliwą relację o jego śmierci, sam musiał przeżyć podobną tragedię. Był niewolnikiem przez osiemnaście miesięcy w domu koniuszego sułtana, zanim zdołał wykupić siebie i swoją żonę, ale dwoje jego dzieci, chrześniaków cesarza Konstantyna, zostało zabranych do sułtańskiego seraju. Dziewczynka, Tamara, umarła tam jeszcze jako dziecko; chłopca zabił sułtan za odmowę poddania się jego żądom. □

Dwudziestego pierwszego czerwca sułtan z dworem wyjechał ze zdobytego miasta do Adrianopola. Było ono teraz na wpół w ruinach, opróżnione, porzucone i szerniałe jakby od ognia, i dziwnie ciche. Gdziekolwiek byli żołnierze, tam panowało zniszczenie. Kościoły sprofanowano i obdarto, domy nie nadawały się już do zamieszkania, a sklepy i składy były zdemolowane i ogołocone. Sam sułtan jadąc ulicami wzruszył się do łez. „Co za miasto oddaliśmy grabieży i zniszczeniu” – mówił do siebie.

Pilnował jednak, by nie całe miasto zostało doprowadzone do ruiny. Ludne dzielnice wzdłuż centralnego wzgórza, dzielnice handlowe wzdłuż wschodniej części linii brzegowej Złotego Rogu, pałac Blachernos i imponujące domy w pobliżu, jak również starsze pałace i kościoły blisko Hipodromu i Akropolu – wszystkie ucierpiały. Ale przeczytawszy okropne opowiadanie o grabieży, podane nam przez przygnębionych współczesnych pisarzy chrześcijańskich, jesteśmy dziwnie zaskoczeni stwierdzając, iż istniały okręgi, w których kościoły były najwidoczniej nienaruszone. Chrześcijanie w dalszym ciągu korzystały z nich bez przerwy. A przecież w mieście zdobytym przez szturm żadna świątynia nie powinna być im. pozostawiona. Sprzeczność tę da się wyjaśnić, jeśli pamięta się o charakterze miasta, mającego wielkie otwarte przestrzenie, które rozdzielały wsie i dzielnice jedne od drugich. Kiedy było wiadome, że Turcy przedarli się przez mury, lokalni urzędnicy w pewnych okręgach roztropnie poddali się od razu atakującym i wpuścili ich przez swoje bramy. Zdaje się, że wysłano ich wtedy pod eskortą z kluczami od ich miasteczek do obozu sułtana, a ten przyjął ich kapitulację i dał godną zaufania policję dla dopilnowania, żeby ich kościoły, a może i domy, uchroniono od rabunku. W ten właśnie sposób kościoły w Petriou, gdzie rybacy dobrowolnie otworzyli bramy, i w sąsiedniej dzielnicy Fanar pozostały nienaruszone, jak również kościoły na całym obszarze Psamatii i Studionu nad morzem Marmara, gdzie obrona szybko poddała się marynarzom floty Hamza Beja. Nie ulega też wątpliwości, że obywatele tych właśnie okręgów byli w stanie zdobyć pieniądze, którymi wykupili wielu swych ziomków z mniej szczęśliwych terenów. Gdyby ich obrabowano, nie mogliby uzyskać pieniędzy na wykupienie brańców.

Bardziej jeszcze godny uwagi jest fakt, że wielki kościół Św. Apostołów, drugi co do wielkości i czcigodności w mieście, przeżył grabież nienaruszony wraz ze skarbem. Kościół ten stał blisko głównej ulicy prowadzącej do Bramy Charyzjusza; niezliczone zastępy tureckich żołnierzy musiały przed nim przechodzić. Przypuszczalnie sułtan postanowił już, że zarezerwuje go dla swych chrześcijańskich poddanych, skoro zabrał im kościół Mądrości Bożej, i dlatego od razu wysłał straż do jego ochrony.

Późniejsi sułtani mieli być mniej pobłażliwi w stosunku do chrześcijan i kościoły zabierano im jeden po drugim. Ale Mehmed Zdobywca, kiedy jego podbój był całkowity, chciał okazać, że uważa Greków na równi z Turkami za swych lojalnych poddanych. Cesarstwo chrześcijańskie skończyło się; jednak on czuł się dziedzicem jego cesarzy i jako taki pamiętał o swoich obowiązkach.

Pierwszy wśród tych obowiązków polegał na staraniu się o dobro Kościoła prawosławnego. Mehmed zdawał sobie dobrze sprawę z jego trudności w ciągu ostatnich lat, a teraz mógł się w pełni zapoznać ze szczegółami. Dowiedział się, że unicki patriarcha Grzegorz Mammas uciekł z miasta w 1451 roku i wedle powszechnej opinii Greków utracił przez to swój tron. Należało wybrać nowego patriarchę; i było oczywiste, że istniał jeden człowiek nadający się na to stanowisko, czczony przywódca opozycji wobec unii, uczony Jerzy Scholarios Gennadios.

Kiedy miasto padło, Jerzy Scholarios znajdował się w swej celi w klasztorze Pantokratora. Jego wielki kościół od razu przyciągnął najezdnicze hordy. Kiedy niektórzy grabili budynki, inni otoczyli mnichów, by ich sprzedać w niewolę. Gdy sułtan posłał, by wezwać Jerzego przed swe oblicze, nie można go było znaleźć. W końcu wykryto, że kupił go bogaty Turek z Adrianopola, który był pod wrażeniem i trochę zakłopotany nabyciem tak czcigodnego i uczonego niewolnika i traktował go z najwyższą kurtuazją. Doniesiono sułtanowi o jego zdobyczy i w kilka dni później wysłannicy przyjechali do jego domu, żeby eskortować Jerzego z powrotem do Konstantynopola.

Mehmed już się zdecydował co do generalnych linii swej polityki w stosunku do greckich poddanych. Mieli oni tworzyć *milet*, samorządną społeczność w łonie jego cesarstwa, pod władzą ich religijnej głowy w osobie patriarchy, odpowiedzialnego przed sułtanem za ich dobre prowadzenie się. Zapewne po jakiejś dyskusji Jerzy Scholarios został namówiony do przyjęcia patriarchatu. Biskupów, których można było znaleźć w pobliżu, zgromadzono w celu utworzenia świętego synodu, i na prośbę sułtana wybrali oni formalnie Jerzego, pod zakonnym imieniem Gennadiosa, na tron patriarszy. Uczyniono to prawdopodobnie przed opuszczeniem Konstantynopola przez sułtana w końcu czerwca; data jednak jest trochę niepewna. Zdaje się, że upłynęło kilka miesięcy, zanim Gennadios został oficjalnie intronizowany. Ceremonia ta zapewne odbyła się 6 stycznia 1454 roku. Procedura była kopia z czasów bizantyńskich. W swej roli cesarza sułtan przyjął nowego patriarchę na audyencji i wręczył mu insygnia urzędu, szaty, pastorał i pektorał. Stary pektorał zniknął; albo zaginął przy rabunku miasta, albo też poprzedni patriarcha, Grzegorz Mammias, umknął z nim do Rzymu; sułtan więc sam dostarczył nowy, wspaniały krzyż. Formuła, jaką sułtan miał wygłosić, uległa rozwinięciu. Brzmiała ona: „Bądź patriarchą szczęśliwie i bądź pewny naszej przyjaźni, utrzymując wszelkie przywileje, z jakich patriarchowie korzystali przed tobą. „Następnie nowy patriarcha dosiadł pięknego konia, daru sułtana, i pojechał do kościoła Św. Apostołów, który teraz, kiedy kościół Mądrości Bożej stał się meczetem, miał być kościołem patriarszym. Tam, zgodnie ze starożytnym zwyczajem, intronizował go metropolita Heraklei. Potem przeszedł w procesji przez miasto □ jego rezydencja znajdowała się na obszarze otaczającym kościół Św. Apostołów.

Tymczasem sułtan i patriarcha wypracowali razem nową konstytucję dla greckiego *milet*. Według Phrantzesa, który prawdopodobnie otrzymał swe informacje, będąc jeszcze w niewoli, Mehmed dał Gennadiosowi dokument na piśmie, zapewniający mu osobistą nietykalność, zwolnienie od płacenia podatków, całkowitą gwarancję niezłożenia z urzędu, pełną swobodę ruchów i prawo przekazania tych przywilejów swoim następcom na zawsze; z podobnych przywilejów mieli korzystać starsi metropolici oraz dostojnicy kościelni tworzący święty synod. Nie ma powodu do powątpiewania w to świadectwo, jakkolwiek pewność co do niezłożenia z urzędu nie unieważniała prawa świętego synodu do usunięcia patriarchy przez oświadczenie, że jego elekcja była niekanoniczna, co często się zdarzało w bizantyńskich czasach. Kronikarze patriarchatu z następnego

stulecia twierdzili, że w innym dokumencie na piśmie sułtan przyrzekł Gennadiosowi, iż zwyczaje Kościoła dotyczące małżeństwa i pogrzebu będą miały sankcję prawną, prawosławni będą obchodzili Wielkanoc jako święto i będą mieli wolność poruszania się w ciągu trzech dni tego święta oraz że pozostałe kościoły nie zostaną zamienione na meczety. Prawo Kościoła do zarządzania społecznością chrześcijańską przyjęto, jak się zdaje, za rzecz naturalną, jeśli sądzić z późniejszych *berat*, wydawanych przez władze tureckie, a zatwierdzających obiór biskupów i ustalających ich obowiązki. W zakres uprawnień sądu kościelnego wchodziło rozstrzygnięcie wszelkich spraw pomiędzy prawosławnymi, mających znaczenie religijne, włączając w to sprawy dotyczące małżeństwa i rozwodu, testamentów i opieki nad nieletnimi. Sądy świeckie, powołane przez patriarchę, rozpatrywały wszystkie inne sprawy cywilne między prawosławnymi stronami. Tylko sprawy kryminalne oraz sprawy, w które był wmieszany mahometanin, szły do sądów tureckich. Kościół sam nie zbierał podatków należnych państwu od gmin greckich. Należało to do obowiązków miejscowego wójta. Jednak można było żądać od Kościoła, by zagroził ekskomuniką i innymi karami kościelnymi tym chrześcijanom, którzy nie płacą należnych podatków albo w inny sposób uchylają się od posłuszeństwa w stosunku do nakazów państwowych. Duchowieństwo było wolne od obowiązku płacenia podatków, choć mogło świadczyć daniny, które nominalnie były dobrowolne. Im jednym spośród chrześcijan wolno było nosić brody; każdy zaś chrześcijanin musiał nosić wyróżniający strój, a żaden nie mógł chodzić z bronią. Zabieranie dzieci płci męskiej dla tworzenia korpusu janczarów miało trwać nadal.

Na ogół były to warunki, jakich mogły tradycyjnie oczekiwać społeczności chrześcijańskie od muzułmańskich zdobywców. Ale Grekom z Konstantynopola udzielono specjalnej koncesji. Skromne małe poselstwa, które pośpieszyły przed oblicze sułtana z kluczami od swoich okręgów, kiedy czekał on na wejście do zdobytego miasta, zostały nagrodzone za swoją inicjatywę. Zdaje się, że Zdobywca oficjalnie zażądał jedynie, aby wielki kościół Mądrości Bożej zamieniono na meczet. Gdzie indziej, z wyjątkiem chronionych okręgów Petrionu i Fanaru, Studionu i Psamathii, chrześcijanie faktycznie utracili swe kościoły. Prawie wszystkie były gruntownie ograbione i sprofanowane, a dzielnice, w których stały, zostały zdewastowane. Byłoby bezcelowe próbować je odbudować i na nowo poświęcić, nawet gdyby udzielono zezwolenia. Było to dość, a nawet w istocie więcej, niż mogli spodziewać się optymiści, że tyle kościołów im pozostawiono, co intrygowało tureckich prawników późniejszej daty, którzy nie mogli zrozumieć, dlaczego w mieście zdobytym szturmem zwyciężeni zatrzymali którąkolwiek ze swoich świątyń.

Układ odpowiadał zwycięskiemu sułtanowi, albowiem zdecydował, że w tych właśnie dzielnicach mają mieszkać jego greccy poddani w Konstantynopolu; musieli przecież posiadać budynki, w których odprawialiby swoje nabożeństwa. Jednak w miarę upływu czasu jego decyzja została zapomniana. Stare chrześcijańskie kościoły zabierano im jeden po drugim, aby zamieniać je na meczety, aż wreszcie w XVIII wieku tylko trzy bizantyńskie świątynie pozostały w rękach chrześcijańskich:

kościół znany jako Św. Maria od Mongołów, zachowany specjalnym dekretem Zdobywcy, udzielonym ulubionemu jego architektowi, Grekowi Christodoulosowi, oraz dwie kaplice tak malutkie, że prawie niedostrzegalne, Św. Demetriusza Kanavou i Św. Jerzego od Cyprysów. Gdzie' indziej chrześcijanie modlili się w nowych budowlach, o dyskretnej sylwetce, żeby nie drażnić oczu zwycięskich muzułmanów.

Patriarcha Gennadios sam rozpoczął ten proces. Kościół Św. Apostołów, przydzielony mu przez Mehmeda, był bardzo zniszczony; byłoby rzeczą kosztowną doprowadzenie go do porządku, jeżeli nawet pozwolono by chrześcijanom odmalować na nowo tak wspaniałe gmach. Okręg, w którym się mieścił, został zasiedlony przez Turków, których urażała jego obecność. Aż tu pewnego dnia, prawdopodobnie w lecie 1454 roku, znaleziono zwłoki Turka na dziedzińcu kościoła. Niewątpliwie podrzucono je tam, ale ich obecność uzasadniała wrogie demonstracje ze strony Turków. Gennadios roztropnie poprosił o pozwolenie na przeniesienie swej siedziby. Zebrawszy wszystkie skarby i relikwie zachowane w kościele przeniósł je do dzielnicy Fanar, do klasztornego kościoła Pammakaristos. Zakonnice umieszczono w budynkach przylegających do pobliskiego kościoła Św. Jana w Trullo, a Gennadios wraz z najbliższym otoczeniem przeprowadził się do klasztoru. Pammakaristos pozostał kościołem patriarszym przez ponad stulecie. Tam zdobywczy sułtan zwykł był przychodzić, aby odwiedzać swego przyjaciela Gennadiosa, dla którego nabrał wielkiego szacunku. Nie wchodził do samego kościoła z obawy, żeby gorliwa świta nie użyła tego później jako pretekstu do przejęcia budynku, ale on i Gennadios zwykli rozmawiać w bocznej kaplicy, której śliczne mozaiki są obecnie znowu udostępnione światu. Dyskutowali o polityce i religii; na prośbę sułtana Gennadios napisał dla niego krótką, przepojoną duchem pokoju rozprawę, wyjaśniającą i uzasadniającą punkty, w których doktryna chrześcijańska różniła się od islamu. Takt sułtana poszedł na marne. W 1586 roku jego potomek, Murad III, zaanektował kościół i zamienił go w meczet.

Tymczasem sułtan Mehmed zabrał się do odbudowy Konstantynopola. Z początku zniszczenie miasta przerażało go. Jego architekci pracowali nadal nad budową wielkiego pałacu, jaki zaplanował w Adrianopolu, na wyspie na rzece Maricy, jak gdyby zamierzał uczynić tam swą główną rezydencję. Jednak wkrótce zmienił zamiar. Był teraz następcą cesarów; musi żyć w mieście cesarskim. Zbudował sobie mały pałac na centralnym wzgórzu miasta, blisko miejsca, gdzie teraz stoi uniwersytet, i zaczął snuć plany budowy większego pałacu na zboczu starożytnego Akropolu. Turków ze wszystkich jego dominiów zachęcano do osiedlania się w mieście. Rząd udzielał pomocy na budowę domów i sklepów dla nich. Grekom, którzy pozostali w mieście, i wykupionym niewolnikom przyrzeczono bezpieczeństwo; zdaje się, że oni również otrzymywali pomoc rządową. Pewną liczbę arystokratycznych rodzin bizantyńskich, które w ostatnich latach uciekły na prowincję, namówiono do powrotu, dając im do zrozumienia, że będą korzystały z przywilejów należnych ich sferze, choć jedynym przywilejem, jakie ich sfera zapewniła wielu spośród nich, było uwięzienie, a nawet śmierć, aby świadomość ich pochodzenia

nie mogła. z nich uczynić przywódców działalności wywrotowej. Kiedy ostatnie gniazda wolności greckiej zniszczono, większość ich mieszkańców przymusowo przeniesiono do Konstantynopola. Pięć tysięcy rodzin przesiedlono tam z Trebizondy i sąsiadujących z nią miast. Były to nie tylko arystokratyczne rodziny, ale też rodziny kupców i rzemieślników, a w szczególności murarzy, aby pomogli w budowie nowych domów, nowych bazarów, nowych pałaców i nowych fortyfikacji. Potem, kiedy powrócił spokój, a wraz z nim dobrobyt, coraz więcej Greków przybywało z własnej woli, aby wykorzystać możliwości, jakie dla kupców i rękodzielników nastęczało wspaniałe, odrodzone miasto. Tuż za Grekami – specjalnie zachęceni przez sułtana – napływali Ormianie konkurujący z Grekami w chęci opanowania handlowego i finansowego życia miasta, a wraz z nimi, równie z najlepszymi nadziejami, duża liczba Żydów. Wciąż napływali też i Turcy, aby napawać się rozkoszami stolicy, którą zdobyli. Na długo przed swą śmiercią w 1481 roku sułtan Mehmed mógł z dumą patrzeć na nowy Konstantynopol, miasto, gdzie co dzień wznoszono nowe budynki i gdzie warsztaty i bazyry wrzały ruchem. Od podboju ludność jego wzrosła czterokrotnie; w ciągu stulecia będzie liczyła więcej niż pół miliona mieszkańców. Sułtan zniszczył starą, rozsypującą się metropolię bizantyńskich cesarzy i na jej miejscu stworzył nową, wspaniałą metropolię, w której wedle jego zamierzeń mieli poddani wszelkich wyznań i ras żyć razem w porządku, dobrobycie i pokoju.





Rozdział 12

EUROPA I ZDOBYWCA

W sobotę 9 czerwca 1453 roku trzy statki zawinęły do portu Kandia na Krecie. Dwa z nich wiozły kreteńskich żołnierzy, którzy jako ostatni zaniechali walki w Konstantynopolu. Przynieśli z sobą wiadomość, że miasto padło jedenaście dni temu. Na całej wyspie zapanowało przerażenie. „Nigdy nie było i nigdy nie będzie okropniejszego wydarzenia” – zapisał skryba w klasztorze Agarathos.

Inni uchodźcy dotarli do weneckich kolonii Chalkis i Modonu, a ich gubernatorzy pośpiesznie przesłali wiadomości do Wenecji. Kurierzy przybyli tam 29 czerwca. Zwołano w pośpiechu senat i sekretarz odczytał listy gubernatorów przerażonym senatorom. Następnego ranka wyjechał kurier, aby zanieść tę wieść do Rzymu. Czwartego lipca zatrzymał się w Bolonii i zakomunikował nowinę kardynałowi Bessarionowi, który tam rezydował. W cztery dni później został przyjęty na audiencji przez papieża Mikołaja V. Inny kurier pojechał do Neapolu ostrzec króla Alfonsa Aragońskiego.

Nie upłynęło wiele czasu, a już całe zachodnie chrześcijaństwo dowiedziało się, że wielkie miasto jest w rękach niewiernych. Przerażenie było tym większe, że nikt na Zachodzie naprawdę tego nie oczekiwał. Ludzie wiedzieli, że miasto znajduje się w niebezpieczeństwie, ale pogrążeni w swych własnych, partykularnych troskach nie rozumieli, jak jest ono groźne. Słyszeli o ogromnych fortyfikacjach miasta; słyszeli także o walecznych kompaniach, które wyruszyły na jego ratunek, i o armadzie z Wenecji płynącej na wschód. Nie zauważyli, jak niewspółmiernie mały był jego garnizon w porównaniu z hordami niewiernych, ani tego, że sułtan był zaopatrzony w artylerię, której żaden starożytny mur nie zdoła się oprzeć. Nawet Wenecjanie, pomimo wszelkich źródeł informacji i własnych doświadczeń, wierzyli, podobnie jak i papież, że obrona może się utrzymać, dopóki nie przybędzie odsiecz.

W rzeczywistości weneckie galery, które papież pomógł wyekwipować, dotarły do brzegu Chios i tam stały na kotwicy, oczekując pomyślnego wiatru, kiedy okręty genueńskie, które uciekły z Pery, przyplłynęły, by im powiedzieć, że jest już za późno. Wenecki admirał Loredano natychmiast zawrócił swoją flotę przez Morze Egejskie do Chalkis, oczekując nadejścia nowych rozkazów z Wenecji.

Otrzymał je w połowie lipca. Czwartego lipca Collegio, specjalna Tajna Rada doży, zebrała się na nadzwyczajne posiedzenie. Lodovico Diedo, kapitan galer w Konstantynopolu, przybył poprzedniego dnia i teraz jako naoczny świadek zdał relację o klęsce. Rząd zdecydował się na prowadzenie ostrożnej polityki. W tym czasie, kiedy wysłano rozkazy

gubernatorom Krety, Chalkis i Lepanto, usilnie polecając im dopilnowanie, aby ich umocnienia były w dobrym stanie oraz aby byli zaopatrzeni w żywność na wypadek możliwego tureckiego ataku, jednocześnie przesłano 5 lipca list do Loredana, nakazujący mu przygotowanie okrętu, aby zabrał ambasadora Bartolomeo Marcello, który był wciąż z nim, na dwór sułtana. W tydzień później senat uchwalił zaopatrzenie Marcello w sumę 1200 dukatów, przeznaczoną na dary dla sułtana i jego ministrów. Siedemnastego lipca przekazano Marcello pełne instrukcje. Miał on powiedzieć sułtanowi, że Wenecja nie pragnie anulowania traktatu zawartego pomiędzy Republiką i sułtanem Muradem II. Miał domagać się wypuszczenia galer ujętych na Złotym Rogu, z których żadna – musi to podkreślić – nie była okrętem wojennym. Jeżeli sułtan odmówi odnowienia traktatu na dawnych warunkach, Marcello musi odwołać się do Wenecji; jeśli natomiast sułtan wyrazi zgodę, musi nalegać na powrót weneckich kupców do Konstantynopola z zachowaniem przywilejów, z których korzystali pod rządem Bizantyńczyków, jak również musi uzyskać zwolnienie wszystkich jeńców weneckich, trzymanych przez Turków.

W kilka dni później senat zezwolił synowi weneckiego burmistrza, Minotto, na wyjazd do Konstantynopola w celu ułożenia się o okup za ojca, matkę i brata. Mógł ocalić matkę; inni jednak już nie żyli. W tym samym mniej więcej czasie zarządzono, że pieniądze i ruchomości ulokowane przez Greków na weneckich statkach, które przetrwały katastrofę, mają ulec konfiskacie i być użyte na zapłacenie długów, które Grecy winni byli jeszcze Wenecjanom. Wenecja potrzebowała wszelkich odszkodowań, jakie mogła znaleźć. Straty jej w Konstantynopolu oceniano na 200 000 dukatów, a dalsze 100 000 dukatów stracili jej kreteńscy poddani.

W Genui panika była jeszcze większa. Genuieńczycy, wyczerpani długą wojną z Alfonsem Aragońskim oraz z Francuzami i Mediolańczykami, którzy dążyli do podporządkowania ich sobie, nie byli w stanie wysłać sił na odsiecz swoim lewantyńskim koloniom. Zmartwienie ich wzrosło, kiedy otrzymali raport napisany 17 czerwca przez Angela Lomellino, podestę Pery. Opowiedział w nim o losie swego miasta. Opisał, jak to w chwili upadku Konstantynopola otworzył bramy Zaganosowi Paszy i jak, aby przypodobać się sułtanowi, dołożył wszelkich starań, odradzając obywatelom odpłynięcie na statkach. Zaraz potem wysłał dwóch posłów, Luciana Spinolę i Baldassara Maruffo, przed oblicze sułtana z poleceniem, by wyrazili mu serdeczne gratulacje z powodu zwycięstwa i poprosili o potwierdzenie przywilejów udzielonych Perze przez Bizantyńczyków. Mehmed przyjął ich gniewnie. Rozzłościła go zwłaszcza ucieczka tylu statków z Pery; zarzucał też obywatelom, że odgrywali dwuznaczną rolę. Drugie poselstwo, wysłane w dzień lub dwa później z Babilano Pallavicinim i Marco de'Franchim na czele, uwięczone było większym powodzeniem. Na rozkaz Mehmeda Zaganos Pasza wręczył im cesarski firman. Przyniósł on, że miasto nie będzie zniszczone. Obywatele mogą zatrzymać swoje domy i sklepy, winnice i młyny, składy i statki. Nie będzie się niepokoilo ich kobiety i dzieci ani też nie będzie się zabierało ich synów do korpusu janczarów. Mogą nadal korzystać z kościołów, jednak nie powinni bić w dzwony ani budować nowych świątyń. Żaden Turek nie

miał mieszkać wśród nich z wyjątkiem urzędników sułtana. Obywatele mogą swobodnie podróżować oraz handlować we wszystkich posiadłościach sułtana, na lądzie i morzu, a poddani genueńscy mogą mieć swobodny dostęp do Pery. Zostają uwolnieni od specjalnych podatków i ceł, ale każdy obywatel płci męskiej musi płacić pogłowne. Mogą zachować swoje zwyczaje handlowe, poza tym jednak muszą być posłuszni prawom sułtana. Mają wybierać własnego naczelnika lub starszego, który będzie nadzorował ich handel i utrzymywał stosunki z władzami tureckimi.

W ten sposób Pera znalazła się w sytuacji każdego innego chrześcijańskiego miasta, które dobrowolnie poddało się rządowi muzułmańskiemu. Warunki mogły być gorsze. W każdym razie podesta musiał je przyjąć. Trzeciego czerwca sam sułtan odwiedził Perę. Rozkazał, aby obywatele zdali całą swą broń, i żądał zburzenia murów na lądzie łącznie z Cytadela, Wieżą Św. Krzyża. Wprowadzono tureckiego gubernatora. Lomellino zrezygnował ze stanowiska podesty, ale współobywatele uprosili go, by pozostał w charakterze naczelnika aż do swego odjazdu do Genui, który nastąpić miał tego roku we wrześniu.

Utrata Pery i tureckie zwierzchnictwo nad cieśninami naraziły na niebezpieczeństwo genueńskie kolonie na północnym wybrzeżu Morza Czarnego, zwłaszcza miasto Kaffę na Krymie. Był to port dla ziem tatarskich i krajów Azji Środkowej i gdyby Republika miała go opuścić, wielu genueńskich obywateli, mających tam ulokowane swoje bogactwa, procesowałoby się o odszkodowanie, na które skarbu Republiki nie byłoby już stać. Na szczęście dla rządu genueńskiego potężny dom bankowy Consilio św. Jerzego zgodził się przejąć administrację owych odległych kolonii. Dyrektorzy Consilio wierzyli, że jeszcze da się z nich wyciągnąć zyski. W rzeczywistości jednak coraz mniej żeglarzy było gotowych odbywać podróż przez cieśniny i coraz mniej kupców decydowało się płacić myta wymagane tam przez urzędników sułtana. Tak czy owak, niemożliwością stało się udzielenie kolonom należytego poparcia wojskowego. W ciągu półwiecza całe imperium genueńskie na Morzu Czarnym zniknęło, podbite przez Turków i ich tatarskich sprzymierzeńców.

Inną ważną kolonią genueńską w Lewancie była wyspa Chios. Przez wiele lat zarządzała nią Mahona, uprzywilejowana kompania utworzona przez czołowych kupców genueńskich i właścicieli ziemskich na wyspie. Po utracie Pery oraz w związku z groźącą utratą kolonii na Morzu Czarnym Chios stało się główną forpocztą genueńskiego imperium, ale jego wartość strategiczna zmniejszała się wraz z zanikiem handlu ze Wschodem. I. tu również rząd genueński nie mógł sobie pozwolić ani na opuszczenie wyspy, ani na jej utrzymanie. Poinstruowano więc Mahonę, aby ułożyła się na własną rękę z sułtanem.

Mniejsze zachodnioeuropejskie miasta kupieckie, które miały stosunki handlowe z Konstantynopolem, potrafiły lepiej się przystosować. W przeciwieństwie do Genui i Wenecji, interesowały się raczej lokalnym niż dalekowschodnim handlem. Ankońska kolonia poniosła straty oceniane na przeszło 20.000 dukatów, kiedy łupiono miasto; Ankończycy zaś osobiście wyszli bez szwanku, widocznie dlatego, że Mehmed znał i lubił ich znamienitego obywatela Angela Boldoniego. Mogli oni nadal prowadzić

swój handel z Turcją, choć nawet ich zwierzchnik, papież, nie pochwałał tego. Florentyńczycy, których straty oceniano na mniej więcej taką samą sumę, wkrótce wyrobili sobie dobre stosunki z sułtanem. Byli jego ulubieńcami wśród Włochów, czuł bowiem podziw dla rodziny Medyceuszów. Katalończycy, którzy dobrze walczyli i ponieśli ciężkie straty niebawem wrócili do Konstantynopola, chociaż zdaje się, że ich konsulat nigdy nie został ponownie otwarty. Raguzanie mieli właśnie otworzyć tam konsulat na bardzo korzystnych warunkach ułożonych z cesarzem Konstantynem. Ale – na szczęście dla nich – nastąpiły administracyjne opóźnienia i w ten sposób nie brali udziału w oblężeniu. Musieli jednak czekać pięć lat, zanim zdołali przeprowadzić porozumienie handlowe z sułtanem. Odtąd odgrywali znaczącą rolę w handlu lewantyńskim.

Wielu pobożnym chrześcijanom owa gotowość miast kupieckich do handlu z niewiernymi wydawała się zdradą wiary. Szczególnie Wenecja grała dwuznaczną rolę, próbując z jednej strony zorganizować krucjatę przeciw Turkom, z drugiej zaś śląc przyjacielskie poselstwa do sułtana, aby zabezpieczyć swój handel. Jej ambasadorowi Marcello udało się po roku pertraktacji zawrzeć rozejm umożliwiający wykup pozostałych weneckich jeńców i okrętów; przebywał on przez dalsze dwa lata w Konstantynopolu, usiłując na próżno odzyskać przywileje handlowe dla swych ziomków. W 1456 roku został odwołany i wtrącony na rok do więzienia pod pretekstem, że zgodził się na zwolnienie niewielu jeńców tureckich trzymanyh w Chalkis. Poświęcono go próbując w nieprzyzwoity sposób pokazać chrześcijaństwu, że Republika jest naprawdę wrogiem niewiernych.

Dla Rzymu problem ten był bardziej jasny. Musi nastąpić potężna i uczciwa krucjata w sojuszu ze wszystkimi mocarstwami Zachodu. Papież Mikołaj, chociaż zmęczony i rozczarowany, otrząsnął się, aby objąć prowadzenie. Kiedy usłyszał fatalną wiadomość z Konstantynopola, rozpiął listy wypowiedające się za akcją zbrojną. Trzydziestego września 1453 roku ogłosił bullę do wszystkich książąt Zachodu głoszącą wyprawę krzyżową. Każdemu władcy zalecono przelanie krwi swojej i swych poddanych za sprawę i każdy miał dać dziesięcinę ze swoich dochodów. Dwaj greccy kardynałowie, Izydor i Bessarion, gorliwie podtrzymywali papieża. Bessarion sam napisał do Wenecjan, na poły ich karcąc, na poły błagając, żeby zaprzestali swoich wojen we Włoszech, a skoncentrowali swe siły na wyprawie przeciw antychrystowi. Jeszcze większą aktywność wykazywał legat papieski w Niemczech, humanista sienneński, Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, który przez cały rok 1454 uczestniczył w sejmach na całym obszarze Niemiec, gdzie wymownie przekonywał o potrzebie krucjaty. Na jego nalegania uchwalono wiele pięknych rezolucji. Nic jednak nie działo. Cesarz Fryderyk III był w pełni świadom tureckiego niebezpieczeństwa. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego Węgrom, gdzie królem był młody jego kuzyn Władysław. Jeżeli padną Węgry, całe zachodnie chrześcijaństwo znajdzie się w niebezpieczeństwie. Pisał już do papieża, używając legata jako swego sekretarza, aby wyrazić przerażenie z powodu upadku Konstantynopola; a Eneaszy Sylwiusz dodał osobisty przypisek, oplakujący – jak to określił – „drugą śmierć Homera i

Platona”.

Niemniej jednak do wyprawy krzyżowej nie dochodziło. Choć książęta pośpiesznie zbierali relacje o upadku miasta, a pisarze układali rozpaczliwe lamenty, choć francuski kompozytor Guillaume Dufay podłożył muzykę pod pieśń pogrzebową śpiewaną w całej Francji, nikt nie był gotów do podjęcia akcji. Fryderyk był biedny i bezsilny, nie mając rzeczywistej władzy nad niemieckimi książętami. Ani politycznie, ani finansowo nie mógł sobie pozwolić na udział w krucjacie. Karol VII francuski zajęty był odbudową swego kraju po długiej i kosztownej wojnie z Anglią. Turcy byli daleko; miał większe kłopoty w ojczyźnie. W Anglii, która ucierpiała może nawet więcej na skutek wojny stuletniej, Turcy wydawali się jeszcze bardziej odlegli. Król Henryk VI nie mógł nic zrobić. Wystąpiły właśnie oznaki obłędu króla, a cały kraj staczał się w chaos Wojny Dwóch Róż. Król Alfons Aragoński, którego włoskie posiadłości byłyby z pewnością zagrożone przez jakieś tureckie posunięcia się w kierunku zachodnim, zadowolił się kilkoma drobnymi krokami obronnymi. Był on teraz starym człowiekiem i pragnął tylko zachować swą hegemonię we Włoszech. Żaden inny król nie wykazał jakiegokolwiek zainteresowania, z wyjątkiem Władysława króla Węgier. Miał on słuszne powody do niepokoju, był jednak w złych stosunkach ze swym wielkim naczelnym wodzem Janem Hunyadim. Bez niego i bez sprzymierzeńców nie mógł odważyć się na działanie.

Papież wiązał nadzieje z najbogatszym księciem Europy, Filipem Dobrym, księciem Burgundii; Filip bowiem wyrażał często ochotę na wyprawę krzyżową. W lutym 1454 roku Filip przewodniczył na bankiecie w Liège, gdzie przyniesiono do królewskiego stołu żywego bażanta ozdobionego girlandami z drogocennych kamieni, gdy tymczasem olbrzymi mężczyzna przebrany za Saracena groził gościom zabawką w kształcie słonia, a młody Olivier de la Marche, przebrany za pannę, przedstawiał mimicznie żale naszej świętej matki Kościoła. Całe towarzystwo uroczyście przysięgło iść na świętą wojnę. Ale ładna pantomima była bez znaczenia. „Przysięga Bażanta” – jak ją nazywano – nie została nigdy spełniona.

Tak więc chociaż Europa Zachodnia pobożnie lamentowała, żadna bulla papieska nie mogła pobudzić jej do działania. Mikołaj V zmarł w początkach 1455 roku. Jego następca, Katalończyk Kalikst III, nie cieszył się popularnością we Włoszech z powodu swej narodowości, poza tym sam był już umierający. Dzielnie wyekwipował flotę, którą wysłał na Morze Egejskie, gdzie zdobyła wyspy Naksos, Lemnos i Samotrake. Żadne mocarstwo chrześcijańskie nie miało jednak ochoty przyjąć wysp jako daru, toteż niebawem wróciły w ręce tureckie. Eneaszy Sylwiusz, który nastąpił po nim w 1458 roku jako papież Pius II, był jeszcze energiczniejszy. Polegając na obietnicach, jakie otrzymał, miał nadzieję, że wielka wyprawa chrześcijańska naprawdę wyruszy na wschód. Zmarł w 1464 roku w drodze do Ankony, aby życzyć powodzenia krucjacie, do której nigdy nie doszło.

Zachód pozostał nieporuszony, kiedy przyszło do czynów. Mógł Eneaszy Sylwiusz szczerze się martwić, było też paru romantyków

przejmujących się dziejami, takich jak Olivier de la Marche, dla których poległy w Konstantynopolu cesarz był jedynym autentycznym cesarzem, prawdziwym dziedzicem Augusta i Konstantyna, odmiennie od parweniusza w Niemczech. Ludzie ci jednak nic nie mogli uczynić. Samo papieństwo ponosiło w dużym stopniu winę za ową apatię. Przez dwa stulecia z górami papież potępiali Greków jako upartych schizmatyków, a w ostatnich latach głośno się skarżyli, że bizantyńskie przystąpienie do unii Kościołów jest nieszczerze. Narody zachodnie, dla których Turcy stanowili groźbę bardzo odległą, mogły też dziwić się, dlaczegoż to prosi się je o dawanie pieniędzy i życia dla ratowania tych krnąbrnych odstępców. Były też świadome gniewnego ducha Wergiliusza, zaliczanego na Zachodzie do honorowych chrześcijan i mesjanistycznych proroków. Opowiadał on o okropnościach greckiej łupieży Troi. Złupienie Konstantynopola stanowiło za to karę. Autorzy o zacięciu literackim, z zamiłowaniem do klasycznej frazeologii, jak sam kardynał Izydor, lubili nazywać Turków „*Teucri*”. Nie byliż więc oni spadkobiercami Trojan, jeśli nie faktycznymi Trojanami? List, napisany rzekomo przez Mehmeda II do papieża Mikołaja, krążył we Francji kilkadziesiąt lat później; w liście tym sułtan wyrażał zdziwienie, że Włosi okazują mu wrogość, skoro wywodzą się z tego samego trojańskiego pnia, co i Turcy. Laonikos Chalkokondyles skarżył się gorzko, że w Rzymie powszechnie wierzone, iż Greków spotyka kara za ich okrucieństwa w Troi; papież zaś Pius II, którego imię Eneasza powinno przydawać mu specjalnego autorytetu, zadał sobie wiele trudu, aby wykazać, że „*Teucri*” i Turcy nie są identyczni. Legenda stanęła na przeszkodzie jego staraniom o krucjatę.

Chrześcijaństwo wschodnie nie mogło okazywać takiej obojętności. W ciągu późnego lata 1453 roku na dworze sułtana w Adrianopolu tłoczyli się ambasadorzy ze wszystkich sąsiednich państw chrześcijańskich. W początku sierpnia przybyli posłowie Jerzego Brankowicza, despotesa Serbii, dobrze zaopatrzeni w pieniądze nie tylko na podarki dla sułtana i jego ministrów, lecz także w celu użycia ich, bardziej filantropijnie, na wykup jeńców. W ślad za nimi przyjechały poselstwa braci zmarłego cesarza, Demetriusza i Tomasza, despotesów Morei, Jana Komnena, cesarza Trebizondy, Imareta Dadiana, króla Mingrelii, Dorina Gattilusio, pana na Lesbos i Tazos, i jego brata Palameda, pana na Enos, od Mahony z Chios i od wielkiego mistrza joannitów. Sułtan przyjął ich łaskawie. Żądał od każdego z książąt jedynie uznania jego suwerenności i powiększonej daniny. Despotes serbski miał mu płacić 12 000 dukatów –rocznie, despotesi Morei 10 000, Mahona i Chios 6000, a pan na Lesbos 3000. Cesarza Trebizondy odprawił poprzestawszy na 2000. Ambasadorzy mieli mu przywozić te sumy jednorazowo w ciągu roku. Tylko joannici odmówili uznania jego suwerenności i płacenia daniny. Powiedzieli, że nie mogą tego uczynić bez pozwolenia swego własnego suzerena, papieża. Mehmed nie czuł się w tej chwili na siłach, aby wymusić swą wolę na Rodos. Pozwolił odejść posłom joannitów w pokoju.

Bracia Gattilusio mieli specjalne szczęście. Wkrótce po upadku Konstantynopola sułtan posłał wojsko przeciwko miastu Palameda Enos, na lądzie trackim, i Palamed śpiesznie ogłosił swoją uległość. W tym

samym mniej więcej czasie flota turecka zajęła bizantyńskie wyspy Imbros i Lemnos. Wszyscy urzędnicy bizantyńscy uciekli, z wyjątkiem pewnego sędziego na Imbros, historyka Kritobulosa. Zaprzyjaźnił się on z tureckim admirałem Hamza Bejem i w rezultacie jego pomysłowych intryg pan na Lesbos otrzymał od sułtana Lemnos za sumę 2325 dukatów rocznej daniny, a pan na Enos dostał Imbros za sumę 1200 dukatów daniny rocznej.

Świat chrześcijańskiego Wschodu znowu odetchnął. Choć Konstancyopol był stracony, wydawało się, że sułtan pozwoli małym państewkom żyć w spokoju. Musiały jednak ciężko płacić za swój immunitet, a pieniądze niełatwo było znaleźć. Ponadto następowały złowieszcze zmiany na dworze sułtana.

W sierpniu 1453 roku nagle aresztowano i pozbawiono urzędów wezyra Halila Czandarli. W kilka dni później został stracony. Mehmed nigdy nie przebaczył Halilowi roli, jaką odegrał w 1446 roku. Dotychczas wezyr był zbyt potężny i zbyt powszechnie szanowany jako zaufany przyjaciel sułtana Murada i czołowy mąż stanu w państwie. Dopóki władza sułtana w Konstancyopolu nie ugruntowała się, ten nie mógł sobie pozwolić na odprawienie Halila; niebezpiecznie byłoby zrazić stare tureckie rodziny, które uważały go za swego przywódcę. Ale rady Halila okazały się złe. Najpierw próbował przeszkodzić w oblężeniu Konstancyopola, a potem chciał odstąpić od niego. Czy uczciwie bał się, że przedsięwzięcie się nie uda albo wplącze Turków w wielką wojnę z mocarstwami zachodnimi, czy też – jak mówili jego wrogowie – przekupili go Grecy, z którymi, jak było powszechnie wiadomo, utrzymywał przyjazne stosunki, nie potrafimy dzisiaj powiedzieć. Musiano oskarżyć go o zdradę, żeby usprawiedliwić jego upadek. Nawet najszanowniejsi z polityków orientalnych często lubią dostawać prezenty. Może śmiało się okazać, że Halil, będąc naprawdę oddany dobru swych rodaków, był jednocześnie na żołądź Greków. Ale przerachował się i został za to ukarany. Wraz z nim upadli inni ministrowie, pozostali z czasów Murada II, z wyjątkiem Iszaka Paszy, ale i ten był zesłany do Anatolii. Zaganos Pasza został teraz wielkim wezyrem, a jego przyjaciele zajęli stanowiska w rządzie. Prawie wszyscy byli agresywnymi neofitami islamu, ludźmi bez usankcjonowanych praw, całkowicie uzależnionymi ad łaski sułtana; wszyscy też gorąco pragnęli nakłonić swego pana do dalszych podbojów, skoro tylko nastąpi stosowna pora.

Kiedy nadszedł ów czas, winę ponosili za to w znacznej mierze chrześcijańscy książęta. Pierwsi mieli ucierpieć Serbowie. W 1454 roku Jerzy Brankowicz zetknąwszy się z potęgą sułtana, zmuszony był ustąpić mu część swego terytorium. Znajdował się w trudnej sytuacji. Węgrzy, tuż za jego północną granicą, mieli taką samą ochotę opanować jego ziemie jak i Turcy. Serbia stała się teatrem ich wojen. Niepowodzenie sułtana w zdobyciu Belgradu, bronionego przez Jana Hunyadięgo w czerwcu 1456 roku, przysporzyło mu jeszcze kłopotu. Hunyadi zmarł nazajutrz po zwycięstwie, a w parę tygodni później Jerzy został ranny w burdzie w obozie węgierskim. Przeżył jeszcze kilka miesięcy, umierając w wigilię Bożego Narodzenia w wieku lat dziewięćdziesięciu. Jego długie doświadczenie dyplomatyczne oraz wpływ jego córki, Mary, czczonej

macochy sułtana, umożliwiały mu utrzymywanie się przy władzy. Jego następca nie był tak mądry. Jerzy przekazał despotat swojej żonie i najmłodszemu synowi Łazarzowi. Łazarz był oburzony udziałem matki w dziedzictwie. Nagła i podejrzana jej śmierć w kilka miesięcy później skłoniła księżnę

Marę do ucieczki na dwór sułtana, gdy tymczasem jej starsi bracia, obaj oślepieni przed wieloma laty na rozkaz Murada II, umknęli: jeden razem z nią do Konstantynopola, drugi do Rzymu. Mehmed miał w tej chwili inne troski; Łazarz zaś zmarł w styczniu 1458 roku, pozostawiając otwartą sprawę dziedzictwa. Ale w 1459 roku armia turecka wkroczyła do despotatu, witana przez wielu Serbów, którzy zmęczeni już byli panującym nieładem. W ciągu kilku tygodni cała Serbia znalazła się w rękach tureckich z wyjątkiem Belgradu, który Węgrzy utrzymali do 1521 roku. Sąsiednie królestwo Bośni, gdzie królową była Maria córka Łazarza, zostało podbite w cztery lata później. Króla, Stefana Tomaszewicza, ścięto, a Maria znalazła się w tureckim haremie.

W tymże czasie znikaly ostatnie ślady greckiej niepodległości. Na pierwszy ogień poszły ziemie powierzone na wpół greckim księżętom Gattilusio. Dorino i Palamed umarli obaj w 1455 roku. Syn i następca pierwszego z nich był słaby, drugiego zaś – nikczemny. Sułtanowi dostarczono pretekstów do aneksji ich ziemi. Do 1459 roku Imbros, Tenedos, Lemnos i miasto Enos znalazły się w rękach tureckich, chociaż Imbros otrzymało chrześcijańskiego gubernatora w osobie Kritobulosa. Lesbos niepewnie przetrwało do 1462 roku, kiedy to Niccolo Gattilusio, młodszy syn Dorina, który zdażył już udusić brata, zmuszony był odstąpić swoje ziemie i sam z kolei został uduszony.

Księstwo Aten opanowano w 1456 roku. Jego florentyńskiemu księciu Franco, którego młodzieńczą urodę podziwiał sułtan, pozwolono jeszcze przez cztery lata piastować władztwo Teb. Potem stracono go, wchłonięto jego ziemie, a jego synów wcielono do janczarów.

Na Morei, gdzie bracia, despotesi Demetriusz i Tomasz, przerywali swe kłótnie wtedy tylko, kiedy zagrażało im niebezpieczeństwo zewnętrzne, po wiadomości o upadku Konstantynopola nastąpił bunt wszystkich Albańczyków, osiedlonych na półwyspie. Wielu Greków przyłączyło się do buntowników, Wenecja zaś udzielała im cichaczem poparcia. Zdesperowani bracia zwrócili się do sułtana o pomoc. Stary generał Turahan Bej przekroczył Przesmyk Koryncki i przywrócił porządek. Odchodząc powiedział braciom, żeby żyli razem w spokoju. Niebawem jednak zaczęli się znów kłócić między sobą i ze swymi wasalami oraz zaniedbali posłania sułtanowi należnej mu daniny. Wiosną 1458 roku sam sułtan przeprowadził armię przez Przesmyk. Korynt opierał mu się aż do sierpnia, kilka innych twierdz także odważnie się przed nim broniło, jednak na próżno. Kiedy padł Korynt i półwysep został spustoszony, despotesi udali się, by zawrzeć pokój ze swym zwierzchnikiem. Ukarano ich utratą połowy despotatu łącznie z Koryntem, Patras, Argolidą i własną stolicą Tomasza, Karyteną; musieli też zapłacić wielkie odszkodowanie. Wracając na północ Mehmed zatrzymał się, by odwiedzić Ateny, miasto, z którego wielką przeszłością był dobrze obeznany i któremu pragnął złożyć swój

hold.

Zaledwie wyjechał, a już despotesi znowu się kłócili. Demetriusz uważał, że jedynym ratunkiem dla kraju i dla niego jest poddanie się Turkom. Tomasz pokładał nadzieje w nowo obranym papieżu Piusie II, który obiecał mu pomoc na soborze w Mantui, odbytym jesienią 1458 roku. Kiedy następnego lata pomoc ta przybyła na Moreę, składała się z 300 najemnych żołnierzy: 200 opłacanych przez papieża i 100 przez Biankę Marię, księżną Mediolanu. Najemnicy wkrótce pokłócili się z Tomaszem i między sobą i wrócili do Włoch. Tymczasem Demetriusz przywołał Turków. Ale o daninie należnej sułtanowi znowu zapomniano. Mehmed, zgorszony chaosem w despotacie i zaniepokojony interwencją papieża, postanowił go znieść.

W początkach maja 1460 roku Mehmed pojawił się pod Koryntem na czele wielkiej armii. Po krótkim wahaniu Demetriusz poddał siebie i swoją stolicę Mistrę. Tomasz przyczaił się na jakiś czas w Mesenii, a potem uciekł morzem na Korfu. Opuszczeni przez władców Peloponezyjczycy poddali się, chociaż kilka twierdz natchnionych przez dumne i beznadziejne bohaterstwo opierało się i zostało opanowanych jedna po drugiej. Bez względu na to, czy zdobyto je szturmem, czy zmuszono głodem do kapitulacji, ludność ich zmasakrowano. Jesienią zajęty był cały półwysep, z wyjątkiem zamku Salmenikon, którego komendant Graitzas Paleolog trzymał się aż do następnego lata, weneckich portów Modon i Kroton, które się uratowały witając sułtana z wielkimi honorami i bogatymi darami, oraz otoczonego morzem miasta Monembazja, które uznawało Tomasza swym władcą, a po jego ucieczce oddało władanie najpierw jakiemuś katalońskiemu piratowi, potem zaś papieżowi, który w 1464 roku przekazał je Wenecji.

Następnie przyszła kolej na Cesarstwo Trebizondy. Jan IV, Wielki Komnen, którego Phrantzes ganił za radowanie się ze śmierci Murada II i który okupił nietykalność w 1453 roku, przyrzekając sułtanowi pokaźną daninę, zmarł w 1458 roku i zostawił dwie zameżne córki oraz syna, Aleksego, w wieku zaledwie czterech lat. Długa regencja byłaby oczywiście fatalna, toteż Trapezuntczycy wyznaczyli na cesarza młodszego brata Jana, Dawida. Dawid liczył, że sułtan jest zbyt zajęty w Europie, by kłopotać się Wschodnią Anatolią. Utrzymywał on kontakt z Republikami Wenecji i Genui oraz z papieżem, a wszyscy obiecali mu pomoc; specjalnie zaś polegał na rodzinnej przyjaźni z największym wśród miejscowych wodzów turkmeńskich, Uzun Hasanem, panem plemienia Białych Owiec. Uzun Hasan, potężny książę, który uczynił się przywódcą Wschodniej Anatolii, był w opozycji do Otomanów. Emirowie Synopy i Karamanii byli jego sojusznikami, jak również był nim król Gruzji, zięć cesarza Dawida, oraz gruzińscy królowie Mingrelli i Abchazji. W jego żyłach płynęła w znacznym stopniu krew chrześcijańska. Jego babka ze strony ojca była księżniczką Trebizondy, a jego matka chrześcijańską arystokratką z północnej Syrii, sam zaś poślubił księżniczkę trapezuncką, córkę cesarza Jana, Teodore, o której napisał pewien podróżnik wenecki, że „było rzeczą powszechnie znaną, iż żadna kobieta większej piękności nie żyła w tym czasie”. Ponieważ Uzun Hasan był jego przyjacielem, cesarz

Trebizondy uważał, że jest bezpieczny.

Sułtan Mehmed nie mógł sobie pozwolić na zlekceważenie takiego sojuszu; ale to Dawid wywołał wojnę. Zażądał on od Mehmeda zmniejszenia daniny, jaką płacił jego brat, i wystąpił z tym żądaniem przez ambasadorów Uzun Hasana, bawiących w Konstantynopolu i wysuwających jeszcze butniejsze żądania w imieniu swego pana. W lecie 1461 roku Mehmed przygotował armię i flotę, żeby ukarać te zuchwalstwa. Kiedy flota pod dowództwem admirała Kasima Paszy żeglowała wzdłuż czarnomorskiego brzegu Anatolii, sułtan przyłączył się do armii w Brusie. Na widok takich sił wielki sojusz zaczął się rozpadać. W tym czasie, gdy armia maszerowała w czerwcu na Synopę, flota zatrzymała się, aby zmiążyć genueński port Amastris. Pod koniec miesiąca flota i armia spotkały się przed Synopą. Emir Ismail, który był szwagrem Mehmeda, na próżno posłał swego syna Hasana, siostrzeńca Mehmeda, aby próbował odwrócić niebezpieczeństwo. Mehmed domagał się poddania Synopy. W zamian za to ofiarował Ismailowi lenno mające składać się z Filipopolu i sąsiednich wsi. Ismail z konieczności przyjął te warunki. Armia sułtana wkroczyła do Synopy bez oporu; następnie poszła dalej na terytorium Uzun Hasana, szturmując jego twierdzę graniczną Kojlu Hisar. Karamańczycy nie ruszyli się krokiem, aby przyjść z pomocą swemu sprzymierzeńcowi. Uzun Hasan cofnął się na wschód, posyłając swą matkę, Sarę Chatun, z kosztownymi darami do obozu sułtana. Mehmed przyjął księżnę łaskawie. Na razie nie chciał przeciwstawiać się Białym Owcom. Zgodził się na zawarcie pokoju pod warunkiem, że zatrzyma Kojlu Hisar. Ale usiłowania Sary, aby ocalić ojczyznę swej synowej, spełzły na niczym. „Po cóż czynić wysiłki mój synu – spytała swego gospodarza – dla pozyskania czegoś tak marnego jak Trebizonda?” Odpowiedział, że Miecz Islamu jest w jego ręku; byłby zawstydzony, nie męcząc się dla Wiary.

Na początku lipca flota turecka dotarła do Trebizondy i marynarze wylądowali, żeby pustoszyć przedmieścia. Nie robili jednak żadnych postępów, jeśli chodzi o mury miasta. W początkach sierpnia straż przednia armii przybyła pod mury pod wodzą wielkiego wezyra Mahmuda. Mahmud, jak większość nowych ministrów sułtana, był renegatem, synem księcia serbskiego i pewnej damy z Trebizondy. Miał kuzyna zamieszkałego w mieście, uczonego Jerzego Amirutzes, Trapezuntczyka z urodzenia. Amirutzes należał do orędowników unii we Florencji; cesarz Dawid wysoko go cenił nie tylko za jego wiedzę, ale też dlatego, że jego powiązania z Rzymem były pożyteczne w pertraktacjach z Zachodem. Mahmud posłał do miasta swego greckiego sekretarza, Tomasza Katabolenou, by oficjalnie wezwał cesarza do kapitulacji, a potajemnie nawiązał kontakt z Amirutzesem. Dawid z początku był nieustępliwy. Jego żona Helena, pochodząca z wielkiej rodziny bizantyńskiej Kantakuzenów, pojechała niedawno do Gruzji błagać o pomoc swego zięcia. Ale kiedy Amirutzes, dobrze pouczony i przekupiony przez Mahmuda, powiedział mu, że Hasan zawarł pokój, i wiadomość tę potwierdziły listy od Sary Chatun, i kiedy Amirutzes doniósł następnie, że Mahmud gwarantuje, iż sułtan zaopatrzy rodzinę cesarską w posiadłości gdzie indziej, cesarz zawahał się. Posłał do Mehmeda, który zbliżał się teraz z głównymi siłami,

proponując oddanie miasta – jeżeli otrzyma w zamian ziemie o równym obszarze i wartości, gdziekolwiek sułtan je wybierze – oraz wysłanie młodszej swej córki Anny, aby wyszła za mąż za sułtana. Mehmed, którego rozgniewała ucieczka cesarzowej do Gruzinów, odpowiedział żądaniem bezwarunkowej kapitulacji. Pod wpływem namów Amirutzesza ciągle przypominającego mu, że opór na nic się nie zda, oraz pod wrażeniem listu, w którym Sara zapewniła go, dając słowo honoru, że będzie z rodziną potraktowany honorowo, Dawid ustąpił. Trudno go potępiać. Uzun Hasan i jego tureccy sprzymierzeńcy zawiedli. Żadne zachodnie mocarstwo nie mogło dotrzeć doń z pomocą, a Gruzini nie będą interweniowali samotnie. Trebizonda ze swymi silnymi umocnieniami mogłaby utrzymać się przez kilka tygodni, jednak nikt nie przybywał na jej ratunek.

Piętnastego sierpnia 1461 roku do ostatniej stolicy Greków wkroczył sułtan turecki. Minęło dwieście lat od dnia, w którym Michał Paleolog odzyskał Konstantynopol od Łacinników, i nowy świt zdawał się jaśnieć dla greckiego świata. Obietnice Sary Chatun zostały dotrzymane. Sułtan przyjął łaskawie cesarza, jego dzieci i młodego siostrzeńca Aleksego i wysłał ich na specjalnym statku do Konstantynopola, wraz z urzędnikami dworu oraz wszystkimi ich ruchomościami z wyjątkiem stosu klejnotów, które dano Sarze w nagrodę za jej życzliwe pośrednictwo. Nie całej jednak cesarskiej rodzinie udzielono wolności. Bratową Dawida, Marię Gattilusio, która poślubiła w Konstantynopolu jego wygnanego brata Aleksandra dwadzieścia lat temu, a teraz jako wdowa usunęła się z młodym synem do Trebizondy, wzięto do haremu sułtana. Była wciąż damą wielkiej urody i Mehmed, jak się zdaje, bardzo ją polubił; syn jej stał się znany jako jeden z jego faworyzowanych paziów.

Resztę ludności potraktowano surowo. Czołowe rodziny pozbawiono własności i posłano gromadnie do Konstantynopola, gdzie sułtan zaopatrzył je w nowe domy i wystarczającą sumę pieniędzy na rozpoczęcie nowego życia. Każdego pozostałego obywatela oraz wiele kobiet i dzieci uznano za niewolników i rozdzielono pomiędzy sułtana i jego ministrów. Inne kobiety zaokrętowano do Konstantynopola, ośmiuset zaś chłopców wybrano do korpusu janczarów.

Rozproszone skrawki Cesarstwa szybko opanowano. Miasto Kerasunt trzymało się przez jakiś czas i poddało się na honorowych warunkach, które pozostawiły w spokoju tamtejszą grecką ludność. Kilka wsi w górach stawiało opór. Zamku Kordyle broniła przez wiele tygodni młoda chłopka, którą miały długo sławić pontyjskie ballady. Ale żaden zamek nie mógł się przez dłuższy czas utrzymać przeciwko potędze tureckiej armii. Około października sułtan Mehmed był z powrotem w Konstantynopolu, mając posiadłości Wielkiego Komnena całkowicie w swoich rękach.

Był to koniec wolnego greckiego świata. „Romania umarła; Romania jest podbita” – lamentowali twórcy ballad. Było jeszcze trochę Greków żyjących pod rządami chrześcijańskimi, na Cyprze, na wyspach Morza Egejskiego i Jońskiego oraz na lądzie greckim w portach, które Wenecja dotychczas utrzymała; żyli oni jednak pod władcami obcej narodowości i innej formy chrześcijaństwa. Jedynie wśród dzikich wsi Mainy w południowo-wschodnim Peloponezie, gdzie żaden Turek nie odważał się

wedrzeć na jej urwiste wierchy, utrzymywały się jakieś pozory wolności.

Wkrótce cały prawosławny świat Bałkanów znalazł się w rękach tureckich. Dopóki żył Skanderbeg, Albańczycy zachowywali niepewną niezależność, po jego śmierci jednak w styczniu 1468 roku kraj prędko opanowano. Wenecja zaś utraciła niebawem swe porty na albańskim wybrzeżu. Dalej na północy, w okręgu zwanym Zeta, trzymało się trochę górali tworząc księstwo znane później jako Czarnogóra, które mogło okresowo uznawać suwerenność turecką lub wenecką, ale nigdy nie straciło swej 'autonomii'. Serbia i Bośnia były ujarzmione. Za Dunajem książęta Wołoszczyzny uznali w 1391 roku turecką suwerenność, aby ją zrzucić, ilekroć zbliżała się węgierska armia. Od 1456 do 1462 roku książę Vlad, znany jako „Palownik” z racji swej metody obchodzenia się z tymi, którzy się z nim nie zgadzali, zbuntował się przeciw sułtanowi i nawet wbił na pal jego emisariuszy; lecz po jego upadku zwierzchnictwo sułtana ponownie się ugruntowało. W Mołdawii książę Piotr III przyjął to zwierzchnictwo w 1456 roku. Syn jego Stefan zrzucił je i z powodzeniem stawiał czoło Turkom przez całe swe długie panowanie, od 1457 do 1504 roku; ale w dziewięć lat po jego śmierci syn, książę Bogdan, poddał się sułtanowi Selimowi I.

Istniało natomiast jedno państwo prawosławne, na którego ziemie armie sułtana nigdy nie weszły. Kiedy Bizancjum wpadało coraz bardziej pod władzę Turków, Ruś odrzucała coraz dalej swych tatarskich zwierzchników i odzyskiwała niepodległość. Nawrócenie Rusi stanowiło jeden z powodów dumy Kościoła bizantyńskiego. Ale teraz córa stawała się potężniejsza od macierzy. Już około 1390 roku patriarcha Antoni z Konstantynopola zmuszony był pisać do głównego władcy Rusi, wielkiego księcia moskiewskiego, Wasyla I, przypominając mu, że pomimo wszystko cesarz Konstantynopola jest wciąż jedynym prawdziwym cesarzem, prawosławnym wicekrólem Boga na ziemi. Jednak teraz Konstantynopol padł, a cesarz został zabity. Nie było żadnego prawosławnego cesarza. Ponadto Konstantynopol padł, jak uważano na Rusi, jako kara za jego grzechy, za odstępstwo od wiary przez zgodzenie się na unię florencką; w związku z tym wypędzono unickiego arcybiskupa Izydora, którego narzucili Grecy. Obecnie, mając nieskazitelną prawosławną przeszłość, Ruś posiadała też jednego władcę, który przetrwał w świecie prawosławnym, władcę o stale wzrastającej potędze. Czyż niewątpliwie nie dziedziczył on prawosławnego cesarstwa? Zdobywczy sułtan mógł sobie panować w Konstantynopolu i rościć prawo do przywilejów cesarza bizantyńskiego. Ale prawdziwe cesarstwo chrześcijańskie przeniosło się do Moskwy. „Konstantynopol upadł – pisał metropolita moskiewski w 1458 roku – ponieważ zdradził prawdziwą wiarę prawosławną. Jednak na Rusi wiara jeszcze żyje, wiara Siedmiu Soborów, jak ją Konstantynopol przekazał wielkiemu księciu Włodzimierzowi. Istnieje tylko jeden prawdziwy Kościół na ziemi, Kościół Rusi.” Teraz właśnie jest misją Rusi zachowanie chrześcijaństwa. „Chrześcijańskie cesarstwa upadły – pisał mnich Filoteus w 1512 roku, zwracając się do swego pana, wielkiego księcia, czyli cara Wasyla III – na ich miejscu stoi tylko cesarstwo naszego władcy... Dwa Rzymy upadły, ale trzeci stoi, a czwartego nie będzie... Ty

jesteś jedynym chrześcijańskim suwerenem na świecie, panem wszystkich wiernych chrześcijan.” Ojciec Wasyla III stworzył pewne uzasadnienie prawne temu roszczeniu, żeniąc się z księżniczką z domu Paleologów. Lecz dla mistycznych zwolenników Trzeciego Rzymu małżeństwo to nie miało znaczenia. Jeśli potrzeba było roszczeń dynastycznych, woleli oni cofnąć się o pięć wieków do małżeństwa ich pierwszego chrześcijańskiego księcia Włodzimierza z księżniczką Anną z rodu Porfirogenetów, małżeństwa w rzeczywistości bezdzietnego. Atoli dziedzictwo Moskwy nie miało nic wspólnego z ziemską dyplomacją; zostało ono wyraźnie nakazane przez Boga.

W ten sposób wśród prawosławnych jedynie mieszkańcy Rusi zyskali pewną korzyść z upadku Konstantynopola; dla prawosławnych zaś ze starego świata bizantyńskiego, jęczących w niewoli, świadomość, że istnieje jeszcze wielki, choć daleki, prawosławny władca, niosła pociechę i nadzieję, że udzieli im opieki i że pewnego dnia przybędzie może na ich ratunek i przywróci im wolność. Zwycięski sułtan zaledwie dostrzegał istnienie Rusi. Jego następcy w ciągu przyszłych stuleci nie mogliby już naśladować jego lekceważenia.

Ruś istotnie była daleko. Sułtan Mehmed miał bliżej inne sprawy. Dzięki zdobyciu Konstantynopola państwo jego stało się jedną z wielkich potęg Europy, a on musiał odegrać swą rolę w europejskiej polityce mocarstwowej. Wszyscy chrześcijanie byli jego wrogami, wiedział o tym; musiał więc pilnować, żeby nie zjednoczyli się przeciwko niemu.

Nie było to takim trudnym zadaniem. Niepowodzenie państw europejskich, gdy chodziło o przybycie na ratunek Konstantynopola, wykazało, że nie miały one ochoty walczyć za swą wiarę, jeżeli nie wchodziły w grę ich bezpośrednie interesy. Jedynie papieżstwo i garść uczonych i romantyków rozproszonych na Zachodzie była naprawdę wstrząśnięta na myśl, że wielkie historyczne miasto chrześcijańskie przechodzi w ręce niewiernych. Spośród Włochów; którzy włączyli się do obrony miasta, niektórzy, jak Giustiniani i bracia Bocchiardo, mogli powodować się chrześcijańskim uczuciem; ale rządy ich przeprowadzały drobiazgowo kalkulacje handlowe. Byłoby fatalne dla ich handlu pozwolić, by Konstantynopol uległ Turkom, ale byłoby równie katastrofalne obrazić Turków, z którymi już korzystnie handlowały. Zachodni monarchowie nie byli zainteresowani. Nawet król Aragonii, ze swymi marzeniami o lewentyńskim imperium, nie był skłonny przełożyć swych marzeń na język czynu. Rząd turecki niebawem wszystko to sobie w pełni uświadomił. Turcji nigdy nie brakowało dobrych dyplomatów. Sułtan może by musiał walczyć z Wenecją, Węgrami i możliwe, że z kilkoma sprzymierzeńcami, których papieżstwo zdołałoby zgromadzić, ale walczyłby z nimi po kolei. Nikt nie przyszedł na pomoc Węgrom na nieszczęsnym polu pod Mohaczem. Nikt nie przysłał posiłków joannitom na Rodos. Nikt się nie troszczył, kiedy Cypr utracili Wenecjanie. Co prawda, Wenecja i Habsburgowie mieli wyruszyć razem na wyprawę morską, która odniosła triumf pod Lepanto, ale rezultat tego był znikomy. Książęta habsburscy musieli już sami bronić Wiednia. W Niemczech i we Włoszech ludzie mogli przez wiele dziesiątków lat drzeć na myśl o tym, że Turcy są tak

blisko, jednak nie odrywało ich to od wojen domowych. Kiedy zaś arcychrześcijański król Francji, dopuszczając się zdrady wobec roli, jaką jego kraj odegrał w wielkich dniach wypraw krzyżowych, postanowił sprzymierzyć się z niewiernym, z sułtanem, przeciw cesarzowi Świętego Cesarstwa Rzymskiego, wtedy stało się dla wszystkich jasne, że wygasł duch krucjat.





Rozdział 13

CI, KTÓRZY PRZYBYLI

Sumienie Europy Zachodniej poruszyło się, ale nie obudziło. Kardynałowie greccy, Izydor i Bessarion, mogli wygłaszać kazania i błagać, a papież Pius II ze swym umiłowaniem kultury greckiej mógł z trudem zbierać środki na ratowanie Wschodu. Wszystko jednak, co zdołali oni z pożytkiem osiągnąć, ograniczało się do ulżenia doli patetycznym uchodźcom, którzy uciekli przed Turkiem.

Nie było ich zbyt wielu. Biedniejsi musieli zostać na Wschodzie i znosić, co im zgotował los. Spośród większych figur, które grały jakąś rolę w dramacie, niewielu pogodziło się dobrowolnie z życiem pod władzą sułtana. Dużo więcej skazano na więzienie albo uśmiercono. Reszta uchodźców szukała schronienia we Włoszech.

Dwie stare dynastie cesarskie wkrótce właściwie wygasły. Z braci cesarza Konstantyna, którzy przeżyli, despotes Demetriusz był początkowo traktowany przez sułtana życzliwie. Dano mu apanaże z ziem należących do Gattilusich, miasta Enos oraz wysp Lemnos i Imbros, a częściowo z Tazos i Samotraki. Te przynosiły mu roczny dochód 600 000 sztuk srebra – połowę z wysp, a połowę z Enos. W dodatku z mennicy sułtana posyłano mu corocznie 100 000 sztuk. Przez siedem lat żył spokojnie w Enas z żoną Zoe i jej bratem Mateuszem Asen, który dawniej był jego gubernatorem w Koryncie, a teraz miał pod swą pieczę miejscowy monopol solny. Demetriusz spędzał czas zażywając rozkoszy polowania i stołu oraz wspomagając hojnie Kościół. W 1467 roku jego apanaże nagle mu zabrano. Zgodnie z wersją, w którą wierzył Phrantzes, podwładni Mateusza fałszowali dochody należne sułtanowi z solnych panwi, za co uczyniono odpowiedzialnymi Mateusza i Demetriusza. Los Mateusza nie jest znany. Demetriusza pozbawiono dochodów i zesłano, by żył w biedzie w Didymotyce. Tam zauważył go przechodząc pewnego dnia sułtan i poczuł dlań litość. Dano mu więc jako roczną pensję 50.000 sztuk srebra, wypłacaną z cesarskiego monopolu zbożowego. Nie trwało to jednak długo. I on, i jego żona złożyli wkrótce śluby zakonne. Demetriusz zmarł w 1470 roku w klasztorze w Adrianopolu, żona zaś przeżyła go zaledwie o kilka miesięcy. Jedyne ich dziecko, Helenę, wzięto oficjalnie do haremu sułtana; zdaje się jednak, że zachowała dziewictwo i mieszkała we własnej rezydencji w Adrianopolu. Umarła na kilka lat przed rodzicami, pozostawiając patriarchatowi swe klejnoty i szaty. 1

Despotes Tomasz uszedł z żoną i dziećmi na Korfu, zabierając z sobą głowę apostoła św. Andrzeja, którą przechowywano w Patras. W końcu 1460 roku przepawił się z tą relikwią do Włoch i 7 marca 1461 roku odbył uroczysty wjazd do Rzymu. W tydzień potem papież, któremu podarował

relikwie, nadał mu order Złotej Róży. Tomasz pozostał we Włoszech, spodziewając się, że któregoś dnia wróci na Moreę. Papież dał mu jako pensję 300 dukatów w złocie miesięcznie, do czego kardynałowie dodali później dalsze 500 dukatów ze swych dochodów. Jego dostojność i uroda, którą zachował do późnego wieku, robiły wrażenie na Włochach; podobało im się też, że publicznie przyjął wiarę katolicką. Żona jego, Katarzyna Zaccaria, którą zostawił na Korfu, zmarła tam w sierpniu 1462 roku. W 1465 roku wezwał swe dzieci do Rzymu. W kilka dni po ich przyjeździe umarł 12 maja w wieku pięćdziesięciu sześciu lat. z

Tomasz miał czworo dzieci. Najstarsza z rodzeństwa Helena została jako dziecko poślubiona Łazarzowi III Brankowiczowi, z którym miała trzy córki. W 1459 roku, wkrótce po śmierci męża, wydała za mąż najstarszą córkę Marię za Stefana króla Bośni. Kiedy Turcy opanowali Bośnię, młodą królową wzięto do haremu tureckiego generała; Helenie i jej dwóm młodszym córkom udało się uciec na Leukas. Jedna z dziewcząt, Milica, zaślubiła pana na Kefalonii i Leukas, Leonarda III Tocco, jednak zmarła bezdzietnie po kilku miesiącach małżeństwa. Druga, Irena, wyszła za mąż za Jana Kastriotę, syna Skanderbega, i razem z nim po śmierci teścia udała się do Włoch. Helena pozostała na dworze zięcia na Leukas, wstąpiwszy w końcu do klasztoru, gdzie zmarła w 1474 roku.

Bracia i siostry Heleny byli dużo młodszy. Andrzej urodził się w 1453 roku, Manuel w 1455 roku, a Zoe prawdopodobnie w 1456 roku. Sieroty adoptował papież. W czerwcu 1466 roku Zoe zaślubiła rzymskiego arystokratę z rodu Caracciolo, niebawem jednak jako dziecko została wdową. W 1472 roku papież Sykstus IV osiągnął, jak myślał, triumf dyplomatyczny ułożywszy jej małżeństwo z księciem Iwanem III. Ślub odbył się w Watykanie, gdzie księcia reprezentował pełnomocnik. Papież ofiarował pannie młodej w posagu 6000 dukatów w złocie. Ale kiedy Zoe, przechrzczona teraz na Zofię, przyjechała na Ruś, zapomniała o swoim katolicyzmie i żarliwie nuciła się w wir polityki Kościoła prawosławnego. Córka jej Helena powróciła na łono kościoła katolickiego, zaślubiając króla Polski, Aleksandra Jagiellończyka; natomiast syn jej Wasyl III i jego następcy pozostali szermierzami prawosławia. Królowa Polski Helena zmarła bezdzietnie. Linia Wasyla III wygasła w stulecie później w osobach jego prawnuczki Anastazji Fiodorowny i jej stryja carewicza Dymitra.

Kariery synów Tomasza były mniej zaszczytne. Młodszy, Manuel, spędził młodość we Włoszech, pobierając od papieża 50 dukatów miesięcznie pensji. Około 1477 roku udał się nagle do Konstantynopola i zdał się na łaskę sułtana. Mehmed przyjął go życzliwie i dał mu dobra ziemskie oraz pensję. Tam się ożenił, ale nazwisko jego żony nie jest znane, jak również i data jego śmierci. Z dwóch jego synów starszy, Jan, umarł młodo; młodszy, Andrzej, przeszedł na islam i zakończył życie jako urzędnik dworski pod imieniem Mehmed Pasza. Zdaje się, że nie pozostawił potomstwa. Starszy syn Tomasza Andrzej wolał zostać we Włoszech, żyjąc z podobnej skromnej pensji – 50 dukatów na miesiąc. Traktowano go jako dziedzica, tronu cesarskiego i sam się podpisywał: „*Deo gratia fidelis Imperator Constantinopolitanus.*” Ale jego postępowanie nie było chyba cesarskie. W 1480 roku ożenił się z uliczną

damą z Rzymu imieniem Katarzyna; mocno się też zadłużył. Namówił papieża Sykstusa IV, by dał mu 2000 złotych dukatów na sfinansowanie wyprawy na Moreę i zużył te pieniądze na inne cele. Jednak ani to, ani jego gotowość sprzedawania tytułów i przywilejów cudzoziemcom o ambicjach snobistycznych nie uratowały jego finansów. Podróż, jaką odbył około 1490 roku na dwór siostry w Rusi, nie przyniosła finansowych rezultatów; nie zachęcono go także, by tam pozostał. W końcu znalazł przyjaciela w osobie króla Francji, Karola VIII, którego odwiedził w 1491 roku i który opłacił niektóre z jego długów. Andrzej powitał z radością najazd Karola na Włochy w 1493 roku i pośpieszył na północ na jego spotkanie. 16 września 1494 roku podpisał układ z Karolem, szczerze przekazując mu wszystkie swe prawa do tronów Konstantynopola, Trebizondy i Serbii, zatrzymując dla siebie tylko despotat Morei. Kiedy Karol ustanowił swoją władzę w Neapolu w maju następnego roku, obiecał Andrzejowi 1200 złotych dukatów rocznej pensji. Wątpliwe, czy pensję płacono, kiedy Karol opuścił Włochy, a na pewno skończyła się ona wraz ze śmiercią Karola w 1498 roku. Andrzej wnet wpadł znowu w długi. W początkach 1502 roku podpisał nowy dokument, nadający wszystkie swe prawa monarszej parze hiszpańskiej, Ferdynandowi i Izabeli; nie dostał od nich jednak żadnych pieniędzy. Kiedy zmarł w czerwcu tegoż roku, wdowa musiała prosić papieża o sumę 104 dukatów, żeby opłacić koszty pogrzebu. Pozostawił jednego syna imieniem Konstantyn, przystojnego, lecz bezwartościowego chłopca, który przez jakiś czas dowodził gwardią papieską. Data śmierci Konstantyna jest nieznana.

Na dwóch wnukach Tomasza, Mehmedzie Paszy w Konstantynopolu i nieudolnym Konstantynie w Rzymie, cesarska linia Paleologów dobiegła końca. Młodsza gałąź, pochodząca od Andronika II, która panowała w Montferrat już od początków XIV w., wygasła w linii męskiej w 1536 roku, a posiadłości jej przeszły przez dziedziczenie żeńskie na markizę Mantui. Córka despotesa Teodora, Helena Paleolog, królowa Cypru, zmarła w 1458 roku, a jej jedyne dziecko, królowa Karolina, wygnana i bezdzietna, zmarła w Rzymie w 1487 roku. Jedynych potomków cesarza Manuela Paleologa, żyjących dziś, znaleźć można w południowych Włoszech, w rodzinach wywodzących się od Jana Kastrioty, syna Skanderbega.

Los cesarskiego domu Trebizondy już wkrótce okazał się bardziej tragiczny. Cesarz Dawid korzystał z dobrej pensji przez dwa lata. Ale w 1463 roku jego fałszywy przyjaciel, Jerzy Amirutzes, doniósł władcom tureckim, że były cesarz otrzymał list od swej bratanicy, żony Uzun Hasana, w którym proponowała, by brat jej Aleksy lub jeden z jego własnych synów przybył ją odwiedzić. Sułtan postanowił uznać to za zdradę. Dawida wtrącono do więzienia w Adrianopolu 26 marca 1463 roku, a 1 listopada jego, sześciu z jego siedmiu synów i bratanka Aleksego stracono w Konstantynopolu. Odmówiono pogrzebania ich zwłok, a kiedy cesarzowa Helena wykopała dla nich własnymi rękami groby i tam ich pochowała, skazano ją na grzywnę 15 000 dukatów, płatną w ciągu trzech dni – inaczej ona również ponieść miała śmierć. Oddani przyjaciele i domownicy zmobilizowali pieniądze, cesarzowa jednak usunęła się,

spędzając resztę życia, odziana w worek pokutniczy, w nędznej szopie. Najmłodszego jej syna, Jerzego, trzyletnie dziecko, wychowano na muzułmanina. Później pozwolono mu odwiedzić Uzun Hasana, z którego dworu uciekł do siostry do Gruzji. Wrócił na łono chrześcijaństwa i poślubił jakąś gruzińską księżniczkę, z którą, zdaje się, miał potomstwo; dalsze dzieje rodziny nie są jednak znane. Inną jego siostrę, Annę, posłano do haremu sułtana, później zaś oddano, ale tylko na pewien czas, Zaganosowi Paszy, gubernatorowi Macedonii. Ją także przemocą nawrócono na islam; w późniejszym życiu zdołała jednak usunąć się na wieś w pobliże jej ojczystej Trebizondy. Założyła wieś zwaną od jej imienia Kyranna i ufundowała tam kościół. Wdowa Maria Gattilusio żyła spokojnie w cesarskim haremie. Jej syn Aleksy nadal cieszył się względami sułtana. Ostateczny jego los jest nieznan. Stosownie do tradycji miał on przydzielone ziemie tuż poza murami Pery i znano go tam jako syna beja. Właśnie jemu zawdzięcza swą nazwę obecny okręg Bejoglu.

Niewiele wiadomo o losie tych ministrów cesarza Konstantyna, którzy przeżyli upadek Cesarstwa, albo ich rodzin. Jeśli odzyskali wolność, byli radzi żyć w zapomnieniu. Skoro tylko przywrócono porządek, sułtan gotów był zezwolić na wykupienie jeńców. Po otrzymaniu listu pełnego obrzydliwych pochlebstw od uczonego Filelfo zwolnił teściową Filelfa, Manfredinę Doria, wdowę po Janie Chrysolorasie, i posłał ją do Włoch do zięcia, z którym – jak mówiono – była w przeszłości w skandalicznie bliskich stosunkach. Wierny sekretarz i przyjaciel Konstantyna Phrantzes zdołał po kilku latach wykupić siebie i żonę. Oddalił się na Korfu, gdzie nadal interesował się rodakami i zachował przywiązanie do rodziny swego pana. Udał się na Leukas na zaproszenie córki Tomasza, serbskiej królowej-wdowy, aby odwiedzić tam jej zięcia Leonarda Tocco, którego siostra była pierwszą żoną cesarza; w 1466 roku pojechał do Rzymu, by być obecnym na ślubie księżniczki Zoe z jej małżonkiem Carracciolo. Wkrótce potem oboje z żoną złożyli śluby zakonne. W klasztorze ukończył pisanie pamiętników, a na końcu dzieła umieścił swoje wyznanie wiary. Pomimo przyjaźni ze stronnictwem unickim w łonie Kościoła greckiego, nie mógł zdecydować się w tym wyznaniu na podpisanie się pod nauką o dwoistym pochodzeniu Ducha Świętego. Jego zapiski historyczne ciągną się do 1477 roku. Zdaje się, że zmarł w 1478 roku.

Niektórzy uchodźcy uszli do Wenecji, by przyłączyć się do córki starego nieprzyjaciela Phrantzesa, Łukasza Notarasa. Anna Notaras żyła tam przez wiele lat, poświęcając pieniądze, jakie miała, na ulżenie swoim ziomkom.

Dwaj greccy kardynałowie mieszkali we Włoszech. W 1459 roku, po śmierci Grzegorza Mammasa, papież podniósł Izydora do godności patriarchy Konstantynopola wbrew wszelkim tradycjom Kościoła bizantyńskiego. Zmarł on w 1463 roku, a sam tytuł objął po nim Bessarion. Bessarion żył do 1472 roku, wydając swe dochody na budowę pięknej biblioteki greckich tekstów, którą zapisał miastu Wenecji, oraz na udzielanie pomocy greckim uchodźcom. Arcybiskup Leonard wrócił do swej siedziby na Lesbos i przebywał tam, kiedy Turcy w 1462 roku zdobyli wyspę. Raz jeszcze odwiedził więc Konstantynopol, tym razem jednak jako

jeniec. Wkrótce wykupiono go i udał się do Włoch, gdzie umarł w 1482 roku.

Jerzy Amirutzes, który wnet po upadku Konstantynopola napisał błagalny list do Bessariona z prośbą o pieniądze na wykupienie swego młodszego syna Bazylego, wkradł się w łaski tureckie dzięki swym intrygom w Trebizondzie. Kuzyn Mahmud Pasza pozostał jego wiernym przyjacielem i zwrócił na niego uwagę sułtana; pozycja jego polepszyła się jeszcze, kiedy jego starszy syn, Aleksander, przeszedł na mahometanizm. Na sułtanie Mehmedzie wywarła wrażenie jego erudycja, toteż zlecił mu przygotowanie nowego wydania *Nauki geograficznej* Ptolemeusza, do czego Aleksander, wtedy już poważny uczony arabski, dostarczył arabskich nazw, a następnie dokonał pełnego przekładu arabskiego. Później, w 1463 roku, Jerzy zakochał się we wdowie po ostatnim księciu Aten, żyjącej z pensji w Konstantynopolu, i pragnął ją poślubić, chociaż żona jego jeszcze żyła. Patriarcha Dionizy odmówił zatwierdzenia tego bigamicznego związku. Wobec tego Jerzy zawiązał intrygę, aby patriarchę złożono z urzędu, sam zaś przeszedł na mahometanizm. Umarł nagle w kilka tygodni później, grając w kości. Był to sąd boski nad nim.

Jedyny spośród uczonych, którzy uświetniali ostatnie lata bizantyńskiej wolności, Jerzy Scholarios Gennadios, był powołany do tego, by odegrać konstruktywną rolę w porządkowaniu nowego świata i w zjednoczeniu Kościoła swego ludu. Miał on obdarzyć naród dworem, gdzie można by było zachowywać starą cesarską etykietę w mroku, zanim nadejdzie świt i Bizancjum jak feniks się odrodzi.

Świt nie nadszedł nigdy. Stare ekumeniczne Cesarstwo Bizancjum minęło na zawsze.

Łatwo jest twierdzić, że w szerokim nurcie historii rok 1453 znaczy bardzo mało. Cesarstwo Bizantyńskie było już skazane. Skurczone, zbyt rzadko zaludnione i zubożałe, musiało zginąć, kiedykolwiek Turcy postanowiliby ruszyć nań, by zadać mu ostateczny cios. Mniemanie, że bizantyńscy uczeni pośpieszyli do Włoch z powodu upadku ich miasta, nie da się utrzymać. We Włoszech już co najmniej od pokolenia było wielu bizantyńskich profesorów, a z dwóch wielkich intelektualistów wśród Greków, żyjących w 1453 roku, jeden, Bessarion, był już we Włoszech, a drugi, Gennadios, pozostał w Konstantynopolu. Jeżeli handel włoskich portów morskich miał

obumrzeć, spowodowane to było bardziej odkryciem dróg oceanicznych niż turecką władzą nad cieśninami. Co prawda Genua szybko podupadła po 1453 roku, jednak wpłynęła na to głównie jej niepewna pozycja we Włoszech. Wenecja utrzymywała ożywiony handel lewantyński jeszcze przez wiele lat. Jeśli Ruś i Moskwa, podniesiona do rangi Trzeciego Rzymu, wysunęły się na pierwsze miejsce jako szermierze prawosławia, to nie stanowiło to żadnej idei rewolucyjnej. Myśl władców Rusi szła już w tym kierunku, kiedy ich wojska wypierały niewiernych Tatarów przez stepy, a Konstantynopol coraz bardziej tonął w biedzie i dobił bezbożnego targu z Zachodem. Wszystkie te ziarna były już zasiane. Upadek Konstantynopola przyśpieszył jedynie żniwo. Gdyby sułtan Mehmed był mniej stanowczy albo Halil Pasza umiał skuteczniej

przekonywać, bądź gdyby wenecka armada wyruszyła o dwa tygodnie wcześniej, bądź też w ostatnim krytycznym momencie Giustiniani nie został ranny na murach, a furtki przy Kerkoporcie nie zostawiono uchylonej, niewiele by to ostatecznie zmieniło. Bizancjum mogłoby wleć nędzny żywot jeszcze przez dziesięć lat i tureckie posuwanie się w głąb Europy opóźniłoby się. Jednak Zachód nie wykorzystałby tej zwłoki. Zamiast tego uważałby utrzymanie Konstantynopola za oznakę, że niebezpieczeństwo nie jest mimo wszystko tak groźne. Zwróciłby się on z ulgą do swych własnych spraw, a po niewielu latach Turcy znowu przystąpiliby do ataku.

Niemniej jednak data 29 maja 1453 roku stanowi punkt zwrotny w historii. Oznacza ona koniec starej opowieści, opowieści o bizantyńskiej cywilizacji. Przez jedenaście setek lat stało nad Bosforem miasto, gdzie uwielbiano intelekt, a naukę i literaturę klasycznej przeszłości studiowano i przechowywano. Bez pomocy bizantyńskich komentatorów i kopistów niewiele wiedzielibyśmy dzisiaj o literaturze starożytnej Grecji. Było to też miasto, którego władcy przez całe wieki inspirowali i popierali szkołę sztuki nie spotykanej w dziejach ludzkich, sztuki wyrosłej ze zmieniającego się wciąż stopu chłodnego, rozumowego pojmowania układu rzeczy właściwego Grekom i głębokiego zmysłu religijnego, który widział w dziełach sztuki ucieleśnienie Bóstwa i uświęcenie materii. Było to również wielkie miasto kosmopolityczne, gdzie równoległe z towarami swobodnie wymieniano idee, i którego obywatele widzieli siebie nie jako jedność rasową, lecz jako spadkobierców Grecji i Rzymu uświęconych przez wiarę chrześcijańską. Wszystko to teraz się skończyło. Nowy naród panów był przeciwny nauce swych chrześcijańskich poddanych. Bez patronatu wolnego rządu sztuka bizantyńska zaczęła chylić się ku upadkowi. Nowy Konstantynopol był wspaniałym miastem, bogatym, ludnym i kosmopolitycznym, i pełnym pięknych gmachów. Ale jego piękność wyrażała doczesną, cesarską potęgę sułtanów, a nie królestwo chrześcijańskiego Boga na ziemi; mieszkańcy zaś jego różnili się między sobą religią. Konstantynopol się odrodził, aby być ośrodkiem zainteresowania odwiedzających go przez wiele stuleci; ale był to Stambuł, nie Bizancjum.

Czyż więc niczego nie osiągnięto męstwem ostatnich dni Bizancjum? Wywarło ono wrażenie na sułtanie, jak wyraźnie dowiodło jego zachowanie się po zdobyciu miasta. Nie chciał podejmować żadnego ryzyka w postępowaniu z Grekami. Zawsze podziwiał grecką naukę; obecnie przekonał się, że bohaterski duch grecki nie umarł całkowicie. Może też być, że gdy przywrócono spokój, ów podziw miał wpływ na szlachetniejsze potraktowanie jego greckich poddanych. Warunki, jakie uzyskał od niego patriarcha Gennadios, zjednoczyły na nowo grecki Kościół i większość narodu greckiego pod jednym autonomicznym rządem. Przyszłość nie miała być dla Greków łatwa. Dano im obietnicę pokoju, sprawiedliwości i sposobności wzbogacenia się. Ale byli obywatelami drugiej klasy. Niewola nieuchronnie pociąga za sobą demoralizację i Grecy nie mogli uniknąć jej skutków. Ponadto zależeli oni w końcu od dobrej woli swego suwerena.. Dopóki żył Sułtan Zdobywca, los ich nie był

najgorszy. Po nim nastąpili sultani, którzy nigdy nie słyszeli o cywilizacji Bizancjum i którzy byli dumni, że są cesarzami islamu, kalifami i wodzami wiernych. Wkrótce też wielka budowla otomańskiej administracji uległa rozkładowi. Grecy musieli odpowiadać na korupcję – oszustwem, na niesprawiedliwość – brakiem lojalności, na intrygę – intrygą. Historia Greków pod panowaniem tureckim jest mało pouczająca i melancholijna. Jednak pomimo swoich błędów i słabości Kościół przetrwał, a dopóki trwał Kościół, hellenizm nie umierał.

Europa Zachodnia z dziedziczną przez wieki zazdrością wobec bizantyńskiej cywilizacji, ze swymi duchownymi doradcami demaskującymi prawosławnych jako grzesznych schizmatyków i z prześladowającym ją poczuciem winy, że w końcu sprawiła zawód miastu, wolała zapomnieć o Bizancjum. Nie mogła zapomnieć o długu, jaki zaciągnęła w stosunku do Greków, ale traktowała ów dług jako zobowiązanie jedynie wobec wieków klasycznych. Filhelleni, którzy przybyli, by wziąć udział w wojnie o niepodległość, mówili o Temistoklesie i Peryklesie, lecz nigdy o Konstantynie. Liczni greccy intelektualiści naśladowali ich przykład, wprowadzeni w błąd przez geniusza zła – Koraisa, ucznia Woltera i Gibbona, dla którego Bizancjum stanowiło szpetne interludium zabobonu, nadające się właściwie tylko do zignorowania. W ten sposób właśnie wojna o niepodległość nigdy w wyniku nie doprowadziła do oswobodzenia narodu greckiego, lecz tylko do stworzenia małego królestwa Grecji. Ludzie na wsi wiedzieli lepiej. Pamiętali treny ułożone na wieść o upadku miasta ukaranego przez Boga za jego zbytek, pychę i apostazję, jednak toczącego bohaterską walkę aż do końca. Pamiętali ów okropny wtorek, dzień, o którym wszyscy prawdziwi Grecy nadal wciąż jeszcze pamiętają, że jest złowróźbny; ale duch ich rozpałał się, a odwaga rosła, gdy opowiadali o ostatnim cesarzu chrześcijańskim, jak stał na wyłomie murów, opuszczony przez zachodnich sprzymierzeńców, stawiając czoło niewiernym do chwili, gdy uległ przygniatającej ich liczbie i poległ, mając całe Cesarstwo za swój całun żałobny.





ANEKS

Kościoły Konstantynopola

Zgodnie z mocno ugruntowaną tradycją muzułmańską mieszkańcy zdobytego chrześcijańskiego miasta, którzy odmówili poddania się, tracili zarówno wolność osobistą, jak i swoje świątynie, a zwycięskim żołnierzom pozwalano na trzydniową nieograniczoną grabież. Wszyscy historycy upadku Konstantynopola mówią o łupieniu kościołów w mieście. Niewątpliwie liczne kościoły i klasztory były ograbione. Ale jest niezaprzeczonym faktem, że ze współczesnych źródeł pisanych wiemy jedynie o obrabowaniu czterech kościołów: Mądrości Bożej (*Hagia Sophia*), Św. Jana w Petra i kościoła w Chora, w pobliżu wyłomu w murach lądowych, oraz kościoła Św. Teodozji w pobliżu Złotego Rogu. Świadectwo archeologiczne wskazuje, że potrójny kościół Pantokratora złupiono; potwierdza to fakt, że Gennadios, będący mnichem w przyłączonym do kościoła klasztorze, został wzięty do niewoli. Św. Sofię od razu przekształcono w meczet; inne na razie pozostawiono puste i na pół zrujnowane i przerobiono je później. Istnieje także pewna liczba innych kościołów, o których wiemy, że czynne były w latach poprzedzających upadek miasta, lecz nie mamy o nich żadnych późniejszych wiadomości. Możemy przyjąć, że zostały ograbione i opuszczone. Są to kościoły na obszarze Starego Pałacu Cesarskiego i wokół Cytadeli, takie jak Nowa Bazylika Bazylego I lub kościół Św. Jerzego z Mangana. Jednak historia następnych lat wykazuje, że niektóre kościoły pozostały w rękach chrześcijańskich i były widocznie nienaruszone. Wielki kościół Św. Apostołów, ustępujący rozmiarami i sławą tylko Św. Sofii, został przekazany przez sułtana patriarsze Gennadiosowi na jego użytek z nietkniętymi relikwiami, patriarcha miał bowiem możliwość zabrania ich z sobą, kiedy dobrowolnie zrezygnował z budowli w kilka miesięcy potem. Kościół Św. Marii Pammakaristos, do którego wówczas się przeprowadził, funkcjonował jako kościół klasztorny, a żeński klasztor nie był niepokojony; toteż kiedy patriarcha przejął kościół, mógł przenieść mniszki z ich relikwiami do pobliskiego kościoła i klasztoru Św. Jana w Trullo. Niedaleko stamtąd, na skraju dzielnicy Blachernos, kościół Św. Demetriusza Kanavou był nietknięty. W innej części miasta kościół Peribleptos w Psamathii pozostał kościołem greckim aż do XVII w., kiedy to sułtan Ibrahim dał go Ormianom, żeby się przypodobać swej ormiańskiej ulubienicy, masywnej niewieście, znanej jako Sekerparçe, czyli „Kawał cukru”. Kościół Św. Jerzego od Cyprysów, w pobliżu, też był nietknięty. Kościoły: Ust, Św. Jana w Studion i Św. Andrzeja w Krisei, pozostawały, jak się zdaje, w użytku chrześcijan, aż zamieniono je na meczety za panowania późniejszych sułtanów. Kościół klasztorny Myreleon był chyba jeszcze kościołem do końca XV wieku. Mniej więcej w tym samym czasie

atakowano kościół poświęcony Św. Janowi Ewangelście, ponieważ uważano, że stoi za blisko świeżo wzniesionego meczetu.

Jak to się działo, że te kościoły mogły przetrwać? Kwestia ta niebawem miała zaintrygować Turków. W 1490 roku sułtan Bajezid II zażądał oddania kościoła patriarszego, Pammakaristos. Patriarcha Dionizy I był w stanie udowodnić, że Mehmed II wyraźnie darował kościół patriarchatowi. Sułtan ustąpił rozkazawszy zdjęć krzyż ze szczytu kopuły; odmówił jednak wydania swym urzędnikom zakazu anektowania innych kościołów.

W jakieś trzydzieści lat później sułtan Selim I, który czuł niechęć do chrześcijaństwa, zaproponował swemu przerażonemu wezyrowi, aby wszystkich chrześcijan zmusić do przejścia na islam. Kiedy mu powiedziano, że jest to chyba niewykonalne, rozkazał, aby przynajmniej wszystkie ich kościoły uległy konfiskacie. Wezyr ostrzegł patriarchę Teolepta I, który dzięki mądrym prawnikowi nazwiskiem Xenakis był w stanie sprowadzić przed oblicze sułtana trzech janczarów, każdego prawie stuletniego. Teolept przyznał, iż nie ma pisanego firmanu chroniącego kościoły; uległ on spaleni podczas pożaru w patriarchacie. Lecz zgrzybiali janczarzy przysięgli na Koran, że byli w straży przybocznej zwycięskiego sułtana, kiedy wyczekiwał na swe triumfalne wkroczenie do miasta, i że widzieli, jak wielu dostojników z różnych części miasta przychodziło do niego, niosąc klucze do swoich dzielnic jako oznakę poddania. Dlatego Mehmed pozwoił zatrzymać im swe kościoły. Sułtan Selim uznał to świadectwo, a nawet zezwoił chrześcijanom na otworenie ponownie dwóch lub trzech kościołów (nazwy ich nie są podane), które zamknęli jego urzędnicy.'

Kwestia ponownie powstała w 1537 roku za panowania Sulejmana Wspaniałego. Patriarcha Jeremiasz I odesłał wtedy sułtana do decyzji Selima. Sulejman poradził się szejka ul-Islam jako najwyższego muzułmańskiego autorytetu prawnego; szejk zaś oświadczył, że: „o ile wiadomo, miasto było wzięte siłą. Jednak fakt, że chrześcijanom pozostawiono ich kościoły, dowodzi, iż poddało się ono przez kapitulację”. Sulejman, będący sam dobrym prawnikiem, zaakceptował to orzeczenie i raz jeszcze pozostawiono kościoły w spokoju.

Późniejsi sułtani byli mniej pobłażliwi. W 1586 roku Murad III zabrał kościół Św. Marii Pammakaristos; a do XVII w. zaledwie kościoły z okresu przed podbojem pozostawiono w rękach chrześcijańskich: Św. Jerzego od Cyprysów, Św. Demetriusza Kanavou, z których pierwszy miał wkrótce ulec zniszczeniu przez trzęsienie ziemi, a drugi niebawem przez pożar, wreszcie kościół Św. Marii od Mongołów, zabrany w czasie podboju, ale oddany przez zwycięskiego sułtana jego greckiemu architektowi, Christodulosowi, który przekazał go władzom kościelnym. Kiedy za czasów Ahmeda III Turcy próbowali kościół ten zabrać, adwokat patriarchy, Demetriusz Kantemir, mógł okazać wezyrowi Ali Köprülü firman nadający go Christodoulosowi. Pozostał on kościołem, choć został uszkodzony podczas antygreckich rozruchów w 1955 roku.

Jak dalece można uważać świadectwo wiekowych janczarów patriarchy za panowania Selima za autentyczne? Demetriusz Kantemir, Grek z krwią tatarską w żyłach i człowiek ogromnej wiedzy, napisał w końcu XVII w.

historię imperium otomańskiego, która stanowi dzieło wielkiej wagi, jako że korzystał głównie ze źródeł tureckich, chociaż rzadko je wymienia konkretnie. W książce tej wysuwa teorię, że Konstantynopol w istocie kapitulował; kiedy jednak posłowie cesarza wprowadzali sułtana do miasta, chrześcijanie źle zrozumieli sytuację i strzelali do nich, na co oburzeni Turcy zaatakowali mury. Z tej racji sułtan orzekł, że skoro miasto na pół skapitulowało, chrześcijanie mogą zatrzymać swe kościoły w połowie miasta, a połowa ta rozciągała się na zachód od Akserai (Forum Byka) do murów. Opowieść jest oczywiście wymysłem. Kantemir oświadcza, że uzyskał ją ze źródła tureckiego, od historyka Ali, lecz w rzeczywistości była ona już podana w *Historia Patriarchica*, napisanej o stulecie wcześniej, sam jednak autor zdaje się wątpić o jej prawdziwości. Jest to przypuszczalnie próba wyjaśnienia ze strony jakiegoś Turka, dlaczego chrześcijanie zatrzymali pewne kościoły. Opowieść pojawia się w dziełach niejakiego Husseina Hezarfenna, współczesnego Kantemirowi, nieco starszego; czy to on jednak wymyślił ową historię, czy też zaczerpnął ją z jakiegoś źródła znanego im obydwóm, nie da się ustalić.

Chociaż opowieść może być absurdalna, jej absurdalność nie przekreśla opowiadania starych janczarów. Trzeba koniecznie pamiętać o ówczesnym stanie Konstantynopola. Nie był on podobny do współczesnego nam miasta, zwartej skupiska domów. Nawet w najpomyślniejszych dniach Bizancjum poszczególne dzielnice rozdzielały parki i ogrody. W 1453 roku, kiedy ludność jego wynosiła mniej niż jedną dziesiątą ludności z XII w., miasto stanowiło zbiorowisko miasteczek, spośród których wiele musiało leżeć w pewnej odległości od sąsiadów. Każde z nich prawdopodobnie otaczała własna palisada. Dzielnica Petrion już od dawna była otoczona wyraźnym murem. Istniała więc duża możliwość dla burmistrzów niektórych z owych miasteczek poddania się od razu atakującym w danym miejscu Turkom, skoro tylko rozeszła się wieść, że mury zostały sforsowane. Wszystko było stracone i dalszy opór nie miał sensu. Miejscowy turecki dowódca posyłał wówczas burmistrzów pod bezpieczną eskortą do sułtana, aby zgłosili poddanie się sułtanowi czekającemu przy murach. Mehmed zatrzymał niektóre ze swych zaufanych oddziałów, żeby działały jako żandarmeria i niewątpliwie wysyłał któreś z nich, żeby ochronić przed grabieżą poddające się miasteczka. To, co zeznali janczarzy, było więc w istocie prawdą.

Istnieje świadectwo na poparcie tego. W początkach XVII wieku. Evliya Czelebi zanotował, że pewni rybacy z Petrion „byli potomkami Greków, którzy otworzyli bramy Petrion Mehmedowi II” i „teraz nawet są wolni od wszelkiego rodzaju obowiązków i nie dają dziesięciny inspektorowi rybołówstwa.” W XVIII w. podróżnik angielski James Dallaway zanotował tradycję głoszącą, że „podczas gdy mężny Konstantyn bronił Bramy Św. Romana jako straconej pozycji, inni wśród obłożonych, bądź z tchórzostwa, bądź też z rozpacz, ugodzili się ze zdobywcami i otworzyli Bramę Fanaru, aby ich wpuścić. W tych warunkach otrzymali oni od Mehmeda II sąsiednią dzielnicę wraz z pewnymi immunitetami.” Jeżeli zwrócimy uwagę, które to kościoły przetrwały upadek miasta, przekonamy się, że wszystkie one (z jednym wyjątkiem) znajdowały się w dzielnicach

Petrion i Fanar albo w Psamathii, wzdłuż południowo–zachodnich zboczy miasta. Słuszną więc jest rzeczą przyjąć, że dzielnice te faktycznie poddały się w samą porę i dzięki temu zachowały swe świątynie. Czy mieszkańcy również zachowali swoje domy i wolność osobistą, jest mniej pewne. Kritobulosa opis miasta po grabieży nasuwa myśl, że całe miasto było obrócone w perzynę, a pozostała przy życiu ludność wzięta w jasyr. Jednak miasto obejmowało duży obszar; nietykalność pewnych leżących na uboczu okręgów mogła ująć uwagi. Wydaje się, że na pewno pozostali w mieście obywatele, którzy byli w możności wykupić niektórych jeńców.

Sułtan nie pragnął odziedziczyć całkowicie zrujnowanego miasta i, jak to miał wykazać, zależało mu na tym, by występować zarówno jako cesarz Greków, jak i sułtan Turków. Odpowiadało mu zarezerwowanie pewnych dzielnic dla swych przyszłych poddanych greckich i dlatego pozwolił im, by zatrzymali tam swoje kościoły. Poddanie się w porę kilku miasteczek w obrębie murów było mu bardzo na rękę. Wyjaśnia to może los kościoła Św. Apostołów. Wielki ten gmach stał obok głównej ulicy, biegnącej od odcinka murów, przez który Turcy naprzód weszli do miasta, do Św. Sofii, Hipodromu i terenu Starego Pałacu. Ogromne rzesze triumfujących żołnierzy musiały przechodzić koło niego i wydaje się nie do wiary, żeby doń nie weszli i nie splądrowali go, chyba że im siłą w tym przeszkodzono. A więc Mehmed musiał być wysłać specjalną straż dla jego ochrony. Można tylko przypuścić, że już postanowił, iż podczas gdy Św. Sofia, jako oficjalna świątynia cesarstwa, musi być przekształcona na meczet, aby pokazać, że obecnie Turcy mają władzę cesarską, to Grecy jako drugi naród w jego cesarstwie mogą zatrzymać drugi co do wielkości kościół. Toteż najwyraźniej bez wahania przydzielił go patriarsze zaledwie w parę dni po upadku miasta. Fakt, że później patriarcha zrezygnował z niego na własne życzenie, nie ma z tym nic wspólnego.

Tak więc, chociaż opowiadanie Kantemira o kapitulacji Konstantynopola ma oczywiście charakter powieściowy, prawnicy sułtana Sulejmana nie byli śmieszni, kiedy orzekli, że miasto zostało zdobyte zarówno przez szturm, jak i przez poddanie.



KONIEC

Księgozbiór DiGG



2010